



ALEKSANDRA
MARININA

obraz
pośmiertny

przełożyła

ALEKSANDRA STRONKA

Титул oryginalu: *Посмертный образ*

Copyright © Aleksandra Marinina 1995

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Wydanie I Warszawa 2011

Rozdział 1

STASOW

Były pracownik wydziału kryminalnego i podpułkownik milicji, a obecnie szef ochrony wytwórni filmowej Syriusz, Władysław Stasow, wykonywał całkiem prozaiczną czynność: przy pomocy długopisu i kartki papieru sporządzał listę zakupów, które nazajutrz musiał koniecznie zrobić, żeby przygotować jedzenie dla siebie i córki na cały następny tydzień. Ekszona Stasowa Margarita wyfrunęła w kolejną delegację, zostawiając ośmioletnią Lilę pod jego opieką, co Stasowa niezmiernie cieszyło. Nerwowa i uciążliwa praca Rity wiązała się z częstymi i długimi wyjazdami, toteż Stasow przebywał z córką znacznie częściej, niż mógł się tego spodziewać po rozwodzie. Lila była jego oczkiem w głowie.

Przede wszystkim, myślał Stasow, trzeba kupić jak najwięcej różności do kanapek: Lila lubi umościć się z książką na tapczanie i bezustannie coś podjadać. Jak na ośmioletnią dziewczynkę ważyła wprawdzie sporo, biorąc nawet poprawkę na jej wysoki (po tatusiu) wzrost, ale Stasow nie widział potrzeby, by walczyć z niezdrowym przyzwyczajeniem. Z książką i kanapkami Lila mogła spędzać całe dnie i wieczory sama, nie tęskniąc specjalnie za obecnością wiecznie zajętych i przemęczonych rodziców.

Po drugie, należy kupić duży kawałek mięsa z kością i ugotować garnek barszczu. Do tego punktu menu weszły buraki, marchew, cebula i ziemniaki. Aha, jeszcze śmietana, nie może o niej zapomnieć.

Po trzecie, musi kupić polędwicę i pokroić ją na mniej więcej dwadzieścia kotletów - po cztery na każdy z pięciu roboczych dni. Pozostałe składniki obiadu może również przyrządzić wcześniej albo będzie gotować codziennie niewielkie porcje, zwłaszcza że zarówno makaron, jak i kasza gryczana to szybkie dania; zanim Stasow się rozbierze i zje barszcz, reszta akurat dojdzie. Lila nie jada kaszy ani makaronu, z jakiegoś powodu woli mięso z keczupem albo kiszoną kapustą, pałaszuje przy tym wielkie pajdy razowego chleba.

Tak, jeden problem z głowy. Teraz deser. Zrobić jakiś kompot? Czy lepiej kupić więcej owoców, niech się dziecko witaminizuje. Dobra, zadecyduje jutro na bazarze, wybór jest ogromny.

Skończywszy listę zakupów, Stasow już miał się zabrać do przeglądu zapasów żywności w szafkach kuchennych, ale w tej samej chwili zadzwonił telefon. Zanim mężczyzna podniósł słuchawkę, zerknął na zegarek: wpół do pierwszej w nocy. Cholera, czyżby w pracy coś się stało? Nie chciał zostawiać córki samej na noc, mimo że Lila wcale nie bała się ciemności. Stasow wbił wzrok w terkoczący aparat, rejestrując długość przerw między dzwonkami, i z ulgą stwierdził, że pauzy były nieco krótsze niż zwykle. To połączenie międzymiastowe, czyli Tatiana. Jego domysły okazały się słuszne.

- Nie obudziłam cię? - usłyszał w słuchawce jej lekko ochrypły, dźwięczny głos, który sprawił, że natychmiast poczuł ból w piersi, tak bardzo za nią tęsknił.

- Nie uwierzysz, jak ci powiem, co właśnie robiłem.

- Co takiego?

- Zamieniłem się w Iroczkę.

- To znaczy?

- Układałem menu na przyszły tydzień.

- Moje biedactwo - rzuciła Tatiana z kpiącym współczuciem. - Może powinnam przysłać Iroczkę? Dopóki twoja Margarita nie wróci, mogę ci ją wypożyczyć. Co ty na to?

- A jak ty sobie bez niej poradzisz?

- Najpierw Ira popracuje u mnie jako Stasow, nagotuje mi jedzenia na tydzień, a potem wsiądzie do pociągu i rano będzie u ciebie.

- Nie mogę przyjąć takiej ofiary. - Stasow uniósł się honorem. - Literatura światowa nigdy by mi tego nie wybaczyła. A przy okazji, jak posuwa się praca nad książką?

- Wspaniale. Do następnego weekendu powinnam skończyć.

- No i ile wyjdzie?

- Jakieś dwadzieścia arkuszy. Znowu dwadzieścia, niestety. Mój ulubiony kaliber. Wydawca mnie zabije.

- Czemu? - zdziwił się Stasow. - Dwadzieścia arkuszy to źle?

- Jasne, że źle - stwierdziła z westchnieniem Tatiana. - Wydawcy potrzebna jest objętość, z której będzie mógł zrobić książkę. Albo dwanaście, czternaście arkuszy drukarskich na wydanie kieszonkowe, albo

dwadzieścia pięć, trzydzieści na grubą książkę zwykłego formatu. A dwadzieścia to ni przypiął, ni przyłatał. Format kieszonkowy nie wytrzyma takiej objętości i się rozleci, a zwykły wyjdzie cieniutki i lichey, aż przykro. Wydawca zacznie więc łamać sobie głowę, co by tu jeszcze do moich dwudziestu arkuszy dorzucić, żeby mieć grubą książkę. Można wziąć powieść jakiegoś innego autora, ale gdzie znaleźć taką, której objętość będzie w sam raz? Mało kto pisze teraz powieści na pięć do ośmiu arkuszy, wszyscy cierpią na manię wielkości. Ja również. I trzaskają po osiemnaście, dwadzieścia. Oczywiście z wyjątkiem tych najbardziej doświadczonych, którzy zawczasu umieją wyliczyć objętość.

- A ty nie umiesz?

- Nie. Ale się uczę, więc nie jestem beznadziejna.

Stasow znowu spojrzął na zegarek. Rozmawiali już trzy minuty.

- Taniu, oddzwonię do ciebie, dobrze? Wydasz małąkę na telefon.

- Daj spokój, proszę cię. Zdaje się, że ten temat już przerabialiśmy. Rozmowa z tobą sprawia mi przyjemność, a za swoje przyjemności płacę sama.

- Gdybyś nie była taka uparta i wreszcie wyszła za mnie za męża, wiedziałbym, że wydajesz na telefoniczne pogaduszki nasze wspólne pieniądze. A tak czuję się jak utrzymanek.

- Ale Dima, przecież się umawialiśmy...

Tatiana była jedyną osobą, która ze wszystkich zdrobnień imienia Władisław wybrała jego najrzadszy wariant: Dima. Oprócz niej nikt inny nie nazywał Stasowa Dimą. Pozostali znajomi używali form Władik, Stasik i Sławik.

Stasow poznał Tatianę trzy miesiące temu, nawet trochę wcześniej. Po tygodniu zaproponował jej małżeństwo, czym wprawił w niemale zdumienie nie tylko ją, ale i siebie. Za pierwszym razem Tatiana niby mu nie odmówiła, potraktowała jednak oświadczenia niezbyt poważnie. Nie minął tydzień, jak Stasow podjął kolejną próbę, i tym razem otrzymał solenną obietnicę, że powrócą do tematu zimą. Lecz to mu nie wystarczało. Właściwie sam nie rozumiał, czemu go tak przypiliło do żeniaczki z Tatianą, wiedział tylko, że niczego na świecie nie pragnie bardziej. W końcu zdobył jej zgodę na ślub w styczniu.

- Pamiętam, pamiętam, nie wcześniej niż w styczniu. Ale może to jeszcze przemyślisz? Coś się tak uparła na ten styczeń? Pobierzmy się od razu, a wtedy wszystkie problemy rozwiążą się same.

- Niech ci będzie, pod koniec grudnia.

- Nie, teraz. - Władysław Stasow nie ustępował, czując, że nadszedł sprzyjający moment, by przycisnąć nieprzejednaną ukochaną. Tak za nią tęsknił! I tak ją przecież kochał.

- Na początku grudnia.

- Ale po co ta zwłoka? Taniu, proszę cię...

- No dobrze, w listopadzie - poddała się Tatiana.

- Umowa stoi - podchwycił Stasow. - Na początku listopada, najlepiej w Dzień Milicjanta.

- Dimka! Nie przeginaj, i tak już przypierasz mnie do muru.

- Dzięki, Tanieczka. Jak tylko będę miał wolne, przyjadę i skoczmy do urzędu stanu cywilnego. A jak się ma Irocza?

- Znakomicie. Jest radosna jak skowronek, podśpiewuje, gotuje, sprząta. Dba o mnie niczym niańka o niemowlę.

- To się nazywa mieć szczęście.

- Trzeba umieć wybierać krewnych, wtedy szczęście samo się do ciebie uśmiechnie.

Irocza była siostrą pierwszego męża Tatiany. Po rozwodzie mąż wyjechał na stałe do Kanady, a jego rodzona siostra stała się najbliższą przyjaciółką, powiernicą i gosposią Tatiany Obrazcowej, która pracowała jako śledcza, a w wolnym czasie pod pseudonimem Tatiana Tomilina pisała kryminały, ciesząc się dużym wzięciem u czytelników. Tak intensywna działalność nie byłaby możliwa bez Iroczi Miłowanowej, która uwolniła Tatianę od wszelkich życiowych trosk, umiejętnie organizowała jej czas, przedłużając dobę do co najmniej trzydziestu sześciu godzin, tak jak dobra pani domu potrafi ze skąpych zapasów w lodówce wyczarować przyjęcie dla czterech przybyłych bez uprzedzenia gości.

Odłożywszy słuchawkę, Stasow zobaczył, jak do kuchni wślizguje się z rozspaną miną jego ukochane dziecko w piżamce w misie.

- Czy to mama dzwoniła?

- Nie, ciocia Tania. Czemu nie śpisz?

- Ożenisz się z nią? - spytała Lila, całkowicie ignorując surowe ojcowskie pytanie o przyczyny „bezsensowności”.

- No... Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- I będę musiała mówić do niej „mamo”?

- To zupełnie niepotrzebne. A wręcz niewskazane. Masz przecież swoją mamę. Ciocia Tania będzie moją

żoną, więc możesz nazywać ją ciocią Tanią albo po prostu Tanią. Jak będziesz chciała.

Lila odetchnęła z ulgą. Od dawna samodzielna w wyborze książek, przeczytała już tyle „dorosłych” powieści, że w jej główce przemieszały się bez ładu i składu czysto dziecięce wyobrażenia oraz tragiczne historie „z życia wzięte”. Między innymi o złych macochach i nieszcześliwych pasierbicach.

- Tato, a jeśli mama się ożeni...

- Nie ożeni się, tylko wyjdzie za mąż - poprawił ją Stasow.

- Jeśli mama wyjdzie za mąż, będę musiała nazywać jej męża „tatą” czy będę mogła „wujkiem Borią”?

Masz babo placek, pomyślał Stasow. A Ritka tak się zaklinała, że nie przyprowadza swego gacha do domu w obecności Lili. Skąd w takim razie dziewczynka wie o istnieniu Rudina? Rita znowu kłamie. Życie niczego jej nie nauczyło.

- Moje dziecko, po pierwsze, skąd pomyśł, że nowy mąż mamy będzie się nazywał akurat Boris. Co ci przyszło do głowy? Może będzie miał na imię Grigorij, Michaił albo Aleksander.

- Ale on się przecież nazywa Boris Josifowicz, a nie Grigorij czy Michaił. Coś ty, tato, nie wiesz? Boris Josifowicz Rudin.

- Po drugie, kotku - ciągnął Stasow, jakby nie słysząc jej słów - nie wiemy na pewno, czy mama zechce wyjść za niego za mąż.

- Ale oni się przecież spotykają!

Logika dziecka była bez zarzutu, podobnie jak jego wiedza.

- Przyjaźnią się - cierpliwie tłumaczył Stasow. - A czy zrodzi się między nimi głębsze uczucie, które doprowadzi do ślubu, tego jeszcze nie wiadomo. Na dwoje babka wróżyła.

Albo i na troje. Ale nie będzie przecież wyjaśniał Lili, że Rudin jest żonaty i nic nie wskazuje na to, że zamierza się rozwieść. Takich kobiet jak Margarita facet ma na pęczki i pewnie sam nie wie, co z nimi robić.

- A w ogóle, kotku, lepiej idź już spać. Jutro musisz wstać wcześniej do szkoły.

- Coś ty, tato? Jutro przecież sobota.

- Ach tak, zupełnie zapomniałem, że macie soboty wolne. Kiedyś uczyliśmy się również w soboty.

- A ty jutro pracujesz?

- Nie wiem, malutka, to się jeszcze okaże.

Dzień nazajutrz miał się okazać fatalny. O tym jednak były podpułkownik milicji Władisław Stasow dowiedział się dopiero rano.

MAZURKIEWICZ

Usłyszawszy zgrzyt klucza w zamku, Michaił Nikołajewicz Mazurkiewicz, prezes wytwórni filmowej Syriusz, odetchnął głęboko i zerknął na swoje ręce. Trzęsły się tak jak kiedyś w młodości przed egzaminami.

Zaraz przecwiczysz tę wywłokę, tę nierozzgarniętą dziwkę.

Żona poruszała się po przedpokoju ostrożnie, widocznie myślała, że mąż już śpi, i starała się go nie zbudzić.

Mazurkiewicz siedział w salonie w całkowitych ciemnościach i czekał. Kiedy światło się zapaliło, zobaczył Ksenię i zamarł. Wyglądało na to, że potwierdziły się jego najgorsze obawy. Twarz miała bladą, na jej policzkach wykwitły rumieńce, a jasnoniebieskie oczy błyszcząły.

- Jest trzecia w nocy - powiedział, jak umiał najobjętniej. - Mogę wiedzieć, gdzie byłaś?

- Nie, nie możesz - odrzekła beznamyślnie Ksenia. - To nie twoja sprawa.

- Czy do ciebie w ogóle cokolwiek dociera? - uniósł się Mazurkiewicz. - Tysiące razy tłumaczyłem ci, ojciec też ci tłumaczył, że masz dać sobie spokój z tymi eskapadami! Chcesz skończyć w ryszotku razem ze swoimi szoferzynami? Idiotka, kretynka! Nie żądam od ciebie wierności, niepodobna żądać tego od kobiety, która została dziwką, jeszcze zanim się urodziła, ale zachowuj chociaż pozory przyzwoitości! Twój ojciec powiedział wyraźnie: jeśli jeszcze raz ktoś zobaczy żonę Mazurkiewicza, córkę samego Kozyriowa, w samochodzie z przygodnym kierowcą, zakręci nam kurek z kasą. Nic więcej nie dostaniemy. Żadnego wsparcia w interesach. Ani kredytów czy ulg. Tego właśnie chcesz?!

- Odczep się - rzuciła Ksenia, w drodze do łazienki wyjmując z uszu małe kolczyki z brylantami i ściągając przez głowę sweter.

To była cała Ksenia: brylantowe kolczyki nosiła nawet do swetra i dżinsów.

- O brylantach możesz zapomnieć, jak tatuś się do- wie, co wyprawia jego córeczka wbrew zakazowi. Będziemy musieli sprzedać wszystkie twoje świecidełka, żeby spłacić zaciągnięte kredyty.

Ksenia odwróciła się w jego stronę z twarzą wykrzywioną zimną nienawiścią i pogardą. Miała czterdzieści cztery lata i nie wyglądała ani o dzień młodziej. Jej figura zaczęła się zaokrąglać, pod oczami pojawiła się siateczka drobnych zmarszczek, a włosy nie lśniły już tak jak dawniej. Gdy jednak wracała z kolejnego miłosego sam na sam z przygodnie poznanym kierowcą, wyglądała niemal jak piękność.

Takie właśnie miała hobby córka jednego z największych bankierów Rosji, Kozyriowa: wsiadała do samochodu obcego mężczyzny, zawierała z nim znajomość, a potem uprawiali razem seks w jakimś zaułku. Czasem kończyło się to tak, że wewnątrz samochodu oświetlała latarka patrolu milicyjnego i oczom świadków ukazywały się bezwstydnie obnażone kobiece piersi oraz męski zadek. Sporządzano protokół, historia nabierała rozgłosu, Kozyriow i Mazurkiewicz chwyтали się za głowy, a Ksenia beczelnie się uśmiechała, niczemu nie zaprzeczając i nie obiecując poprawy. Można było odnieść wrażenie, że nie dba o to, czy mąż będzie miał pieniądze. Mazurkiewicz wiedział jednak doskonale, że wcale tak nie było. Ksenia przywykła do luksusu i dostatku. Ale jeszcze bardziej do zaspokajania wszystkich swoich zachcianek. Jeśli miała na coś ochotę, nie liczyła się z kosztami. Wiedziała, że Mazurkiewicz jest finansowo zależny od teścia, i dlatego gładko przelknie każdy jej wyskok.

Kobieta chwyciła odłożone na ławę brylantowe kolczyki i z rozmachem rzuciła je na podłogę, mężowi pod nogi.

- Masz, udław się, ty impotencie - wycedziła. - Na straszenie mu się zebrało. Jakbym nie wiedziała, skąd wziąć brylanty...

Trzasnęła drzwiami i zamknęła się w łazience. Michail Nikołajewicz siedział przez jakiś czas nieruchomo, potem nalał sobie kieliszek koniaku i wypił go jednym haustem. Naczynia krwionośne rozszerzyły się, ręce rozgrzały, stopniowo ustąpiły dreszcze. Podszedł pod drzwi łazienki, za którymi słychać było równy szum wody spod prysznicza.

- Widział cię ktoś? - spytał, podnosząc głos.

Ksenia nie odpowiedziała. Może nie słyszy?

- Widział cię ktoś? - powtórzył głośniejsze.

- Jutro się dowiesz - dobiegł go kpiący głos żony.

Jasne, pomyślał Mazurkiewicz, jutro. Jeśli Ksenię znowu ktoś zauważył, to jutro z samego rana dotrą do niego plotki. Cały Syriusz wiedział o problemach finansowych swego szefa i o warunku, który należało spełnić, żeby problemy te zniknęły.

- Dziwka - wyszeptał, dławiąc się z bezsilnej złości. - Ależ z ciebie dziwka!

KAMIENSKA

Sobotni poranek upłynął Nasti Kamińskiej na ulubionym zajęciu - leniuchowaniu. Jeszcze wczoraj na pytanie męża: „Co zamierzasz jutro robić?”, odparła bez wahania: „Leniuchować”.

Właśnie zgodnie z zapowiedzią wylegiwała się teraz w łóżku, popijała mocną czarną kawę i słuchała muzyki, oddając się niespiesznym rozmyśleniom. Trzeba

jednak przyznać, że rozmyślania te były związane z pracą. Początkowo Nastia zastanawiała się nad zniknięciem dowodów rzeczowych w sprawie zabójstwa piętnastoletniego wyrostka. Minęły już cztery miesiące, odkąd ich wydział zajmował się tą zbrodnią. Potem ją analizować zabójstwo, które zważyło się na nich dwa dni temu: zamordowana została cała rodzina znanego moskiewskiego malarza portrecisty. W końcu Anastazja Kamińska z rozdrażnieniem przypominała sobie, że musi odebrać nowy komplet umundurowania, co wiązało się z koniecznością odszukania nakazu przydziału, na który ostatnio i tak nie dostała munduru. Nie miała pojęcia, gdzie wsunęła papier z decyzją, wyglądało więc na to, że nie obejdzie się bez pełnego skruchy raportu o jego zaginięciu.

Zapowiadał się miły, mimo że samotny weekend. Mąż Nasti pracował w podmoskiewskim Żukowskim. Dojazdy zabierały mu dużo czasu, więc w sytuacjach, gdy jego obecność w instytucie była niezbędna kilka dni z rzędu, Aleksiej zatrzymywał się u swoich rodziców, którzy mieszkali dziesięć minut na piechotę od instytutu.

W poniedziałek miała się zacząć kolejna duża międzynarodowa konferencja, poświęcona dziedzinie, w której doktor nauk matematyczno-fizycznych Aleksiej Czistiakow uznawany był za jednego z czołowych specjalistów, więc oczywiście całymi dniami i nocami tkwił w pracy, przygotowując referat i zajmując się mnóstwem spraw organizacyjnych.

Następnym powodem do rozmyślań stało się poszukiwanie odpowiedzi na pytanie dyżurne, które Nastia zadawała sobie każdego ranka już od czterech miesięcy:

„Czy dobrze zrobiłam, wychodząc za męża?”. W te dni, kiedy odpowiedź była przecząca albo rodziła wątpliwości, Nastia chodziła zła jak osa, przeklinając cały świat i samą siebie. Takie dni zdarzały się jednak rzadko. Dzisiaj, w sobotę, 16 września 1995 roku, padła odpowiedź twierdząca, co od razu poprawiło Nastii humor i obudziło w niej nawet pewną energię.

Koło dwunastej Nastia rozpoczęła kolejny etap leniuchowania: przeniosła się do kuchni, gdzie umościła się w przytulnym kąciku, przygotowała sobie grzanki z serem i zawinawszy się w ciepły, puszysty szlafrok, przystąpiła do drugiej części śniadania, składającego się z dwóch filiżanek kawy i szklanki soku pomarańczowego. Zgodnie z planem, który sama sporządziła, próżnować miała do jakiejś czwartej, by następnie przystąpić do pisania raportu analitycznego dotyczącego zabójstw i gwałtów w Moskwie. Takie raporty przygotowywała na dwudziestego każdego miesiąca.

Jak dotąd wszystko szło według planu. Spędziwszy pół dnia na skutecznym nicnierobieniu, za piętnaście czwarta Nastia z żalem zaczęła się żegnać ze słodkim nieróbstwem. Wyciągnęła z torby przyniesione z pracy dokumenty i zabrała się do ich segregowania: na te, które czytało się stosunkowo łatwo, a następnie sporządzało krótkie streszczenie w komputerze, oraz na te, z których należało wynotować dane w całości. Dziesięć po czwartej pracę przerwał jej dzwonek telefonu.

- Nastiu, szykuj się, zaraz przyjedzie do ciebie Korkow - usłyszała nieznoszący sprzeciwu głos pułkownika Gordiejewa. - Skończył dzisiaj dwudziestoczegodzinny dyżur, o dziewiątej dostał wezwanie do trupa,

zeszło mu tam do trzeciej, więc teraz zasypia na stojąco. Przekaze ci materiały, a sam pojedzie się trochę zdrzemnąć. Masz dwie godziny, żeby przemyśleć to, do czego się tam przez pół dnia dokopał. Zrozumiałaś?

- Tak jest, Wiktorze Aleksiejewiczu, wszystko jasne.

A kogo zabito?

- Alinę Waznis.

- Kogo?!

- Alinę Waznis. Aktorkę filmową. Nie miałaś chyba jeszcze okazji pracować w środowisku filmowców?

- Jeszcze nie.

- Syf tam u nich, i tyle... Krótko mówiąc, nic ciekawego. Jedyne jasny punkt tej sprawy jest taki, że Waznis występowała w filmach wytwórni Syriusz, gdzie jako szef ochrony pracuje nasz dawny kolega, Władysław Stasow. Znasz go?

- Trochę.

- To facet przyzwoity w każdym calu, ale ma charakter. Postaraj się znaleźć z nim wspólny język.

- Ja też mam charakter. - Nastia uśmiechnęła się w odpowiedzi. - To on niech szuka ze mną wspólnego języka.

- No, twój charakter nie jest dla nikogo tajemnicą. Przy twoich dziwactwach nawet Stasow wysiada.

- Niech pan da spokój, Wiktorze Aleksiejewiczu, robi pan ze mnie jakiegoś potwora.

- Potworem nie jesteś, ale żmija z ciebie niezła - skonstatował Gordiejew. - Pilnuj się tam, Stasienko, proszę cię. Filmowcy to banda chwiejnych histeryków. Chorobliwa zazdrość, intrygi i pijaństwo na potęgę są tam na porządku dziennym. Znalezienie wśród nich

dobrych świadków graniczy niemal z cudem, dlatego Stasow jest naszym jedynym oparciem w tym szambie.

- Czy mam rozumieć, że zleca mi pan to zabójstwo?

- Tak, tobie i Korotkowowi. Do poniedziałku będziecie zasuwać we dwoje, a potem, jak tylko uporam się z bieżącymi sprawami, może dam mu wolne za dyżur i dorzucę wam kogoś jeszcze.

- Miszę Docenko - natychmiast poprosiła Nastia.

- Nie targuj się, nie jesteś na bazarze. Powiedzia-łem przecież: jak wyjdę na prostą, wtedy zdecyduję.

- Wiktorze Aleksiejewiczu, przecież nie proszę dla siebie. Chodzi mi o dobro śledztwa.

- Po co ci Docenko?

- Dobrze sobie radzi ze świadkami płci żeńskiej. Kobiety otwierają przed nim duszę, nawet tego nie zauważając. Jak tylko Misza wlepie w nie swoje ogromne czarne oczęta, zaczynają gadać jak najęte i żeby tylko mu się przypodobać, przypominają sobie najdrobniejsze szczegóły.

- Patrzcie no, jak najęte... A świadkowie płci męskiej cię nie interesują?

- Z mężczyznami idzie mi nie najgorzej.

- Ciekawe - rzucił z przekąsem szef. - Nie masz przecież takich oczu jak Michaił.

- Za to mam charakter - odparowała Nastia ze śmiechem - i to w nim tkwi moja zabójcza siła.

Jura Korotkow przyjechał jakieś czterdzieści minut później, bladoszary, z sińcami pod oczami po bezsennej nocy, głodny i zły.

Zobaczywszy go w drzwiach, Nastia w jednej chwili postanowiła:

- Zaraz zajmę się twoją reanimacją, do domu w tym stanie nie pojedziesz.

- Aśka, leczę z nóg, puść mnie, muszę się przespać - wyjęczał Korotkow.

- Spać będziesz tutaj, szkoda czasu na drogę.

- A Loszka?

- Co Loszka? Po pierwsze, Loszka jest w Żukowskim, a po drugie, to normalny facet. Nawet gdyby tu teraz był, i tak położyłabym cię do łóżka. Tak więc plan jest następujący: gorący prysznic, żeby krew zaczęła szybciej krążyć, potem obiad, w czasie którego szybciotko mi wszystko opowiesz, następnie pół szklanki martini, żebyś się odprężył i od razu zasnął. Ten cudowny moment powinien nastąpić - Nastia spojrzała na zegarek - o siedemnastej trzydzięci. O wpół do ósmej pobudka, prysznic na otrzeźwienie, coś na ząb, kawa szatan, i będziesz jak nowo narodzony. W ten sposób zyskamy trzy godziny na to, by przed dwudziestą trzecią, nie naruszając zasad dobrego tonu, odwiedzić kogo trzeba. No co tak stoisz, czas tylko marnujesz? Rozbieraj się i wskakuj pod prysznic.

- Na szczęście nikt cię nie słyszy - wymamrotał zmęczony Korotkow, rozpinając koszulę. - Można by pomyśleć, że chcesz mnie zaciągnąć do łóżka.

- Masz rację, właśnie tam cię chcę zaciągnąć. - Nastia parsknęła śmiechem.

Korotkow rzeczywiście zasnął w mgnieniu oka. Nastia dobrze wiedziała, że kiedy mija stan długotrwałego napięcia, człowieka ogarnia senność, ledwie jednak zamknie oczy, już wie, że to na nic. Mózg nadal pracuje,

serce wali jak po biegu na sto metrów, i jeśli na sen ma się niewiele czasu, dobrą połowę pochłania proces wy-
ciszzenia się i odprężenia. Dlatego tak istotne jest pra-
widłowe przygotowanie się do krótkiego odpoczynku.

I sprawa najważniejsza - nie należy spać w ubraniu, zwinąwszy się w kłębek na zsuniętych krzesłach, przy-
krywszy się kurtką. Trzeba najpierw się rozebrać i po-
łożyć do łóżka z czystą pościelą, dzięki czemu krążenie
wróci do normy, a mięśnie się rozluźnią.

Tę lekcję Nastia Kamińska opanowała bez zarzutu,
bo niejednokrotnie sama doświadczała niemałych kło-
potów ze snem.

Nastia siedziała w kuchni i kreśliła na kartkach pa-
pieru jakieś zawijasy, kółeczka i strzałki, rozmyślając
nad tym, co Korotkow zdążył jej opowiedzieć przy
obiedzie.

Dzisiaj o siódmej rano Alina Waznis, młoda, ale już
dość znana aktorka, miała się zjawić na planie filmo-
wym. Kiedy nie pokazała się do wpół do ósmej, zaczęto
się niepokoić. Jej domowy telefon nie odpowiadał. O
ósmej reżyser Andriej Smułow, kochanek Aliny, posta-
nowił do niej pojechać.

Miał klucze do jej mieszkania, co nikogo nie dziwiło,
bo wszyscy w wytwórni wiedzieli o ich związku, który
trwał już cztery lata. Smułow oświadczył, że jego samo-
chód jest niesprawny, i poprosił, żeby go ktoś podrzu-
cił. Ostatecznie pojechał do Aliny razem z asystentem
operatora, Nikołajem Kotinem. Kiedy mimo natarczy-
wych dzwonek do drzwi Waznis im nie otworzyła,
weszli do mieszkania i znaleźli ją uduszoną. Lekarz,
który przyjechał wraz z grupą operacyjną, stwierdził, że
śmierć Aliny Waznis nastąpiła mniej więcej siedem do

dziewięciu godzin wcześniej, to znaczy między północą a drugą w nocy.

Podejrzenie, jak to bywa w takich wypadkach, od razu padło na kochanka ofiary, reżysera Andrieja Smułowa. Jednak już pierwsze rozmowy z członkami ekipy filmowej pokazały, że Andriej Lwowicz na śmierci Aliny stracił najwięcej. Oto co oznajmił Korotkowowi prezes Syriusza, Michaił Nikołajewicz Mazurkiewicz:

„Kariera zawodowa Andrieja nie układała się najlepiej. Smułow kręci kryminały i thrillery. Jego pierwszy film natychmiast zyskał rozgłos - zrobiony był z ogromnym talentem i Smułow, jak piszą w książkach, obudził się pewnego pięknego ranka w aureoli sławy. Później zrobił drugi film, trochę słabszy, a potem trzeci, jeszcze słabszy. Wszyscy zachodzili w głowę, co mogło się stać. Nikt nie wątpił, że Andriej Lwowicz jest niesłychanie zdolny, ale z jakiegoś powodu każdy jego kolejny film nieznacznie, a czasem bardzo wyraźnie przypominał poprzednie produkcje. Później Smułow spotkał Alinę, była wtedy studentką szkoły teatralnej i występowała w filmach kręconych w naszym studiu muzycznym.

Smułow zaryzykował i dał Alinie szansę, bo po pierwsze, dziewczyna była naprawdę dobrą aktorką, a po drugie, zakochał się w niej bez pamięci. Zresztą ona też świata poza nim nie widziała. Ciężko razem pracowali - Smułow powierzył jej role w trzech swoich filmach i uczył aktorstwa. Alina stała się niewątpliwie ozdobą jego filmów, ale one i tak były coraz słabsze. Jednakże Andriej, który w ogóle stanowił rzadki okaz pracoholika, nie zrezygnował i w końcu, w ubiegłym roku, stworzył arcydzieło. Rozumie pan? Przeszedł

samego siebie. Wspiął się na nowy szczebel kariery artystycznej i znowu zrobiło się o nim głośno. A jeśli chodzi o Alinę... Nie wiem, co takiego się między nimi wydarzyło, miłość ich uskrzydliła, czy jak to się tam mówi, ale Alina swoją grą wszystkich po prostu oszłomiła. Film otrzymał kilka prestiżowych nagród, a Alinę Waznis i Andrieja Smułowa obwołano gwiazdorską parą. Prawdę mówiąc, wszyscy się bali, że po tym sukcesie zechcą zalegalizować swój związek, Alina była przecież niezamężna, a Smułow rozwiódł się dawno temu. Dlaczego się bali? Bo Alina była bardzo ładną aktorką, symbolem seksu, a każdy widz płci męskiej chciałby wierzyć, że i on mógłby zdobyć gwiazdę. O ile mi jednak wiadomo, o ślubie nikt nie wspominał.

Po tamtym sukcesie Smułow niezwłocznie zabrał się do pracy nad następnym filmem, oczywiście z Aliną w roli głównej. Ten film był, powiem panu... chyba nawet lepszy niż poprzedni. Andriej jakby złapał drugi oddech. Tydzień temu ekipa skończyła ostatnie zdjęcia w plenerze, gdzie Alina wykazała się tak nieprawdopodobnym mistrzostwem, że po obejrzeniu nakręconego materiału wśród filmowców rozległy się brawa. Wyobraża pan sobie? Trwa roboczy przegląd dubli, na sali siedzą praktycznie ci sami ludzie, którzy uczestniczyli w zdjęciach, to znaczy ci, którzy wszystko już sto razy widzieli, a mimo to nie mogą się powstrzymać od oklasków. Jedno ujęcie okazało się szczególnie udane. Bohaterka, którą gra Alina, stoi w tłumie i nagle widzi coś przerażającego. I proszę sobie wyobrazić, że jej twarz, od czoła po samą szyję, pokrywa bladość, oczy się zapadają, wargi szarzeją. Bez żadnego makijażu, bez

montażu, bez efektów specjalnych! Ona sama, siłą swego talentu, potrafiła wywołać u siebie taką reakcję. Jeszcze żadnej aktorce na świecie nie udało się coś podobnego! Oto kim była Alina Waznis. Powiedzieliśmy wtedy Smułowowi, że to ujęcie wejdzie do kanonu kina światowego, tak samo jak kadr z wózkiem dziecięcym toczącym się w dół schodów w *Pancerniku Potiomkin* albo finałowa scena i uśmiech Giulietty Masiny w *Nocach Cabirii*. Rozumie pan, co mam na myśli? Krótko mówiąc, nowy film przyniósłby Smułowowi i Alinie światową sławę. Do nakręcenia pozostało zaledwie kilka epizodów... Nie wiem, jak Andriej to przeżyje. Taki cios! Dla nas zresztą też. Zainwestowaliśmy w tę produkcję duże pieniądze, bo spodziewaliśmy się ogromnych zysków. Teraz znowu wpadniemy w długie...”. Z rozmowy z asystentką reżysera Eleną Albikową: „Alina była bardzo skryta. Nie, nie zamknięta w sobie, lecz właśnie skryta. W towarzystwie śmiała się, żartowała, mogła przebalować całą noc aż do rana, ale tak naprawdę nikt o niej nic nie wiedział. Może poza Andriejem Lwowiczem. W naszym gronie nie miała żadnej przyjaciółki od serca ani nawet po prostu dobrej koleżanki. Cały jej świat koncentrował się wokół Andrieja Lwowicza.

Czy Alina była dobra? Nie wiem. Osobiście nie znalazłam jej dobroci. Owszem, prawdą jest, że ten i ów jej nienawdził. Kto konkretnie? No, na przykład ta stara wiedźma, Zoja Siemiencowa. Za co? Nie wiem. Cała się trzęsła, jak słyszała o Alinie. Kto jeszcze? Chyba żona naszego szefa? Dokładnie nie wiem, ale słyszałam, że Ksenia Mazurkiewicz publicznie obraziła Alinę,

a ta zamierzała się jakoś odegrać. Nie, szczegółów nie znam...”.

Z rozmowy z reżyserem Andriejem Smułowem:

„To koniec... Całe moje życie legło w gruzach. Bez Aliny jestem nikim. Nie wiem, jak mam dalej żyć... Jak pracować... Jak oddychać...”.

Nastia wyłączyła magnetofon i nałala sobie kolejną filiżankę kawy. Czyli że dzisiaj będzie musiała spróbować wybadać, co to za stara wiedźma ta Zoja Siemienkowa i czemu „dosłownie się trzęsła”, kiedy słyszała o Alinie Waznis. Przydałoby się też dowiedzieć czegoś więcej na temat tej historii z publiczną zniewagą Aliny, której dopuściła się żona Mazurkiewicza, Ksenia. Korotkowowi pozostawała jeszcze godzina snu, więc Nastia zasiadła przy telefonie. Do wpół do ósmej obdzwooniła z dziesięć osób i udało jej się ustalić następujące fakty:

Aktorka Zoja Siemienkowa nienawidziła Waznis już od dawna. Źle jej życzyła jeszcze w czasach, kiedy Alina występowała w studiu muzycznym. Bliższe szczegóły mógł podać kierownik artystyczny studia, Leonid Siergiejewicz Diegtiar, telefon domowy... służbowy... adres...

Cztery dni temu, na ostatnim pokazie w Centrum Filmowym Ksenia Mazurkiewicz, znajdując się w stanie silnego upojenia alkoholowego, oświadczyła publicznie, że Alina nie ma żadnej osobowości, cała jej gra aktorska została „obmyślona, zainscenizowana i stworzona przez Smułowa, a sama Alina nie jest nikim innym, tylko pustą w środku, malowaną lalą. To nie przypadek, że nie umie sklecić dwóch zdań, bo będąc tępą, ograniczoną i niewykształconą samicą, nadaje się tylko do tego, żeby wskoczyć reżyserowi do łóżka i paradować z gołymi cyckami na planie. Czegóż innego

można się spodziewać po córce niepiśmiennego chłopca z Łotwy, który aby otrzymać moskiewski meldunek, ożenił się z niemającą powodzenia u mężczyzn Żydówką? Fenomenalna tępota pomnożona przez żydowski spryt”.

Po tym incydencie Alina Waznis zaczęła wypytywać o adres i numer telefonu Walentina Pietrowicza Kozyriowa, ojca Kseni. Zwykle opanowana i nieskora do okazywania swoich emocji, tym razem wyglądała na wielce poruszoną i zdecydowaną.

Na koniec wypłynęło nowe nazwisko: niejaki Charitonow, również zatrudniony w Syriuszu, pożyczył od Aliny Waznis okazałą sumkę na piętnaście procent miesięcznie i już kilka miesięcy zwlekał ze spłatą. Wczoraj, to znaczy 15 września, Alina twardo zażądała natychmiastowego zwrotu całego długu z odsetkami.

A zatem trzy osoby, trójka podejrzanych. Dwie kobiety i jeden mężczyzna. Od kogo zacząć?

MAZURKIEWICZ

Po odjeździe grupy operacyjnej Mazurkiewicz wezwał do siebie Stasowa.

- Znasz któregoś z nich? - spytał, mając na myśli funkcjonariuszy milicji.

- Dwóch - skinął głową Stasow. - Jurę Korotkowa i śledczego Gmyrię. Pozostałych nie kojarzę.

- No i co o nich sądzisz?

- W jakim sensie? - ostrożnie zapytał Stasow.

- Poradzą sobie?

- Czy ja wiem, Michaił Nikołajewiczu. - Stasow wzruszył ramionami. - Trudno przewidzieć. To zależy. A...

- Zrobimy tak - przerwał mu Mazurkiewicz, patrząc gdzieś w bok. - Odłóż wszystkie inne sprawy i dowiedz się, gdzie była moja żona wczoraj wieczorem.

- Co, znowu? - współczująco zapytał Stasow.

- Powiedziałem: dowiedz się. Tylko nie kręć. Załatw to szybko i dokładnie.

- Boże, co panu przyszło do głowy! Młoda kobieta, pańska najlepsza aktorka, została zamordowana, a pan...

- Właśnie o to mi chodzi - rzucił ostro Michaił Nikołajewicz.

- Myśli pan, że pańska żona miała coś wspólnego z zabójstwem? - zdziwił się Stasow.

- Nie twój interes, co myślę. Dowiedz się, gdzie była wczoraj, i to jak najszybciej. W domu zjawiała się o trzeciej nad ranem.

- Jak pan sobie życzy.

Stasow wyszedł z gabinetu bez pożegnania i Mazurkiewicz domyślił się, że szef ochrony jest w najwyższym stopniu niezadowolony i zaniepokojony. Sam Michaił Nikołajewicz bynajmniej nie był zaniepokojony. Zżerał go paniczny strach.

O dziewiątej rano odebrał telefon z wytwórni z wiadomością, że Alina nie żyje. Dzwonek telefonu obudził Ksenię. Żona słyszała całą rozmowę i Mazurkiewicz nie mógł nie zauważyć wyrazu zadowolenia, który przemknął jej po twarzy. No cóż, to w końcu całkiem zrozumiałe, gdy czterdziestoczteroletnia, starzejąca się

dziwka zazdrości dwudziestopięcioletniej ślicznotce i nienawidzi jej za to, że jest młoda, sławna i pociągająca. Wtedy się tym nie przejął. Po kilku godzinach okazało się jednak, że zniknęły brylanty Aliny. I od razu przypomniał sobie wykrzywioną w pogardzie i zimnej nienawiści twarz Kseni, rzucającej mu pod nogi drogie kolczyki, i jej słowa: „Udław się, ty impotencie! Na straszenie mu się zebrało. Jakbym nie wiedziała, skąd wziąć brylanty”. W tym momencie Michaiła Nikołajewicza Mazurkiewicza, prezesa wytwórni filmowej Syriusz, ogarnęło prawdziwe przerażenie. Tak, słyszał, jak jego żona obrzucała błotem Alinę kilka dni temu na pokazie w Centrum Filmowym. O tym jednak, że Alina zamierzała skontaktować się z jego teściem, bankierem Kozyriowem, dowiedział się dopiero dzisiaj. Nic w tym dziwnego, podobno mąż dowiadyuje się zawsze ostatni. Ksenia usłyszała o tym na pewno wcześniej. I oto są rezultaty... Film, który pochłonął tyle pieniędzy, pozostał niedokończony, wytwórnia znowu tonęła w długach, a on, Michaił Mazurkiewicz, mąż dziwki i rogacz, stał się teraz mężem morderczyni. Boże kochany, za jakie grzechy?

ALINA WAZNIS DZIEWIĘTNAŚCIE LAT PRZED ŚMIERCIA

Po raz pierwszy Alina Waznis dotkliwie odczuła swoją samotność, kiedy miała sześć lat. Jej matka zmarła rok wcześniej, zostawiając dziewczynkę z ojcem i dwoma starszymi braćmi, trzynasto- i dziewięcioletnim. Siostra ojca od razu po pogrzebie zaczęła

przekonywać Wałdisa, że powinien się jak najszybciej powtórnie ożenić, bo pozbawiony kobiecej ręki dom z miejsca podupadnie, a dzieci odwrócą się od rodziny. To ona właśnie podsunęła mu jakąś daleką krewną z Łotwy, którą ściągnęła prosto z chutoru, gdzieś spod Lijepai. Pół roku po śmierci żony Wałdis Waznis ożenił się po raz drugi. Inga była małomówna, nieskora do czułości, ale pracowita i bardzo dobra. O dzieci dbała, domem się zajmowała. Niczego więcej od niej nie wymagano.

Pewnego dnia do sześciolatniej Aliny podszedł na ulicy chłopak, na oko siedemnastoletni. Był wysoki, przeraźliwie chudy, na zapadniętych policzkach wyraźnie odznaczały się ohydne czerwone pryszcze i duża brązowa brodawka. Chłopak podał Alinie cukierka w błyszczącym złotku i przykucnął przed nią. Dziewczynka podeszła do niego z ufnością, a wtedy wyrostek ujął ją ostrożnie za rękę i zaczął coś do niej mówić. Alina prawie nic wtedy nie zrozumiała, znaczenia wielu słów nie знаła, dotarło do niej jednak, że chłopak zamierzał zdjąć jej majteczki, by potem robić coś z jej długimi, gęstymi kasztanowymi włosami. Nie przstraszyła się słów, lecz oczu tego chłopaka... Były straszne, podobnie jak cała twarz. A także głos, drżący i wibrujący. Oraz dłoń, która z jakiegoś powodu wilgotna, mocno ścisnęła jej małą rączkę. Nagle chłopak zająknął się, na chwilę zmrużył oczy, a później westchnął ciężko i zwolnił uścisk.

- Nie mów o tym nikomu - powiedział, wstając. - Inaczej ci oczy wykluję.

Alina ani przez chwilę nie wątpiła, że chłopak spełni swoją groźbę.

Męczyła się przez dwa dni, po czym spytała jednak starszego brata Imanta, który skończył już czternaście lat.

- Imant, co to takiego sperma?

Brat spłoszył.

- Nie waż się wymawiać tego słowa! - rzucił ostro. - To bardzo brzydkie słowo. A jak mała dziewczynka będzie je powtarzać, dostanie w ustach paskudnych liszajów. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze. Jasne?

- Tak, Imant - odparła posłusznie mała Alina. - Nigdy więcej nie wymówię tego słowa.

Obiecać było łatwo, gorzej dotrzymać obietnicy. Było to jedyne nieznanne słowo, które udało jej się zapamiętać z bełkotu chłopaka, i ciekawość w końcu przeżyła. Po kilku dniach Alina zapytała o nie koleżankę w przedszkolu. Ona też nie wiedziała, co to takiego sperma, ale obiecała zapytać rodziców. Na drugi dzień koleżanka od progu oznajmiła:

- Nie będę się więcej z tobą zadawać. Moja mama powiedziała, że jesteś złą i zepsutą dziewczynką, skoro mówisz takie brzydkie słowa, i że nie powinnam nawet zbliżyć się do ciebie, żeby się nie zarazić.

Do wieczora pozostałe dzieci z grupy również zaczęły się od niej odsuwać. Nocą Alina gorzko szlochała w poduszkę i myślała z rozpaczą: No i dobrze, nie musicie się ze mną przyjaźnić. Już nigdy więcej nikomu nic o sobie nie powiem. Nigdy. Nikomu. Nic. Nikogo nie potrzebuję. Ja też nie jestem nikomu potrzebna. Będę zupełnie sama... Zupełnie sama...

Przez długie lata będą przy niej jedynie dwaj mężczyźni oraz obca, nieczuła i małomówna kobieta. Alina

przyzwyczajai się do życia w samotności i ukrywania myśli. Przyzwyczajai się do życia bez przyjaciółek, bez szczerych rozmów, bez poufnych zwierzeń.

Gdyby brat Imant zapytał ją najpierw, gdzie usłyszała to zakazane dla sześciolatniej dziewczynki słowo... Gdyby wychowawczynie w przedszkolu zainteresowała się, dlaczego dzieci nie chcą się bawić z małą Waznis... Gdyby Waldis albo Inga Waznisowie zwrócili uwagę na to, że Alina nie ma żadnych koleżanek, że nikt do niej nie dzwoni, nie odwiedza jej i nie zaprasza do siebie... Póki jednak Alina dobrze się uczyła i nie chorowała, nie wymagała szczególnej uwagi ojca i matki. Gdyby Imant nie wystraszył jej lizajami w ustach, gdyby rodzice koleżanki nie powiedzieli, że można się od niej zarazić, bo używa takich nieprzyzwyczajonych słów... Gdyby...

Tak się jednak nie stało. Od tej pory Alina Waznis skazana była na samotność i nieustanną, głęboko ukrytą w sercu, głuchą i bezdenną rozpacz.

Rozdział 2

KAMIENSKA

Leonid Siergiejewicz Diegtiar, założyciel i kierownik artystyczny studia muzycznego wytwórni filmowej Syriusz, słyszał już o tragedii, która się wydarzyła, więc żywo i chętnie przystał na prośbę Nasti o spotkanie i rozmowę. Od kilku dni dokuczało mu zapalenie korzonków, toteż długo się tłumaczył i przepraszał, zaproponował, żeby Nastia odwiedziła go w domu. Mieszkał w tej samej części Moskwy, co Nastia, więc w sobotę, 16 września, koło dziewiątej wieczorem, pani major przekroczyła próg jego dużego i bardzo oryginalnego mieszkania.

Leonid Siergiejewicz, opatulony od stóp do głów w ciepłe puchowe chusty, przypominał zgrzybiałego starca, ale Nastia zasięgnęła o nim wcześniej informacji i wiedziała, że mężczyzna ma dopiero pięćdziesiąt dwa lata, a gdy dopisuje mu forma, wspaniale jeździ na nartach i chętnie grywa w siatkówkę. Kamińska już w drzwiach usłyszała znajome z dzieciństwa dźwięki uwertury do *Traviaty*. Od razu sobie przypomniała, że przeglądając rano program telewizyjny, natknęła się na filmową adaptację opery, która miała zacząć się mniej więcej o tej porze na petersburskim kanale. Żał jej się teraz zrobiło, że nie obejrzy spektaklu. Posłuchałaby muzyki z przyjemnością. Zresztą może nie wszystko jeszcze stracone: skoro gospodarz włączył telewizor, też

go to chyba interesuje. A nuż uda się chociaż jednym uchem ...

- Proszę do środka. - Diegtiar wykonał zapraszający gest. - Przepraszam na chwilę, włączę tylko wideo, żeby nagrać *Traviatę*. Później jej posłucham.

- A może mógłby pan nagrać na dwie kasety? - wyrwało się Nasti mimo woli. Odezwała się, zanim zdążyła pomyśleć.

Leonid Siergiejewicz zerknął na nią zdziwiony i szurając nogami, skierował się do pokoju.

- Jasne, nie ma problemu. Pani również jest melomanką? Czy interesuje się pani tylko tak, ze względu na obowiązki służbowe?

- Nie, to nie przez pracę. Lubię operę, a *Traviatę* w szczególności.

Diegtiar podłączył równoległe dwa magnetowidy, włożył do nich kasety i odwrócił się do Nasti:

- Ciekawe, dlaczego akurat *Traviatę*? Z uwagi na ładną muzykę?

W jego głosie Nastia uchwyciła lekką nutkę szyderstwa i ton wyższości prawdziwego melomana i znawcy wobec dyletanta o powierzchownej wiedzy. No cóż, dzisiaj operą pasjonują się tylko nieliczni, a co dopiero funkcjonariusze milicji. Jednak *Traviatę*, przynajmniej z nazwy, znają praktycznie wszyscy. Powiedzieć zatem, że lubi się tę operę, to tak, jakby się mówiło: „Bardzo lubię Puszkina, szczególnie *Eugeniusza Oniegina*”.

- Właściwie to lubię *Traviatę* i *Damę Pikową* - wyjaśniła z uśmiechem Nastia. - Bo opowiadają o życiu, o prawdziwych tragediach, o miłości i śmierci. Innymi

słowy, o żywych, zwyczajnych ludziach, nie tylko o królach, księżniczkach, złych czarodziejach i bohaterach w przebraniu. Natomiast jeśli chodzi o muzykę, wolę *Trubadura* i *Bitwę pod Legnano*. Ale to oczywiście rzecz gustu.

- Tak? - Leonid Siergiejewicz nagle się ożywił. - Zabawne, to doprawdy zabawne...

- Co pana tak bawi? - zaniepokoiła się Nastia.

- Właśnie z powodu *Trubadura* wybuchł skandal między Aliną Waznis a Zoją Siemienową...

...Studio muzyczne wytwórni Syriusz, produkujące głównie teledyski do muzycznych hitów, zajęło się również kręceniem adaptacji oper. Ich odbiorcy należeli do wąskiego kręgu prawdziwych melomanów, którzy nie zadowolają się tym, że wypożyczą kasetę i raz ją obejrzą, lecz kupują ją, by słuchać muzyki na okrągło. Kasety były bardzo drogie, ale miłośnikom opery to nie przeszkadzało. Do filmów angażowano dobrych aktorów, projektowano wspaniałe dekoracje, wiele scen kręcono w plenerze. Udźwiękowienie odbywało się przy użyciu oficjalnych albo pirackich nagrań sławnych śpiewaków i najlepszych orkiestr. Nie od dziś wiadomo, jak trudno znaleźć młodego przystojnego tenora albo młodą czarującą sopranistkę, żeby ich mistrzostwo zarówno wokalne, jak i dramatyczne przydało filmowi splendoru. Wielki Caruso był mały i gruby. Najlepsza współczesna sopranistka świata Montserrat Caballe nie mieści się na ekranie. Pavarotti jest otyły, Carreras przystojny, ale niewielkiego wzrostu. Z przystojnego i wysokiego Domingo nawet najlepszy charakteryzator nie uczyni młodzika. Tylko głos światowej sławy może

skusić prawdziwego konesera do nabycia kasety. Trzeba więc było kombinować.

Alina Waznis początkowo dorabiała w studiu w epizodach, potem powierzono jej role drugoplanowe: Paulinę w *Damie Pikowej*, Amneris w *Aidzie*, Alicję w *Łucji z Lammermooru*. Po nakręceniu *Trubadura*, wystawionego w Metropolitan Opera z Luciano Pavarottim i Mirellą Freni, Diegtiar wpadł na pomysł, aby zrobić również ten film. Na zdjęcia próbne do głównej roli żeńskiej - młodej piękności Leonory - zaproszono Alinę Waznis, a do drugiej roli żeńskiej - starej Cyganki Azuceny - Zoję Siemencową. Zoja była już dobrze po czterdziestce, wskutek nadużywania alkoholu jej cera dawno straciła świeżość, toteż do roli starej Cyganki pasowała jak ulał. Tymczasem nagle, ni stąd, ni zowąd, u Diegtiara zjawiała się Alina Waznis i powiedziała coś, od czego w Leonidzie Siergiejewiczu zagotowała się krew.

- Chcę zagrać Azucenę - oznajmiła dziewczyna.

- Kogo chcesz zagrać? - zapytał kierownik artystyczny i jednocześnie reżyser *Trubadura*, uznawszy, że się przesłyszał.

- Chcę zagrać Azucenę - powtórzyła Alina.

- Masz gorączkę? Na głowę upadłaś? Jaką Azucenę? To stara Cyganka, przeczytaj libretto, jak nie wiesz. Zoja ją zagra.

- Czytałam libretto, i dlatego chcę zagrać Azucenę. A Leonory nie zagram. To nieciekawa postać. Kocha jednego mężczyznę i żeby nie poślubić innego, chce się zamknąć w klasztorze. A kiedy ukochany ma umrzeć, wypija truciznę, żeby opuścić ten świat razem z nim.

Monolitowy charakter, wszystko jasne jak na dłoni. Nie ma się nad czym zastanawiać.

- No i ten monolitowy charakter masz zagrać. Nie rozumiem, o co ci chodzi. - Leonid Siergiejewicz rozłożył ręce.

- Postać Leonory jest nieciekawa - uparcie powtórzyła Alina. - Proszę mi dać Azucenę.

- Ale nie rozumiem...

- Wie pan, trudno mi to wytłumaczyć. Lepiej przyniosę panu pisemną interpretację roli i wtedy sam pan się przekona.

Następnego dnia Alina wręczyła Diegtiarowi kilka kartek zapisanych wyraźnym, dużym pismem. Ich treść zaskoczyła reżysera. Alina rzeczywiście zobaczyła w postaci starej Cyganki to, co zwykle umykało uwadze, w każdym razie z taką interpretacją Diegtiar nigdy się nie spotkał. Natychmiast wyobraził sobie, jak można by wszystko to przekazać za pomocą artystycznych środków wyrazu... Obraz jawił się kuszący, bo takie podejście gwarantowało, że film nie będzie szablonowy, podobny do innych „obrazków”, podkładanych pod najlepsze głosy świata, lecz zapisze się jako dzieło pełne dramatyizmu i prawdziwych emocji. Jednakże decyzja o powierzeniu roli Azuceny młodej Waznis natychmiast rodziła dwa pytania: kto zagra Leonorę i co zrobić z Zoją Siemencową, która przeszła już zdjęcia próbne i została zatwierdzona do roli. Ze znalezieniem zmienniczki Aliny nie będzie kłopotu, młodych i ładnych aktoreczek nie brakuje. W zasadzie Alina ma przecieżyć rację, rola Leonory nie jest wcale skomplikowana. A co do Zoi...

Z Zoją Siemencową sprawa przedstawiała się o wiele gorzej. Aktorka przeżyła straszną tragedię. Ledwie uszła z życiem z wypadku samochodowego, w którym zginęli jej mąż i córka. Po wyjściu ze szpitala zaczęła szukać pocieszenia w alkoholu i z kategorii poważnej, profesjonalnej aktorki drugiego planu szybko spadła do rangi odtwórczyni ról epizodycznych, a wkrótce została w ogóle bez pracy. Nikt nie chciał się z nią wiązać ze względu na jej pijacką niesolidność i skłonność do hysterii. Potem Zoja długo się leczyła i wyglądało na to, że się pozbierała. Azucena była pierwszą rolą, którą powierzono jej po długiej przerwie. Powierzono nie bez obaw, po wielu prośbach i zapewnieniach ze strony Zoi, że tym razem na pewno „nie nawali”. Zoja budziła litość, zresztą była całkiem niezłą aktorką. Jak więc teraz odebrać jej rolę, którą wyblagała sobie z takim trudem, drogą takich upokorzeń? Jak powiedzieć, że nie będzie grała Azuceny? W *Trubadurze* była jeszcze tylko jedna rola żeńska, zupełnie epizodyczna, tyle że dla młodej kobiety. Zoja najzwyczajniej w świecie do niej nie pasowała.

Krótko mówiąc, skandal był okropny. Zoja darła się wniebogłosy, że udusi tę smarkulę, płakała, prosiła, błagała niemal na klęczkach. To była przecież jej szansa, by udowodnić, że znowu może pracować. Tę szansę jej odebrano. I to w jaki sposób! Przyznano jej rolę, a potem się rozmyślono. Plotkom i gadaniu nie było końca! Po czymś takim żaden reżyser nic już jej nie proponuje. Każdy pomyśli: co ta alkoholiczka musiała nawywijać, że odebrano jej rolę? O nie, lepiej się trzymać od niej z daleka.

W końcu Azucenę zagrała Alina Waznis i zrobiła to rzeczywiście świetnie. Filmowi zapewniono profesjonalną reklamę, więc wszystkie kasety rozeszły się błyskawicznie, dwukrotnie wznawiano nakład.

Po *Trubadurze* Diegtiar postanowił nakręcić *Rigoletto*, wykorzystując w tym celu znane nagranie z Mariem del Monakiem i Rainą Kabaivanską. Alinie zaproponował oczywiście rolę Gildy, liczył jednak po cichu, że aktorka znów coś wymyśli, powie na przykład, że Gilda jej nie interesuje, za to z przyjemnością zagra niewielką rolę Magdaleny. Lecz i tym razem Alina zachowała się nietypowo, nie wspominając ani słowem o Magdalenie.

- Chętnie zagram Gildę - oznajmiła. - Ale tak, jak ją rozumiem, a nie jak było przyjęte do tej pory.

- To znaczy jak? - podejrzliwie spytał Leonid Siergiejewicz.

- Trudno mi to wyjaśnić, lepiej panu napiszę.

No i napisała. Ogólnie rzecz biorąc, historia się powtórzyła. Adaptacja *Rigoletta* odniosła taki sam sukces jak *Trubadur*. Potrójny nakład kaset wykupiono niemal na pniu.

- A co z Siemencową? - Nastia wróciła do interesującego ją tematu.

- Właściwie nic. Prawie cały czas jest bez pracy. Po tym incydencie z Azuceną znowu zaczęła pić, potem znowu się leczyła... Niedawno miała zdjęcia próbne do epizodu, ale nieudane. Nie dostała roli. Od tamtej pory nienawidzi Aliny z całego serca. No cóż, można ją chyba zrozumieć.

- Leonidzie Siergiejewiczu, a czy nie dziwiło pana, że Alina nie chciała mówić o swoich rolach, lecz przynosiła panu interpretacje na piśmie?

- Co pani chce przez to powiedzieć? Że ktoś pisał je za nią? Skąd, zapewniam panią, że nie. Alina rzeczywiście była, jak by to delikatnie ująć... gigantem myśli, ale nie gigantem słowa. Jeśli rozumie pani, o co mi chodzi. Miała kłopoty z wysławianiem się, jej wypowiedzi były bardzo ubogie. Mogła się pochwalić wspaniałą pamięcią, z łatwością uczyła się ról i recytowała je bez zająknięcia, ale z wyrażaniem własnych myśli zawsze miała problem. Wpadała w jakieś otępienie, coś tam mamrotała, powtarzała słowa, nie mogła dokończyć zdania, gubiła gdzieś podmiot. Wypowiadała się fatalnie. Pisać natomiast umiała świetnie. Wie pani, to się dość często zdarza, ale na odwrót. Człowiek może być znakomitym, wyrazistym i sugestywnym mówcą, a jak trzeba przelać myśli na papier - wszystko gdzieś się ulatnia. Suche, służbowe zwroty, aż przykro czytać. Z Aliną było jednak odwrotnie. Zresztą sama się może pani przekonać, zachowałem jej zapiski o Azucenie i Gildzie. Dać je pani do przeczytania?

- Oczywiście, Leonidzie Siergiejewiczu. Bardzo panu dziękuję. A tak w ogóle dobrze znał pan Alinę?

- Czy ja wiem... Grała u mnie przez trzy lata, dopóki Andriusza Smułow nie zabrał jej. Jakies cztery lata temu. W tym czasie często ją widywałem, pracujemy w końcu w tej samej firmie, ale rozmawialiśmy sporadycznie. Muszę przyznać, że przy Andriuszy rozwinęła się jako aktorka. Miała wielki talent, ale... To tak jak z ustnymi wypowiedziami. Ciągle coś jej przeszkadzało i nie mogła się w pełni otworzyć. Czułem, że drzemia w niej ogromne możliwości, ale tak głęboko ukryte, że sama Alina nie wiedziała, jak je w sobie wyzwolić. Odnosiłem wrażenie, że wstydzi się publiczności. Zdjęcia

atelierowe zawsze wypadają znakomicie, ale gdy tylko przenosiliśmy się w plener - koniec. Alinę jakby coś paraliżowało. W studiu otaczały ją znajome twarze, a w plenerze prawie zawsze zbierał się tłum ciekawskich. Andriej potrafił sobie z tym poradzić, chwała i cześć mu za to. Długo się z nią szarpał, ale udało mu się. Zginęła taka aktorka! U progu kariery... Strasznie mi żal Andrieusza. Nie tylko ją przecież kochał, to była jego aktorka. Bez Aliny nie stworzy już nic sensownego, i to teraz, kiedy złapał drugi oddech... Szkoda.

Diegtiar przysunął Nasti popielniczkę.

- Zdaje się, że pani pali, proszę się nie kępować, przecież widzę, jak się pani męczy, ciągle pani zerka na popielniczkę. Dym mi nie przeszkadza.

Nastia kiwnęła głową z wdzięcznością i z przyjemnością zapaliła papierosa. Podobało jej się tutaj, w tym mieszkaniu pozbawionym ścianek działowych, stanowiącym duży salon, obwieszony fotografiami sławnych muzyków i śpiewaków. Jednym uchem słyszała nieśmiertelną muzykę Verdiego i nie chciało jej się stąd wychodzić, choć zasady przyzwoitości wymagały, aby zakończyć wizytę, minęła już bowiem dziesiąta.

- Proszę mi opowiedzieć o Zoi Siemencowej - prosiła Diegtiara.

- A co panią interesuje? Domyślam się, że chce pani wiedzieć, czy mogła zabić Alinę?

- Jest pan bardzo bezpośredni, Leonidzie Siergiejewiczu.

- Szokuje to panią? No cóż, odpowiem krótko: tak, mogła. Ze względu na stan ducha czy też psychiki, jeśli woli pani to słowo, mogła. Z pewnością. Jeśli zaś

chodzi o warunki fizyczne, to wątpię. Alina nie była oczywiście typem koszykarki, ale chuchrem też bym jej nie nazwał. Była kobietą średniego wzrostu, miała mniej więcej metr sześćdziesiąt dziewięć. Pamiętam to jeszcze z czasów, gdy kręciłem z nią filmy. Ważyła jakieś sześćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt osiem kilogramów. Zoja natomiast, jak większość alkoholików, jest mała i wątła, nóżki ma jak patyczki, a rączki jak zapalki. Mogła Alinę zastrzelić albo otruć, ale nie udusić.

- A jeśli przyjmimy, że Alina Waznis była nieprzytomna? Może spała, była pijana albo zemdląła?

- Wtedy to co innego. - Diegtiar rozłożył ręce. - Rzeczywiście ma pani podstawy, by przypuszczać, że umarła w stanie nieświadomości?

- Na razie nie - przyznała Nastia. - Wyniki sekcji będą dopiero jutro. Spytałam tylko tak, na wszelki wypadek. Myśli pan, że Siemiencowa przez tyle lat chowała urazę? Przecież wtedy, pięć lat temu, jej żal i nienawiść były na pewno o wiele silniejsze niż teraz? Dlaczego więc nie zrobiła tego wówczas? Czemu tak długo czekała?

- Ech, gołąbeczko, oczywiście, że właśnie teraz. W tym rzecz, że teraz, kiedy kariera stała przed Aliną otworem, a światowa sława była na wyciągnięcie ręki. Kiedy z dobrze zapowiadającej się aktorki stała się gwiazdą. Cały dowcip na tym polega. Odżyła w niej niewygasła nienawiść. Chce pani herbaty?

- Nie mogę nadużywać pańskiej uprzejmości, Leonidzie Siergiejewiczu, już późno, pan jest chory, a ja pana męczę. Chyba czas, abym dała panu spokój, chociaż pytań mam jeszcze sporo.

- Niepotrzebnie się pani martwi - odparł z uśmiechem Diegtiar. - Jestem sam. Żona z wnukami i psem pojechała na daczę, więc nikomu pani nie przeszkadza. A zresztą, jeśli teraz pani wyjdzie, to co z *Traviatą*, którą pani podobno lubi?

Mężczyzna mrugnął figlarnie i roześmiał się.

- Zaczekajmy, aż się nagra do końca. Wtedy zabierze pani kasetę, a przy okazji odda mi czystą w zamian.

- No to proszę mnie znowu spytać, czy chcę herbaty, a ja odpowiem szczerze, że wolałabym kawę.

Im dłużej trwała rozmowa, tym bardziej podobał się Nasti ten zgięty wpół mężczyzna, więc jego propozycję, by jeszcze została, przyjęła z radością.

Jak jednak wróci do domu o tak późnej porze? Anastazja Kamińska wcale nie była odważna ani szalona, jak na ogół przedstawiało się pracowników wydziału kryminalnego. Ciemnych ulic bała się tak samo jak każda trzydziestopięcioletnia kobieta, może nawet odrobinę bardziej, bo codziennie czytała biuletyny wydarzeń, a szybko biegać i celnie strzelać zupełnie nie umiała. W tym momencie przyszła jej do głowy nieoczekiwana myśl.

- Leonidzie Siergiejewiczu, ma pan telefon do waszego szefa ochrony?

- Chodzi pani o Władysława Nikołajewicza? Oczywiście. Każdy pracownik Syriusza, nie wykluczając sprzątaczk, ma numer jego komórki, pod który może dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

- W takim razie proszę do niego zatelefonować, chciałabym z nim porozmawiać.

STASOW

Stasow jechał do domu zmęczony i zły, zmarnowawszy kilka godzin na wyjaśnienie, gdzie poprzedniego dnia późnym wieczorem włączyła się niefrasobliwa żona szefa. Dowiedział się bardzo niewiele i wcale mu się to nie podobało. Przed południem Ksenia nie wychodziła z domu. Koło godziny drugiej wpadła na kawę do baru w Centrum Filmowym. Chyba piła nie tylko kawę, w każdym razie widziano ją tam do jakiejś piątej. Potem pojawiła się luka, do za piętnaście ósma, kiedy spotkała się z przyjaciółką przy stacji metra Krasnyje Worota, żeby odebrać od niej kolejną receptę na środki uspokajające. Przyjaciółka pracowała w poradni psychoneurologicznej i dostarczała Kseni recepty, które na jej prośbę wypisywał znajomy lekarz. Umówiły się na dziesiętnastą trzydzieści, ale Mazurkiewicz jak zwykle spóźniła się jakieś piętnaście minut. Później znowu była luka, aż do jej powrotu do domu pięć po trzeciej nad ranem.

Na ciele Aliny Waznis znaleziono ślady wskazujące na uduszenie, Stasow zbyt długo pracował jednak w wydziale kryminalnym, żeby opierać się na jednej hipotezie i nie brać pod uwagę pozostałych. Od razu po otrzymaniu informacji o spotkaniu Kseni z przyjaciółką z poradni, skontaktował się z Mazurkiewiczem i poprosił go o sprawdzenie torebki żony. Ani recepty, ani wykupionych lekarstw w torbie nie było. Mazurkiewicz nie znalazł ich również w szafce nocnej przy łóżku ani w sypialni. To oczywiście o niczym nie świadczyło, bo miejsc, w których Ksenia mogła trzymać receptę i lekarstwa, nie brakowało. Może używa recepty jako

zakładki do książek, a tabletki nosi w kieszeni. Mimo to... A jeżeli okaże się, że Alinę Waznis otruto? Co prawda, do tego potrzebna była cała fura tabletek, ale kto powiedział, że Ksenia ich nie miała? Kobieta z poradni długo się opierała, ale w końcu poinformowała go, że jedną receptę wystawiono na pięćdziesiąt tabletek, a drugą na trzydzieści. A powód, by zabić Alinę Waznis, Ksenia Mazurkiewicz miała, i to jeszcze jaki! Ale niefart, szlag by to trafił!

W tej samej chwili, gdy Stasow skręcał z Sadowego Kolca na ulicę Briestowską, odezwał się jego telefon komórkowy.

- Władisławie Nikołajewiczu, tu Diegtiar ze studia muzycznego - usłyszał w słuchawce niepewny głos. - Nie za późno dzwonię?

- Nie, jestem jeszcze poza domem. Co się stało, Leonidzie Siergiejewiczu?

- Jest u mnie... Właściwie jest moim gościem... Detektyw z wydziału kryminalnego, Anastazja Pawłowna Kamieńska. Chce z panem rozmawiać.

- Bardzo proszę.

Kamieńska. Stasow sporo o niej słyszał, gdy pracował na Pietrowce. Różne rzeczy, z jednej strony achy i ochy, ale też i mało pochlebne uwagi. Że podobno jej mózg pracuje jak komputer, że się w ogóle nie męczy i w dodatku ma fenomenalną pamięć. Że jest kochanką szefa wydziału do walki z terrorem kryminalnym, że nie pracuje na równi ze wszystkimi, lecz przeważnie przesiaduje u siebie w gabinecie i popija kawkę. I że na samej górze w ministerstwie ma podobno anioła stróża, a jest nim nie kto inny, jak sam generał Zatoczny, człowiek wpływowy i potężny. Mniejsza o to, czy sypia z

nim, czy nie, są jednak świadkowie, którzy widzieli ich wczesnym rankiem w parku, jak przechadzali się pod rączkę. Kamieńska...

- Dobry wieczór. - Stasow usłyszał w słuchawce przyjemny niski głos. - Przy telefonie Kamieńska.

- Dobry wieczór - ponuro odparł Stasow. - W czym mogę pani pomóc?

- W zabójstwie, w czymże by innym, Władisławie Nikołajewiczu. Chciałabym się z panem spotkać.

- Kiedy?

- Im szybciej, tym lepiej. Może być nawet zaraz.

- A na zegarek pani spojrzała, czy nie obchodzą panią takie głupstwa? - rzucił z gniewem. - Zostawiłem dziecko samo w domu.

- Przepraszam - powiedziała miękko - nie wiedziałam. W takim razie proszę wyznaczyć termin, który będzie panu odpowiadał.

- Jutro o dziesiątej. Pasuje pani?

- Dziękuję. Jutro o dziesiątej. Gdzie?

- W Syriuszu. Wolę w miejscu służbowym.

- Dobrze. Jeszcze raz przepraszam. Dobranoc.

Stasow wyjechał na Suszczowski Wał i na pełnym gazie popędził w stronę Dworca Sawieljewskiego. Po rozmowie z Kamieńską czuł jakiś niesmak. Może niepotrzebnie tak się stawiał? Zasłonił się Lilą jak nadopiekuńcza mamusia, która choćby się waliło i paliło, nigdy nie zostanie w biurze po godzinach, bo musi zająć się dzieckiem. Właściwie czemu nie miałby się z nią spotkać? Co mu szkodzi? Bo jest zmęczony? Ona też przecież nie odpoczywa. Wystarczyły zaledwie cztery miesiące, odkąd przeszedł na emeryturę, i już

zapomniał o swoich dawnych kolegach? Przestał im współczuć? Zobojętniał?

Stasow wystukał numer swego domowego telefonu, pewien, że Lila i tak jeszcze nie śpi. Nie mylił się, córka podniosła słuchawkę zaraz po pierwszym sygnale.

- A ty czemu nie śpisz?

- Jutro przecież niedziela...

- Dobra, czytaj sobie, mam dziś miękkie serce. A co właściwie czytasz?

- *Angelikę*.

- Jeszcze chyba za wcześnie na taką lekturę. Weź sobie lepiej Conan Doyle'a.

- O Sherlocku Holmesie przeczytałam już wszystko.

- No to poczytaj o miłości, Conan Doyle pisał o tym na przykład w *Sprawach Rafflesa Haw*.

- *Angelika* też jest o miłości - zaprotestowała Lila.

- Masz jeszcze czas na takie rzeczy - kategorycznie uciął Stasow. - Zamknij książkę i odłóż na miejsce.

- Ale tato...

- Nie sprzeczasz się, kotku. Koniec dyskusji. Jadłś coś?

- Tak, rosół i parówki z sałatą.

- Grzeczna dziewczynka. Nie nudzi ci się?

- Nie bardzo.

- Może się boisz sama?

- Nie. A ty kiedy wrócisz?

- Widzisz, mam jeszcze jedną sprawę do załatwienia, ale jeśli chcesz, przełożę ją na jutro i zaraz będę.

- Coś ty, tato, nie przekładaj. U mnie wszystko w porządku.

- No dobrze, wobec tego możesz jeszcze trochę poczytać, ale potem kładź się do łóżka.

Stasow należycie ocenił poczucie taktu córki, zwłaszcza że była w nim spora doza dziecięcego sprytu. W czasie gdy ojciec zajmował się swoimi sprawami, ona mogła czytać dalej o Angelice, i to nie czterdzieści minut, ale całe dwie godziny. Jeśli oczywiście przedtem nie zmorzy jej sen.

Stasow westchnął i znowu wystukał numer, tym razem Diegtiara.

- Leonidzie Siergiejewiczu, jest jeszcze u pana Kamińska?

- Tak, już przekazuję słuchawkę.

- Mam propozycję - powiedział Stasow, usłyszawszy jej głuche „Tak, Władisławie Nikołajewiczu”. - Jeśli się pani nie rozmyśliła, możemy się teraz spotkać.

- Dziękuję.

- Proszę wyjść z domu za dwadzieścia minut, podjadę po panią.

- Dziękuję - powtórzyła.

- Na razie nie ma za co - mruknął Stasow.

Dwadzieścia minut później zatrzymał się przed domem, w którym mieszkał kierownik studia muzycznego, i od razu zobaczył wysoką, szczupłą postać w ciemnej kurtce i dzinsach. Wyteżał pamięć, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak wygląda Kamińska, którą widział na korytarzach Pietrowki chyba setki razy. Kobieta otworzyła drzwiczki i usiadła z przodu, obok niego. Stasow włączył światło i natychmiast ją rozpoznał. Tak, oczywiście, to ona, blada i niepozorna, z długimi, ściągniętymi do tyłu włosami. Ciekawe, jak tam u niej z facetami? Pewnie stara panna, pomyślał.

- Dobry wieczór, na imię mam Anastazja albo po prostu Nastia. Proszę mi mówić na ty.

- Władysław. Może być Wład albo Stas, do wyboru.
- A Sława?
- Może być Sława. - Stasow się uśmiechnął. - Zgoda, przejdźmy na ty.

Nagle poczuł się lekko i spokojnie. Od razu wiedział, że Nastia nie jest żadną kochanką pułkownika Gordiejewa. Że w ogóle nie jest niczyją kochanką w tym sensie, w jakim zwykle używa się tego słowa w odniesieniu do stosunków służbowych. Jeśli coś ją łączy z samym generałem Zatocznym, choćby intymna zażyłość, stoją za tym zupełnie inne sprawy. Nie jest to wcale seks dla przyjemności, lecz intelektualne partnerstwo i przyjacielska sympatia. Kobiety z takim wyglądem, zachowujące się w ten sposób, nie bywają tak po prostu kochankami, to akurat Stasow wiedział bardzo dobrze. A to, że tyle świństw o niej opowiadano, świadczy wyłącznie na jej korzyść. Nie plotkuje się tylko o tych, którzy są nikim.

- Dokąd jedziemy? - spytał, zwracając.
- Na Szosę Szczołkowską.
- A co tam jest?
- Mieszkam tam. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wstąpimy do mnie i porozmawiamy przy herbacie.
- Słuchaj, pytałem cię już dzisiaj, czy spoglądasz czasem na zegarek. Więc jak? Spoglądasz?
- Uhm - przytaknęła Nastia. - Patrzę i widzę, że do rana pozostaje coraz mniej czasu, a pytań mam coraz więcej. A do rana muszę wyrobić sobie przynajmniej jaki taki obraz sytuacji.
- Czy ty w ogóle nie sypiasz?

- Sypiam, czemu nie. Ale mogę też nie spać, jeśli mam o czym myśleć. Skręć w lewo, przejedziemy przez podwórza, będzie bliżej.

Kiedy wjeżdżali windą na ósme piętro, dochodziło wpół do dwunastej, Otwierając drzwi, Kamieńska nagle parsknęła śmiechem.

- A tobie co? - Stasow osłupiał.

- Wyobraź sobie, że dzisiaj już drugi raz goszczę u siebie obcego mężczyznę podczas nieobecności męża. Świadkowie mogliby z tego zmaistrować niezłe zeznanie, co? Wystarczy jedna wścibska sąsiadka i... żegnaj, reputacja. A przecież jestem czysta jak łza, więc to niesprawiedliwe. Wchodź, rozbieraj się.

- To ty masz męża? - odruchowo spytał Stasow, nie zdążywszy przedtem ugryźć się w język.

- A co? Nie wyglądam na mężatkę? Myślałeś, że jestem starą panną?

- Czytasz w myślach? - odparł z uśmiechem, próbując ukryć zmieszanie wywołane własnym nietaktem.

- Nie wszystko, tylko drobiazgi. Nie wstydz się, wszyscy się nabierają na mój wygląd, nie jesteś wyjątkiem. Cicha, zahukana szara myszka. To bardzo wygodne. Nikt nie traktuje mnie poważnie.

- A w rzeczywistości jesteś drapieżną piranią?

- Raczej zajadłym, wściekłym szczurem. Nie stój tu jak kołek, wejdz do kuchni. Co pijesz, kawę czy herbatę?

- Herbatę. O kawie na noc nie ma mowy.

Stasow rozejrzał się dokoła. Kuchnia w mieszkaniu Kamieńskiej była malutka, ale z miejsca zauważył, że została pieczołowicie i starannie urządzona przez właścicieli, którzy najwidoczniej spędzali w niej dużo czasu.

Nad stojącym przy ścianie stołem wisiał jasny kinkiet, co pozwalało przypuszczać, że pomieszczenie to służyło nie tylko do jedzenia, lecz również do czytania. Meble ustawiono tak, żeby siedząc na stołku, można było dosięgnąć kuchenki, stołu i zlewozmywaka. Zwarta i funkcjonalna zabudowa nie zawierała żadnych zbędnych elementów. Kuchnia Stasowa urządzona była bez ładu i składu, ale jakoś nie potrafił się zmobilizować, by w końcu doprowadzić ją do porządku.

- Znasz Zatocznego? - zapytał ni stąd, ni zowąd.

- Iwana Aleksiejewicza? Znam - odparła Nastia, zręcznie krojąc długą bagietkę i solidny kawałek sera, z których przygotowywała grzanki.

- No i co o nim sądzisz?

- To znakomity profesjonalista. Pytasz, jakbyś sam tego nie wiedział. Przecież z nim pracowałeś. Byłeś jego podwładnym, prawda?

Anastazja miała rację. Stasow rzeczywiście pracował w wydziale do walki z przestępczością zorganizowaną, a Zatoczny był jednym z naczelników odpowiedniej komórki w ministerstwie.

- Owszem, byłem - przyznał. - Ale ciekawi mnie twoje zdanie.

- Daj spokój.

Nastia odwróciła się do niego i oparła się plecami o długą, wąską szafę, dokładnie taką samą, jaka znajdowała się w kuchni Stasowa, tylko innego koloru.

- Niby dlaczego miałoby interesować cię moje zdanie? Czy ja jestem jakąś wróżką? Nasłuchałeś się o mnie i o Iwanie wierutnych bzdur i teraz pytasz. Myślisz, że nie wiem, co o mnie opowiadają? Wiem doskonale. Że jestem jego kochanką. Mam ochotę,

Stasow, powiedz ci parę słów do słuchu. Ponieważ jednak niezaspokojona ciekawość jest gorsza od bólu zęba, odpowiem ci. Nigdy nie spałam z generałem Zatocznym. Ni-gdy. Przyznaję, że mi się podoba. To prawda. Powiem ci więcej, zakochałam się w nim dokładnie miesiąc przed swoim własnym ślubem, nie na długo, na kilka dni, tak to już ze mną jest. Wiesz, wpadnie mi ktoś w oko i rób, co chcesz. Ale taka fascynacja szybko mija. Najdłuższa trwała dwa tygodnie. Na dłużej żaden facet nie zagościł jeszcze w moim kochliwym sercu. Z wyjątkiem Czistiakowa, za którego wyszłam w końcu za mąż. No i co, jesteś zadowolony?

- Wybacz - powiedział łagodnie Stasow. - Nie chciałem cię obrazić. Byłem po prostu ciekaw. Bądź co bądź, Zatoczny to gruba ryba. Widziano was razem...

- I jeszcze niejedną raz ktoś nas zobaczy. Na wszelki wypadek uprzedzę cię, że dwa razy w miesiącu chodzimy w niedzielne poranki na spacer do parku Izmajłowski. Od siódmej do dziewiątej. To taka tradycja, coś w rodzaju rytuału.

- Boże, o czym ty rozmawiasz z Iwanem? Jego pozycja a twoja... Też mi para.

- Nie jesteś w stanie tego zrozumieć - sucho odparła Nastia, starannie układając na patelni grzanki. - Słowa nie zawsze są potrzebne. Czasem sytuacja, w której się ludzie znajdują, wywołuje podobny stan ducha. Pierwszy raz poszliśmy na taki poranny spacer, gdy zajmowałam się pewnym zabójstwem i okazało się, że jest w nie zamieszany podwładny Zatocznego. Chodziliśmy z Iwanem po parku i głośno wymienialiśmy nazwiska

osób odpowiedzialnych za wyciek informacji, po cichu podejrzewając siebie nawzajem. To było tak obrzydliwe, że niedobrze się robiło. W pewnym momencie oboje nie wytrzymaliśmy i wyłożyliśmy kawę na ławę. Nie wierzę pani, bo tak i tak, a ja ze swej strony też panu nie wierzę. Krótko mówiąc, wszystko sobie wyjaśniliśmy. Poczuliśmy się tak, jakbyśmy zrzucili z serca wielki ciężar. Odzyskaliśmy spokój i zaufanie... A teraz spotykamy się wcześniej rano, spacerujemy sobie w milczeniu, doznając uczucia niewypowiedzianej błogości.

Stasow milczał, przypominając sobie, jak cztery miesiące temu chodził po ulicach razem z Tatianą, którą dopiero co poznał, i jak umierał z zachwytu oraz jakiejś przedziwnej czułości.

- Te wasze spacerki łączą was chyba silniej niż łóżko - zauważył. - Gdyby mi ktoś powiedział, że moja ukończona jest w siódmym niebie, kiedy spaceruje po parku z innym mężczyzną, skręcałoby mnie z zazdrości. Już lepiej by było, gdyby poszła z nim do łóżka, to mniejsza obelga. Żaden wstyd być kiepskim kochankiem, w końcu nie każdy jest do tego stworzony. Ale uświadomić sobie, że jest się nudnym i nieciekawym facetem, to zupełnie co innego. Po czymś takim pozostaje tylko się powiesić.

- Cieszę się, że to rozumiesz - powiedziała z uśmiechem Nastia.

Naląła Stasowowi herbaty, sobie kawy rozpuszczalnej, postawiła na stole duży talerz z grzankami i usiadła naprzeciwko gościa.

- A teraz - powiedziała, upijając mały łyk i odstawiając filiżankę na spodeczek - zapytasz mnie, dlaczego tak

się przed tobą otworzyłam. Mam rację? Rozmawiamy pierwszy raz, ledwie się poznaliśmy, a ja ci się zwieram. To podejrzone, prawda?

- No, właściwie... Masz rację, mocno podejrzone. Wciskasz mi jakiś kit? Czy może mnie sprawdzasz?

- Nie, mówię prawdę. Nie mam wyboru, Stasow. A kiedy człowiek nie ma wyboru, wtedy wszystko staje się proste. Podoba mu się czy nie, droga jest tylko jedna. Muszę wyjaśnić sprawę zabójstwa, a ty jesteś mi do tego potrzebny. Jakiegokolwiek kłamstwo albo, jak się wyraziłeś, wciskanie kitu, jest niebezpieczne. Mógłbyś przyłapać mnie na oszustwie, a wówczas nici ze współpracy. Muszę żyć z tobą w zgodzie.

Stasow zeszytniał. Czyżby Kamieńska przejrzała go na wylot? Z drugiej strony jednak, była taka bezpośrednia i otwarta...

- A zatem żyjemy w zgodzie - kiwnął głową. - Ale chyba rozumiesz, że w Syriuszu pracuję raptem miesiąc. Zależy mi oczywiście na tym, żeby zabójstwo Aliny zostało wyjaśnione, nieważne przez kogo, przez was czy przeze mnie, czy wspólnymi siłami. Najważniejsze, by ująć przestępcę. Bo jeśli się nie uda, to do was nikt się nie przyczepi, a mnie Mazurkiewicz łeb urwie. Po co mu taki szef ochrony, który pozwala bezkarnie zabijać jego najlepsze aktorki? Nadążasz za mną?

- Nadążam - odparła Nastia, lekko się uśmiechając.

- Musisz jednak wiedzieć, że przez ten miesiąc nie ogarnąłem jeszcze wszystkiego, słabo znam ludzi, i w ogóle... Jednym słowem, pomocnik będzie ze mnie kiepski. Ale możesz traktować mnie jako dodatkowe

wsparcie. Powiedzmy, że jestem nowym wywiadowcą w waszej grupie. I możesz na mnie całkowicie polegać.

- Nie mogę - westchnęła Nastia. - Jest małe ale. Teraz twoja kolej na szczerość. Nie masz wyboru, Sława, podobnie jak ja. Prezes wytwórni filmowej Runiko, Boris Rudin, bardzo naciskał, żebyś się zgodził dla niego pracować. Proponował ci pensję co najmniej dwa razy większą od tej, którą Mazurkiewicz płaci ci w Syriuszu. Ty jednak wybrałeś właśnie jego. Rodzi się więc podejrzenie, że z Mazurkiewiczem łączy cię coś osobistego, albo odwrotnie: finanse i biznes. Jeśli zatem śledztwo naruszy w jakiś sposób interesy Mazurkiewicza lub jego żony, nie będziesz mi pomagał. Zaczyniesz nawet przeszkadzać. Czy możesz rozwiązać moje wątpliwości? Tylko nie mydl mi oczu i nie opowiadaj, że Rudin jest kochankiem twojej żony i dlatego nie chcesz u niego pracować. To dla mnie żaden argument, tym bardziej że różnica w pieniądzech jest znaczna. Dla takiej forsy można machnąć ręką na żonę, w dodatku byłą.

Ładna historia! Kamińska najwyraźniej nieźle się przygotowała do spotkania. Bije na oślep, ale trafia celnie. Niech no tylko Stasow spróbuje skłamać, cholera wie, co ona jeszcze trzyma w zanadrzu. Głupio by było, gdyby go przyłapała na kłamstwie. Jest jej potrzebny. Podobnie jak ona jemu. Nastia myli się jednak, Stasow ma wybór, musi dokonać go właśnie teraz, tutaj, w tej kuchni. Pytanie, czy powinien osłaniać Ksenię Mazurkiewicz, wymaga natychmiastowej odpowiedzi. Jeśli to ona zabiła Alinę Waznis, a naczelnik

ochrony pomoże żonie swego szefa wyjść z tego obroną ręką, tenże naczelnik nie znajdzie pracy do końca życia. To oczywiste. Kto zechciałby hodować żmiję na własnej piersi, siedząc jednocześnie na becze prochu. A jeśli będzie ją chronił, świadomie wprowadzając milicję w błąd? Oszukać dawnych kolegów to nie sztuka. Ksenię też można wyciągnąć z tarapatów, tylko co potem? Mazurkiewicz dowie się, że Władisław Stasow, szef jego ochrony, całkiem profesjonalnie wodzi za nos wydział kryminalny i ukrywa mordercę przed wymiarem sprawiedliwości. Jutro z kimś się podzieli tą informacją, pojutrze wieści się rozejdą, a na trzeci dzień jakieś typy spod ciemnej gwiazdy stawią się po jego, Stasowa, duszę, żądając, by dla nich pracował. Jeśli się zgodzi, wdepnie w takie bagno, z którego już się nie wygrzebie, w ciągu pół roku go zapuszkują, i to na wiele lat. Jeśli natomiast się nie zgodzi, pożyje jeszcze ze dwie, maksymalnie trzy godziny. Nie, wygląda na to, że Kamińska ma jednak rację, musi z nią współpracować i szukać zabójcy Aliny, kimkolwiek by się ów zabójca okazał. Lepiej zostać bez pracy, ale przy życiu, niż z pracą, ale jako nieboszczyk.

- Powiem ci, dlaczego nie lubię Bori Rudina i nie chcę u niego pracować. Opowiem ci też, jak wezwał mnie dzisiaj do siebie Mazurkiewicz, prosząc, żebym sprawdził alibi jego żony Kseni...

ALINA WAZNIS PIĘĆ LAT PRZED ŚMIERCIA

Leonidzie Siergiejewiczu! Z pewnością dobrze pan zna fabułę *Trubadura* i muzykę, ale pewnie nigdy nie

słuchał pan tej opery po rosyjsku. Bo gdyby pan słuchał, zwróciłby pan uwagę na słowa Azuceny w finale. Właściwie tymi słowami kończy się cała opera. Patrząc przez okno na egzekucję jej przybranego syna, Manrica, Azucena woła: „Moja matka została pomszczona!”. Słowa te rzucają zupełnie inne światło na obraz starej Cyganki.

Kim jest Azucena? Cyganką z taboru. Kiedyś, wiele lat temu, jej matkę schwytano w zamku hrabiego di Luny i spalono na stosie za uprawianie czarów. Dlaczego? Bo zastano ją przy łóżku jednego z synów hrabiego, a po jej wizycie dziecko zaczęło tracić siły i zachorowało. Czy możemy sądzić, że matka Azuceny nie była temu winna? Czy mamy absolutną pewność, że choroba dziecka nosiła przypadkowy charakter i nie była wynikiem niegodziwego czynu Cyganki? Jeśli nie zamierzała wyrządzić nikomu krzywdy, to po co przedostała się do zamku, po co stała przy łóżeczku niemowlęcia? Mimo wszystko skłonna jestem sądzić, że matka Azuceny spowodowała jednak śmierć dziecka, podając mu truciznę bądź wykorzystując jakieś swoje metafizyczne zdolności. Jej wina nie budzi wątpliwości. Spotkała ją za to zasłużona, choć niewymownie okrutna kara.

Co dzieje się potem? Azucena, pragnąc zemścić się za śmierć matki, zakrada się do zamku hrabiego i porywa jego syna, bezbronne niemowlę. Porywa, aby spalić na stosie w odwecie za śmierć matki. Zabić małe, niewinne dziecko? Choćby nawet w akcie zemsty, zgodzi się pan chyba ze mną, Leonidzie Siergiejewiczu, że

to nie po chrześcijańsku. To czyn skierowany przeciwko Bogu. Nic nie usprawiedliwia Azuceny, nawet jeśli pałała sprawiedliwym gniewem.

Idźmy dalej. Azucena, która sama niedawno została matką (co tylko podkreśla jej wyjątkowe okrucieństwo - ma własne dziecko, a nie ulituje się nad cudzym malleństwem), przynosi porwanego chłopca na stos, na którym niedawno zginęła jej matka, żeby go spalić. Będąc jednak w stanie silnego wzburzenia, zamiast syna znienawidzonego hrabiego di Luny, rzuca w ogień własnego syna. Wylawszy morze łez, odcierpiawszy swoje, Cyganka bierze porwane niemowlę i wychowuje je jak własne dziecko. Zastanówmy się, dlaczego. Jeśli tak mocno nienawidziła hrabiego, mogła zostawić jego syna na pastwę losu w lesie. Albo spalić na tym samym stosie, zwłaszcza, że na pewno jeszcze nie wygasł. Tymczasem Azucena lituje się nad dzieckiem i najwyraźniej czuje skruchę. Utraciwszy przed chwilą własnego syna, pojmuje całą potworność tego, co zamierzała zgotować hrabiemu, a w rezultacie zgotowała sobie. W tej sytuacji najrozsądniej byłoby oddać dziecko do zamku, aby nie przysparzać hrabiemu cierpienia, którego Azucena sama dopiero co zaznała. Nie robi tego jednak! A zatem nie kierowała się w tamtym momencie litością albo współczuciem. Czym więc?

Wydaje mi się, że Azucena nie oddała małego hrabiego z jednego powodu: chciała zapełnić nagle powstałą pustkę. Od chwili urodzenia dziecka cały jej organizm nastawił się na otoczenie kruchej istoty troską, opieką, czułością, a także bezgraniczną miłością. Mechanizm został uruchomiony i nagle okazało się, że

działa niepotrzebnie. Dusza, podobnie jak gruczoły, produkuje substancję, składającą się z czułości, miłości oraz pragnienia zapewnienia maleństwu ochrony, substancję przeznaczoną wyłącznie dla dziecka. A dziecka nie ma. Owa substancja zaczyna zżerać duszę Azuceny, niszczy ją, pozostawiając straszne rany. Cyganka bezwiednie dokonuje zamiany obiektu swojej miłości. Skoro nie ma własnego dziecka, musi zabrać cudze. Co za różnica? Byleby tylko nie zwariować.

Azucena zabiera malca do taboru i nadaje mu imię Manrico. Chłopiec rośnie wśród Cyganów, nic nie podejrzewając. A co się dzieje z Azuceną przez te lata? Czy tak bardzo przywiązała się do Manrica, że traktuje go jak własnego syna? I tak, i nie. Tak, bo martwi się o niego i pomaga mu w jego walce, na ile tylko pozwalają jej siły. Nie, bo nawet tracąc go, obserwując wykonanie wyroku śmierci, pamięta o zemście za swoją spaloną na stosie matkę. Nie rwie sobie przy tym włosów z głowy, lecz triumfuje, potrząsając pomarszczonymi starczymi rękami.

Odnoszę wrażenie, Leonidzie Siergiejewiczu, że w ciągu całej opery Azucena prowadzi nieprzerwaną walkę wewnętrzną pomiędzy przywiązaniem do młodzieńca, którego wychowała, a niepomszczoną krzywdą matki.

Czy możemy założyć, że z biegiem lat Azucena nabierała rozumu i coraz rzadziej myślała o zemście? Raczej nie. Gdyby tak było, doszłaby z pewnością do wniosku, że jej matka została słusznie ukarana, a więc zemsta jest w ogóle nieuzasadniona. Ponieważ nie pojęła

tego nawet na starość, należy przypuszczać, że z upływem czasu żądza zemsty nic nie straciła na swej intensywności.

Natomiast stosunek do Manrica na odwrót - z czasem powinien był złagodnieć, przecież nawet wrogowie dopasowują się i przyzwyczajają do siebie, gdy przez lata mieszkają razem. A oni wcale nie byli wrogami. Im dłużej Manrico przebywał u boku Azuceny, tym silniejsza była straszliwa rozterka, która rozdzierała jej serce między pragnieniem pomśzczenia matki a miłością do przybranego syna. Wydaje się, że kulminacja walki wewnętrznej nastąpiła akurat w trakcie tych wydarzeń, o których opowiada opera. Manrico walczy ze starszym synem hrabiego di Luny - czyli ze swoim rodzonym bratem, czego naturalnie nie podejrzewa. Azucena wie jednak o tym, wie doskonale, że Manrico podniósł rękę na brata, co, również warto zauważyć, stanowi naruszenie przykazań boskich. Stara Cyganka przyjmuje tę tragedię zupełnie obojętnie. W ogóle nie przeraża jej to, że Manrico przez swoją niewiedzę postępuje, delikatnie mówiąc, niesłusznie. Zachęcając Manrica do prowadzenia wojny z bratem, Azucena pośrednio mści się na rodzinie di Luna, ciesząc się z jej klęsk i nieszczęść. Co więcej, popycha Manrica ku Leonorze, z którą chce się ożenić jego starszy brat. Czego jednak Azucena pragnie dla Leonory, która jest hrabianką, pochodzącą, jak mówi libretto, z zubożałej, lecz szlacheckiej rodziny? Życia w koczowniczym taborze? To oczywiście, że Leonora nie jest kandydatką na żonę dla jej przybranego syna, poza tym jako osoba z zewnątrz wzbudzi na pewno niezadowolenie pozostałych Cyganów z taboru. Pal to lichy! Byleby tylko zadać jeszcze jeden cios rodzinie

di Luny, byleby jeszcze raz mu dopiec. Nie, stara Cyganka Azucena nie porzuciła myśli o odwecie, teraz nie ma już co do tego cienia wątpliwości.

Jest jeszcze coś. Los zsyła Azucenie okazję do rozmowy z hrabią, bratem Manrica. Czy Cyganka wykorzystwała sposobność, by zapobiec bratobójstwu i uświadomić hrabiemu, kim jest jego zagorzały wróg? Nie. Czekala aż do egzekucji Manrica i dopiero wtedy złośliwie oznajmiła hrabiemu: „Widzisz, coś narobił? Twój rodzony brat!”. Oto chwila jej największego triumfu.

No i ostatnia rzecz. Kiedy Azucena dostaje się do niewoli hrabiego di Luny, jeden z jego dowódców wojskowych, Ferrando, rozpoznaje w niej córkę starej Cyganki, dwadzieścia lat temu spalonej na stosie. Rozpoznaje ją po dwudziestu latach! Nic to panu nie mówi, Leonidzie Siergiejewiczu? Obejrzałam specjalnie kilka inscenizacji *Trubadura*, zarówno w teatrach, jak i na wideo, i wszędzie Azucena jest pomarszczoną, potarganą staruchą. A ile naprawdę ma lat? Najwyżej pięćdziesiąt, choć w rzeczywistości pewnie mniej, jest raczej koło czterdziestki. To po pierwsze. Po drugie, jeśli Ferrando poznał ją po dwudziestu latach, chyba tak bardzo się nie zmieniła, w każdym razie na pewno nie przestoczyła się z młodej, kwitnącej dziewczyny, która urodziła właśnie swoje pierwsze dziecko, w okropną, kościstą i garbatą staruchę. Inaczej żaden Ferrando nie mógłby jej poznać ani przypomnieć sobie jej twarzy po dwudziestu latach.

Podsumowując swoje rozważania, pragnę podkreślić, że Azucena jest postacią niewątpliwie negatywną,

czego dowodzi logika jej czynów. Jednakże autor opery wyraźnie z nią sympatyzuje, na co niedwuznacznie wskazuje muzyka. Jeśli pan mi pozwoli, zagram właśnie tę dwoistość, niejednoznaczność jej obrazu. Natomiast powierzchowność Azuceny powinna odpowiadać jej prawdziwemu wiekowi. To wyrazista, silna kobieta, która nie przestała jeszcze być piękna...

Rozdział 3

KOROTKOW

W czasie gdy Anastazja Kamieńska rozpracowywała wszystkie „kobiece” linie śledztwa, próbując ustalić, dlaczego tak wielką nienawiść do zmarłej Aliny Waznis żywiła aktorka Zoja Siemencowa, która wypadła z obiegu, a także żona prezesa Syriusza Ksenia Mazurkiewicz, Jurij Korotkow zajmował się niejakim Nikołajem Charitonowem, zatrudnionym w wytwórni jako recepcjonista.

Charitonow był typem nieudacznika, jednym z tych, którym powinno się kategorycznie zabronić prowadzenia interesów, ale oni na przekór wszystkiemu uparcie starają się zrobić szybkie pieniądze, inwestując rubel i licząc na to, że po dwóch dniach zainkasują tysiąc. Wszystkie projekty Charitonowa upadały jeden po drugim, ale on, nie zdążywszy wygrzebać się z jednych długów, niezmordowanie wpadał w następne. W styczniu 1995 roku zwrócił się do Aliny z prośbą o pożyczkę trzech tysięcy dolarów na cztery miesiące, oprocentowaną na piętnaście procent miesięcznie - właśnie tyle płacił Alinie bank, w którym trzymała swoje oszczędności. Cztery miesiące minęły 15 maja, ale Charitonow pieniędzy nie oddał. W dodatku zaczął Aliny jakby unikać.

Całe lato Alina spędziła na wyjazdach, kręcąc zdjęcia do nowego filmu Andrieja Smułowa *Oblęd*, którego akcja rozgrywała się głównie nad morzem. 15 września, po upływie kolejnych czterech miesięcy, jej cierpliwość się wyczerpała. Zażądała więc zwrotu całej kwoty wraz z odsetkami, co w rezultacie stanowiło już nie trzy, lecz sześć tysięcy dolarów. Takie postawienie sprawy nieprzyjemnie zaskoczyło Charitonowa. Znał Alinę od dawna i widział dla siebie szansę w tym, że nigdy o nic się nie upominała i nie potrafiła nikogo naciskać ani niczego żądać. Miał zatem uzasadnioną nadzieję, że będzie cierpliwie czekała na zwrot długu i nie przyłoży mu noża do gardła. Tymczasem Alina Waznis okazała się zupełnie inna. Co prawda, nie zdobyła się na odwagę, by porozmawiać z nim osobiście, przysłała za to swego kochanka Smułowa, który dał mu niedwuznacznie do zrozumienia, że najwyższa pora oddać pieniądze. Takiego zwrotu akcji biedny Charitonow się nie spodziewał.

- No i co pan zrobił po telefonie Smułowa? - spytał Korotkow, który z każdą minutą odczuwał coraz większy wstręt do Charitonowa.

- Jak to co... Zacząłem biegać po znajomych i pożyczать pieniądze.

- I ubierał pan potrzebną kwotę?

- Owszem - potwierdził Charitonow, ciężko wzdychając. - Z Aliną może bym się jeszcze dogadał, ale na Andrieja Lwowicza nie było siły.

- I co było potem?

- Zawiozłem Alinie. Rozliczyłem się do kopiejki.

- Kiedy to było? O której godzinie?

- Wieczorem, jakoś koło dziesiątej.

- Jest pan pewien?
- Czego? Że to było wieczorem?
- I że wieczorem, i że oddał pan pieniądze? Jest pan pewien?

- Oczywiście, przecież nie jestem wariatem.

- Problem polega na tym, Nikołaju Stiepanowiczu, że w mieszkaniu Waznis żadnych pieniędzy nie znaleziono.

- Jak to? Jak to nie znaleziono? Przecież sam jej przywiozłem całą kwotę. Może od razu zaniósła je do banku?

- O dziesiątej wieczorem? Niech pan da spokój, Nikołaju Stiepanowiczu. Nieładnie pan ze mną pogrywa. Albo pieniądze zabrał zabójca, albo pan ich wcale nie oddał. Alina Wałdisowna już teraz nie potwierdzi, czy przywiózł jej pan pieniądze, czy nie. Jest też trzecia możliwość: zabił ją pan, żeby nie oddawać długu. To oczywiście wersja ostateczna i nie chciałbym dawać jej wiary, musimy więc razem ustalić, kto widział, że rzeczywiście przyszedł pan do Waznis o dziesiątej wieczorem i że po pana wyjściu Alina jeszcze żyła. Dobrze by było znaleźć osobę, której powiedziała, że był u niej Kola Charitonow i zwrócił wreszcie cały dług.

Ten chwyt często pomagał Jurze Korotkowowi. Nie ukrywał przed rozmówcą swoich podejrzeń, walił prosto z mostu, wyrażając troskę i proponując udział w zbieraniu dowodów niewinności. Jeśli podejrzany był czysty, sam wykonywał za śledczych lwią część roboty, no a jeśli był winien, i tak w końcu się odsłaniał, przy czym im aktywniej działał, tym szybciej robił fałszywy krok i się demaskował.

- No wie pan? - Charitonow przestraszył się nie na żarty. - Myśli pan, że to ja Alinę?...

- Wolałbym tak nie myśleć, Nikołaju Stiepanowiczu - z udawaną łagodnością odezwał się Korotkow. - Ale sam pan widzi, okoliczności są takie, a nie inne. Świadczą przeciwko panu, krótko mówiąc. Gdyby pieniądze znalazły się w mieszkaniu Waznis, byłoby po sprawie. Gdzie się jednak podziały? Spróbujmy razem uwolnić pana od podejrzeń. Proszę sobie przypomnieć, kto widział pana koło jej domu albo mieszkania? Kto mógłby potwierdzić, że pan u niej był? Zacznijmy na przykład od tego...

Charitonow wyteżał pamięć do niemożliwości, pocił się i denerwował, ale nic sobie nie przypomniął. Wymienił za to całą listę osób, od których wyciągnął pieniądze tamtego dnia, obiecując, że zwróci je w jak najkrótszym czasie. Rozstawszy się z Charitonowem, Korotkow odszukał tych ludzi, było ich tylko czworo, i odkrył dwie rzeczy. Po pierwsze, cała żądana kwota została zebrana w czasie między pierwszą a piątą po południu. Po drugie, wszystkim swoim wierzycielom Charitonow obiecał zwrócić pieniądze w ciągu tygodnia. Te dwie okoliczności bardzo się nie spodobały majorowi Korotkowowi. Jeśli wszystkie pieniądze zostały zebrane do piątej, dlaczego Nikołaj Stiepanowicz zawiózł je Alinie dopiero o dziesiątej wieczorem? Na co czekał? Czemu zwlekał? Czyżby liczył na jakiś przypływ gotówki, skoro zamierzał zwrócić pieniądze w ciągu tygodnia? Jeśli spodziewał się dużych wpływów, mógł się dogadać z Aliną, obiecując pod słowem honoru, że zwróci cały dług za tydzień, i nie zawracałby sobie głowy zbieraniem na gwałt sześciu i pół tysiąca dolarów. Dlaczego tego nie zrobił?

Jak by powiedziała jego koleżanka Nastia Kamieńska, odpowiedzi mogą być tylko dwie. Albo już wtedy zamierzał przynieść pieniądze Waznis (niech przeliczy i się uspokoi), zabić ją i włożyć je z powrotem do swojej kieszeni, albo istniała jakaś inna przyczyna, która nie pozwoliła mu podjąć próby rozmówienia się z Aliną czy ze Smułowem. O co tu może chodzić?

Korotkow postanowił, że chyba zostawi ten problem Kamieńskiej, a sam pojedzie w końcu do reżysera Andrieja Lwowicza Smułowa. Wczoraj, w sobotę, nie udało mu się spokojnie z nim porozmawiać - przyjaciel Aliny był tak przybity tym, co się stało, że nie rozumiał sensu zadawanych mu pytań i odpowiadał ni w pięć, ni w dziewięć. Może dzisiaj pójdzie lepiej.

Jedno spojrzenie na reżysera Smułowa uzmysłowiło Korotkowowi, czym jest prawdziwe, nieskrywane cierpienie. Czterdziestoletni Andriej Smułow był tak przystojny, że powinien ustawicznie wzbudzać głęboką niechęć wśród przedstawicieli swojej płci, ale w tej chwili budził tylko nie mniej głębokie współczucie. Jego serce przepełniały rozpacz i ból, to się od razu rzucało w oczy.

Mieszkanie Smułowa było duże i wygodne. Umeblowanie świadczyło o gościnności gospodarza. Miękkie fotele, sofy i niskie stoliki w ogromnym salonie mogły bez wątplenia służyć jednocześnie dużej liczbie osób odwiedzających Smułowa. Ogólnie rzecz biorąc, mieszkanie urządzone i wykończono ze smakiem i pasją. Widać było, że jest powodem dumy właściciela.

Smułowowi udało się odzyskać równowagę i podczas wizyty Korotkowa całkiem sensownie i logicznie

odpowiadał na pytania. Umieścił wywiadowcę w wygodnym fotelu w swoim eleganckim salonie, przyniósł herbatę i popielniczki - jedną dla siebie, drugą dla gościa.

- No to zaczynajmy, Juriju Wiktorowiczu - powiedział, starając się zapanować nad głosem. - Proszę pytać.

O wszystko, co miało bezpośredni związek z porannymi wydarzeniami z 16 września i znalezieniem ciała Aliny Waznis, jeszcze wczoraj wypytał Smułowa śledczy, który miał dyżur i przyjechał na miejsce zbrodni. Dzisiaj przed Korotkowem stało inne zadanie - musiał zdobyć jak najwięcej informacji o Alinie. Asystentka reżysera, Elena Albikowa, oznajmiła wczoraj bez wahania, że to właśnie Andriej Smułow był najbliższą Alinie osobą i że nikt nie znał jej lepiej niż on.

- Tak, znałem ją lepiej niż inni - przyznał Smułow. - Ale nie powinien pan dać się zwieść, Juriju Wiktorowiczu, nawet ja nie znałem jej do końca. Alina była niesłychanie zamknięta w sobie. I bardzo wrażliwa. Spędziłem z nią cztery lata i przez te cztery lata nie opuszczała mnie myśl, że zupełnie jej nie znam.

- Może mógłby pan opowiedzieć o tym dokładniej - poprosił Korotkow. - Najlepiej od samego początku.

- Od samego początku... No cóż, mogę od początku. Odkryłem Alinę w naszym studiu muzycznym, u Loni Diegtiara. I zakochałem się. Od razu, w jednej chwili. Zakochałem się tak, że całkiem straciłem głowę. Rozumie pan? Filmy z nią zacząłem robić dopiero potem, nie było w tym nic nadzwyczajnego. Rzadko który reżyser nie angażuje do swoich filmów kochanki, jeśli jest ona oczywiście aktorką. Jej zdolności nie grają tu żadnej roli; jeśli to kochanka, po prostu dostaje rolę.

Niektórzy znajdują sposób, by wkręcić do filmu nawet te przyjaciółki, które aktorkami nigdy nie były. Ja, co prawda, wiedziałem, że Alina ma talent, to nie podlegało dyskusji, ale wszystko było jakieś takie... zamazane. Zupełnie jakby się wzięło kasetę z nagraniem znakomitej muzyki, włożyło ją do magnetofonu, nacisnęło przycisk, a z głośnika zaczynają płynąć niezrozumiałe dźwięki. Przeszkadzają jakieś szумы, a może taśma słabo się przewija, dość, że muzyka nie robi pożądanego wrażenia. Ja jednak bardzo Alinę kochałem, więc mimo to dawałem jej role i ciągle próbowałem ją przekonać, żeby mi zaufała. Widziałem, że źle jej się pracuje na planie, coś ją blokuje i nie może się przez to w pełni rozwinąć, choć usilnie się stara. Nie uwierzy pan, ale dopiero po dwóch latach przestała się przede mną chować. Od tej chwili wszystko szło jak z płatka. Nakręciłem *Odwieczny strach*, w którym Alina zagrała główną rolę. I to jak zagrała! Nikt nie wątpił, że czeka ją wielka przyszłość. To była wybitna aktorka. Prawdziwa. Czuję się dumny, że miałem swój udział w jej sukcesie... Niezwłocznie zabrałem się do następnego filmu, zatytułowanego *Oblęd*, i nie uwierzy pan, ale Alina zagrała w nim jeszcze lepiej. Była niewiarygodna! Niezrównana! Ostatni epizod, który kręciliśmy w plenerze, wypadł perfekcyjnie. Wszyscy mówili, że te ujęcia wejdą do historii kinematografii światowej. Zostało nam tak niewiele, żeby skończyć film... A teraz... Aliny już nie ma. Rozumie pan? Bez niej jestem nikiem... Powiem panu z ręką na sercu, że zanim ją spotkałem, stałem się już prawie „reżyserem jednego filmu”. Tak nazywa się twórców, których pierwszy film jest bardzo dobry, a potem idzie im jak po grudzie, inspiracja gdzie się

ulatnia. Tak właśnie było ze mną. Muszę panu wyznać prawdę, inaczej nie pan nie zrozumie z mojego opowiadania. Nie miałem przedtem szczęścia w miłości. Wcale. Pewnie dlatego nie szło mi też w pracy. Jeden dramat osobisty pociągał za sobą kolejny i zawsze towarzyszyły im niezdrowe emocje oraz chorobliwa zazdrość. A później zjawiała się Alina. Młoda, piękna i utalentowana kobieta, która mnie pokochała, i to tak, że nie dała mi nigdy powodu do niepokoju. Nigdy, rozumie pan? Przez cztery lata ani razu nie poczułem ukłucia zazdrości albo strachu, że mnie porzuci. Osmieję się stwierdzić, że kochała mnie tak samo mocno, jak ja ją. W każdym razie byłem z nią szczęśliwy. Bardzo szczęśliwy. I w tym stanie ducha zrobiłem *Odwieczny strach*, który przeszedł moje najśmielsze oczekiwania! Dokonałem tego nie sam, lecz razem z Aliną. Odrodziłem się zawodowo, stałem się inną osobą, rozumiałem, że potrafię realizować świetne filmy. Ale tylko dopóki mam ją przy sobie. Bez niej jestem niczym. Zerem. Twórczym impotentem.

Smułow powtórzył to, co mówił już wczoraj - bez Aliny nie będzie umiał pracować.

- Andrieju Lwowiczu, a dlaczego się nie pobraliście?
- spytał Korotkow. - Przecież oboje byliście wolni. Co stało na przeszkodzie?

- Nic. Nie było żadnej przeszkody. Ale przed Aliną pojawiła się szansa, że zostanie prawdziwą gwiazdą, a gwiazda musi być wolna. To stara prawda, dobrze znana w naszym środowisku. Gwiazda nie może wyjść za mąż albo zmieniać mężów jak rękawiczki, żeby w świadomości widzów tkwiła ciągle myśl, że ich ulubienica

jest teoretycznie dla nich osiągalna. Gdyby Alina pozostawała w trwałym, stabilnym związku, widzowie, a przynajmniej mężczyźni, przestaliby się nią interesować. A w to, że nasze małżeństwo byłoby trwałe i stabilne, ani przez sekundę nie wątpiłem. Bardzo się kochaliśmy.

- Był pan wcześniej żonaty, Andrieju Lwowiczu?

- Owszem. Bardzo dawno temu, bardzo krótko i bardzo nieszczęśliwie. Mówiłem panu przecież, że nie wiodło mi się w miłości. Prześladowało mnie to od samego dzieciństwa. Dlatego Alina tak wiele dla mnie znaczyła...

- A Alina? Miewała poważne romanse, zanim pana spotkała?

- Juriju Wiktorowiczu, mówiłem już wcześniej, że znałem Alinę lepiej niż inni, ale i tak słabo. Alina twierdziła, że przedtem nie była z nikim długo i poważnie związana, chociaż oczywiście w jej życiu pojawiali się różni mężczyźni, nie ukrywała tego. Powtarzam jednak, słyszałem to od niej. Jak było naprawdę, nie wiem. Niespecjalnie się tym interesowałem, bo przecież nie miało to żadnego znaczenia. Przez cztery lata nie dała mi najmniejszego powodu do zazdrości. Najmniejszego.

- Jaka ona była? Dobra, zła, łagodna, okrutna? Fałszywa, szczerza? Proszę mi o niej opowiedzieć trochę więcej, Andrieju Lwowiczu.

Smułow odwrócił się do okna i Korotkow, widząc, jak nagle zeszywniały mu ramiona, domyślił się, że reżyser próbuje powstrzymać łzy.

- Trudno mi o tym mówić - podjął w końcu jakimś przytłumionym głosem. - Wie pan, tak bywa, kiedy się wie, że osoba, którą się kocha, zrobiła coś podłego, i nie można na to poradzić, że dalej się ją kocha. Zresztą

nikt tego jeszcze lepiej nie wyraził niż Somerset Maugham. Pamięta pan *W niewoli uczuć*? Tylko niech pan, na litość boską, nie zrozumie mnie dosłownie i nie pomyśli, że Alina była nieczułą, niemoralną dziwką. W żadnym wypadku! Nie i jeszcze raz nie! Była... Jak by to powiedzieć.... Chyba emocjonalnie oziębła. Zdaje się, że jest taki termin w psychiatrii, oziębłość emocjonalna. Głuchota moralna. Dam panu przykład. Kiedyś dopadła mnie chandra. Ogarnął mnie taki smutek, że nic, tylko sięść i płakać. Bardzo chciałem usłyszeć od Aliny kilka ciepłych, czułych słów... Jest pierwsza w nocy, siedzę przybity w swoim mieszkaniu, nie mogę sobie miejsca znaleźć, taki mnie gniecie smutek. Dzwonię do Aliny i pytam: „Lina, kochasz mnie?”. Wystarczyło, żeby odpowiedziała: „Oczywiście, kochanie, bardzo cię kocham. Bardzo”. Tylko tyle. Od razu by mi przeszło.

- A co panu Alina powiedziała?

- Powiedziała tak: „Czyś ty do reszty zgłupiał, żeby dzwonić po nocy z takimi bzdurami? Spałam już”. I rozłączyła się. Ale przecież nie odpowiedziała w ten sposób, bo mnie nie kochała, po prostu takie doznania były jej obce. Nie potrafiła ich dostrzec ani zrozumieć. Przykro mi się wtedy zrobiło... Chyba pan rozumie, widziałem wszystkie jej wady, nie byłem przecież ślepo zakochanym młokosem, lecz mimo to darzyłem ją uczuciem. Im więcej zauważałem w niej wad, tym bardziej ją kochałem.

- Andrieju Lwowiczu, czy oprócz pana ktoś jeszcze dostrzegał jej braki? Czy był pan jedyną osobą, której Alina ukazywała się w negatywnym świetle?

- Skądże znowu, Juriju Wiktorowiczu, oczywiście, że nie byłem jedyny. Widzi pan, Alina miała pewną

szczególnością. Nie umiała się ładnie wypowiadać. Mówiła monotonna, niewyraźnie. Dla mnie nie miało to nigdy żadnego znaczenia, kochałem ją taką, jaka była. Jej dziecinny sposób wysławiania się nawet mnie wzruszał i rozczulał. Jednak z powodu braku umiejętności wyrażania myśli, przedstawiania własnego punktu widzenia, stawiania na swoim, wyklócania się, udowadniania swojej racji i wysuwania żądań. Alina sprawiała na otoczeniu wrażenie ciamajdy, głupiutkiej i potulnej gąski bez charakteru. W rzeczywistości wcale nie miała słabego charakteru ani nie była uległa, po prostu te cechy nigdy nie przejawiały się w postaci werbalnej.

- W czym wobec tego się przejawiały? - zainteresował się Korotkow.

- Widoczne były w jej działaniach, Juriju Wiktorowiczu. Dla wielu stanowiło to zaskoczenie. Podejrzewam, że właśnie dlatego Alina miała tylu wrogów i dlatego nienawidziło jej tyle osób.

Korotkow nastawił uszu, wyczuwając trop jak pies myśliwski. Czyżby dotarł do czegoś ważnego? Motywu nienawiści i wrogości dopatrzone się jak dotąd tylko u Siemienkowej i Mazurkiewicz. Jedynie u nich, Smułow twierdzi jednak, że byli również inni...

- Ludzie nie lubią czuć się oszukani, to jedna z podstawowych prawd. Człowiek oszukany czuje się upokorzony tym, że oszust okazał się mądrzejszy i sprytniejszy. Nikt normalny nie lubi się dowiadywać, że jest głupi i łatwowierny. Jeśli od początku wiemy, na przykład, że Iwan Pietrowicz Sidorów jest łajdakiem i dupkiem, podejmujemy stosowne działania, zabezpieczamy się, staramy się ograniczyć z nim kontakty, a kiedy mimo to on podstawia nam nogę, wzdychamy i

myślmy: ciekawe, do jakiej jeszcze podłości ten facet się posunie? Natomiast z takimi osobami jak Alina wszystko wygląda inaczej. Otoczenie ma ją za bezwonną, głupią gęś, więc kiedy ta gęś z czymś wyskoczy, każdy czuje się wyprowadzony w pole. W naszej wytwórni są dwie znane plotkary. Przyzwyczajiliśmy się, by wszystko, co od nich usłyszymy, przyjmować z rezerwą, bo wiecznie coś wyolbrzymiają, na gorąco fabrykując szczegóły. Nikt nie traktuje ich gadania poważnie. Powiedziały coś, no to powiedziały, nikt się nawet nie obraża, choć plotki bywają paskudne. Ależ to podstępna żmija, udaje niewiniątko, trudno z niej słowo wydusić, a tu proszę. Taka reakcja pojawiała się nawet wtedy, gdy Alina mówiła szczerą prawdę, nieprzyjemną, ale prawdę, nic nie zmyślając.

- Może pan podać przykład, Andrieju Lwowiczu? Kogo Alina w ten sposób obraziła lub nastawiła przeciwko sobie?

- Najświeższy przykład dotyczy Charitonowa. Zresztą chyba już panu o nim mówiono. Gdyby pan słyszał, jak się zdziwił, kiedy zadzwoniłem do niego na prośbę Aliny. Był tak szczerze zdumiony, jakby skontaktował się z nim przybysz z obcej planety. Kiedy prosił o pożyczkę, liczył zapewne, że Alinie będzie głupio upominać się o pieniądze, że zniesie to i poczeka. Alina rzeczywiście się krępowała. Wiedziała, że i tak nie wygarnie Charitonowi prawdy prosto w oczy, będzie tylko międlila słowa w ustach i przepraszała za natarczywość... Obserwowałem w niej zaskakujące połączenie wewnętrznego chłodu i oschłości z zewnętrzną łagodnością, apatycznością nawet, niepewnością. Kolejny przykład: niedawno przyszła do mnie na przesłuchanie Zoja Siemencowa. Chodziło o małą rolę, zaledwie

epizod, zawsze to jednak coś. Niestety, wypadła słabo. Wie pan, wszyscy litujemy się nad Zoją, przeżyła taką tragedię... Ktoś może panu opowiadał?

- Tak, tak, jestem na bieżąco. Proszę mówić dalej.

- Postanowiłem więc zaangażować Zoję do tego epizodu. Z litości. A zresztą, jeśli zna pan tę historię z *Trubadurem*, na pewno rozumie pan, że ciągle czuję się niezręcznie wobec Zoi. W niczym nie zawiniłem, nawet nie pracowałem jeszcze wtedy w Syriuszu, ale ponieważ kochałem Alinę, dzieliłem z nią wszystko, w tym również niechęć, którą żywili do niej inni. Nie wiem, czy to dla pana zrozumiałe... Tak czy inaczej, wiedziałem, że Alina odebrała Zoi rolę, i jako bliski przyjaciel Aliny czułem się odpowiedzialny za relacje z Siemencową. Chciałem je poprawić... Ale Alina stanęła okoniem. Nie, i koniec, nie chciała o niczym słyszeć! Twierdziła, że tam, gdzie mowa jest o sztuce i dużym sukcesie, nie powinno być miejsca na niepotrzebną litość. Krzyczała, że Zoja to alkoholiczka, pozbawiona ludzkiego oblicza, wariatka, i dalej w tym stylu.

I oczywiście zaczęła wszystkim opowiadać, że angażuję Zoję do tego epizodu z litości, bo zdjęcia próbne wypadły naprawdę fatalnie i Zoja zepsuje cały film... No i dalej w ten deseń. Wszystko, co Alina mówiła, było szczerą prawdą. Fatalne zdjęcia próbne.

To, że wziąłem Siemencową z litości. Że Zoja jest starą, odrażającą pijaczką. Tylko po co było rozpowiadać o tym na prawo i lewo? Wszystko dotarło oczywiście do Zoi. No i wyszło nieładnie.

- Kiedy to było?

- W ubiegłym tygodniu. Całkiem niedawno. Zoja szalała z wściekłości! Przypomniała sobie, że Alina zabrała jej Azucenę, która stanowiła ostatnią szansę na zagranie drugoplanowej roli. W sumie... - Smułow jakoś niezręcznie machnął dłonią, w której trzymał papierosa, nagły ruch spowodował, że słupek popiołu spadł na dywan, ale pogrążony w rozmyślaniach reżyser chyba nawet tego nie zauważył.

- Za to w historii z Ksenią widać Alinę jak na dłoni. Ujawnił się cały jej charakter. Opowiadano już panu?

- Słyszałem, że Ksenia Mazurkiewicz śmiertelnie obraziła Alinę przy ludziach. Co jednak wydarzyło się potem, nie wiem.

- O to właśnie chodzi, że nic się nie wydarzyło. Alina nawet nie próbowała zareagować, nie przerwała Kseni, nie zakończyła tego wstrętnego widowiska. Wysłuchiwała jej słów w milczeniu, stojąc za plecami Mazurkiewicz, która zresztą nie podejrzewała, że Alina ją słyszy. Była jak zwykle nieźle wstawiona i popisywała się przed publicznością. Tak więc Alina wysłuchiwała ataku do końca i odeszła bez słowa. Oczywiście wszyscy od razu się zaniepokoiли. Wy tłumaczono Kseni, że mówiła zbyt głośno i że Alina ją usłyszała. Ale spłynęło to po niej jak woda po gęsi. Przez całe życie wszystko uchodziło jej płazem, cały Syriusz solidarnie ją krył. Była przekonana, że i tym razem nikt jej nie ruszy, chociaż wygadywała takie świństwa, aż przykro było słuchać. Tymczasem nazajutrz Alina przystąpiła do poszukiwań telefonu Kozyriowa, ojca Kseni. Rozumie pan? O eskapadach żony prezesa wszyscy wiedzieli, że sto razy przyłapywano ją w różnych pikantnych sytuacjach, ale wszyscy

milczeliśmy, bo od reputacji Kseni zależała nasza praca i nasze pieniądze. Alina jednak się zdecydowała. Wyobraża pan sobie? Nie starła się z Ksenią przy ludziach, nie urządziła skandalu, bo też zupełnie nie umiała tego robić, mówiłem już panu. Za to nazajutrz zaczęła spokojnie i po cichutku działać. Można Alinę zrozumieć, zniewaga była bardzo poważna, niewybaczalna, jeśli wziąć pod uwagę, że Alina miała teraz status gwiazdy i pieniądze Mazurkiewicza nic dla niej nie znaczyły. Obeszłaby się bez nich. Rudin już ją mamił, nie dawał spokoju, proponował milionowe kontrakty.

- Chwileczkę, Andrieju Lwowiczu - przerwał mu zdziwiony Korotkow. - Przecież Mazurkiewicz zatrudniał również pana, nie tylko Alinę. Może jej już na tych pieniądzach nie zależało, ale co z panem! Czy to znaczy, że w ogóle o panu nie pomyślała? Było jej wszystko jedno, czy będzie pan mógł kręcić dalej filmy?

- Nic podobnego. - Smułow słabo się uśmiechnął, pierwszy raz w ciągu całej rozmowy z Korotkowem. - Oczywiście, że nie mogło jej być wszystko jedno. Po prostu nie zaakcentowałem pewnej rzeczy, bo wie pan, niezręcznie mi o tym wspominać... Ja też jestem przecież gwiazdą. W powszechnym rozumieniu tego słowa nawet bardziej niż Alina. *Odwieczny strach* przyniósł jej sławę po raz pierwszy, mnie natomiast po raz drugi. Byłem już kiedyś gwiazdą, po moim pierwszym filmie. Co prawda było to dziesięć lat temu, ale fani kina jeszcze mnie pamiętają, szczególnie miłośnicy gatunku. Ludzie Rudina z wytwórni Runiko zaczęli proponować mi kontrakty wcześniej niż Alinie. Tak więc, nawet jeśli Mazurkiewicz straci źródła dochodu, ja nie zostanę bez pracy.

- Może mi pan zdradzić, czemu został pan jednak w Syriuszu? Dlaczego nie odszedł pan do Rudina?

- Jaki to ma związek ze śmiercią Aliny? Nie odszedłem to nie odszedłem, co za różnica.

- Andrieju Lwowiczu, mimo to proszę odpowiedzieć.

- No dobrze. Widzi pan, Rudin ma bardzo złą opinię. Minionego lata zorganizował festiwal filmowy Złoty Orzeł, pewnie pan o nim słyszał.

Korotkow skinął w milczeniu głową.

- No więc, na tym festiwalu zamordowano jedną po drugiej cztery osoby, dwie aktorki, aktora i reżysera. A Boris Josifowicz Rudin, zamiast zamknąć festiwal od razu po pierwszym zabójstwie i domagać się przysłania z Moskwy najlepszych śledczych, pozwolił, żeby impreza najspokojniej w świecie toczyła się dalej, no i skutek był taki, że pojawiły się kolejne trzy ofiary. Służba ochrony Rudina też jest kiepska, bo składa się z osób przyjętych po protekcji. Najgorsze jest jednak to, że Rudin to amoralny typ. Niech pan sobie wyobrazi, że nie chciał wejść w konflikt ze sponsorami, którzy spodziewali się dużych zysków z umieszczenia reklam w trakcie trwania festiwalu. Nawiasem mówiąc, nasz szef ochrony też odrzucił ofertę pracy w Runiko, on również zna tę paskudną historię z festiwalem. W rezultacie środowisko filmowe ogłosiło cichy bojkot Rudina i jego wytwórni. My z Aliną też ...

Smułow nie dokończył zdania, gwałtownie przelknął ślinę i zaciągnął się głęboko papierosem. Palił jednego papierosa za drugim, ręce mu drżały, głos chwilami się załamywał, mimo to jednak panował nad sobą, wzbudzając w Korotkowie nie tylko współczucie, lecz i szacunek.

- Ostatnia rzecz, Andrieju Lwowiczu. Wróćmy jeszcze do piątku, 15 września. Proszę sobie przypomnieć wszystko, co ma związek z Aliną.

- Muszę w takim razie cofnąć się do czwartku. Tamtego dnia odbył się pokaz roboczy materiału zdjęciowego. Po jego zakończeniu wszyscy rzucili się do mnie i do Aliny z gratulacjami za ten epizod, w którym tak świetnie zagrała. Ten, gdzie dosłownie na oczekaniu blednie i szarzej na twarzy. Niewiarygodne mistrzostwo! Już panu mówiłem, że Alina jest aktorką z wielką przyszłością. To znaczy, była... Tak, przepraszam. No więc wszyscy nam gratulują, nie szczędzą pochwał i oklasków. Alina jest bardzo podekscytowana, przecież nawet nie przypuszczała, że uda jej się tak zagrać, a teraz zobaczyła to na własne oczy. Po pracy pojechała do domu, a ja zostałem, musieliśmy z Lenoczką Albikową przygotować się do zdjęć następnego dnia. Skończyliśmy koło wpół do dziewiątej, potem zatelefonowałem do Aliny. Doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu, abym przyjeżdżał do niej na noc. Alina bardzo dbała o swoją formę, była profesjonalistką. Jeśli rano czekały ją zdjęcia, nigdy nie nocowaliśmy razem. Pewnie niepotrzebnie to panu mówię, ale chciałbym, żeby pan rozumiał... Alina na ogół nie wyglądała zbyt dobrze po wspólnie spędzonej nocy. Kładliśmy się zazwyczaj późno, więc rano pod oczami miała sińce, pojawiały się również zmarszczki. Aby dobrze wyglądać i dobrze grać, musiała koniecznie przespać co najmniej dziesięć godzin. Tego domagał się jej organizm. W czwartek, kiedy do niej zadzwoniłem, obliczyliśmy naprędce, że skoro musiała wstać o szóstej, powinna się już kłaść. Właściwie musiała wstać nawet wcześniej, bo na

siódmą miała być na planie. Przez cały tydzień kręciliśmy zdjęcia rano, od siódmej do pierwszej, a o pierwszej do studia wchodził już inny reżyser, z innej wytwórni filmowej. Nie mamy przecież własnego atelier, wynajmujemy je, kupujemy godziny zdjęć albo w Mosfilmie, albo w byłym studiu imienia Gorkiego. To znaczy dysponujemy małym atelier i jeśli chcemy nakręcić scenę w mieszkaniu, w gabinecie albo powiedzmy, w przedziale pociągu, radzimy sobie sami. Jeśli jednak potrzebujemy większej przestrzeni i dekoracji pokazniejszych rozmiarów, to oczywiście nie pozostaje nam nic innego, jak chodzić po prośbie. Cały ubiegły tydzień był właśnie taki, od siódmej do trzynastej w wynajętym atelier.

- Rozumiem, Andrieju Lwowiczu, proszę opowiadać dalej. Zatelefonował pan do Aliny w czwartek koło dziewiątej wieczorem i...

- I postanowiliśmy, że lepiej będzie, jak pojedę do domu, inaczej o siódmej rano Alina będzie jak z krzyża zdjęta. Tak się wyraziła. Porozmawiałem z nią i pojechałem do domu. Następnego dnia, w piątek, spotkaliśmy się w studiu. Zdziwiłem się, że Alina wyglądała nie najlepiej, mimo iż poszła wcześniej spać. Powiedziała, że po wczorajszym pokazie długo nie mogła zasnąć i przewracała się z boku na bok prawie do świtu. Tego ranka grała wyraźnie poniżej swoich możliwości, cała ekipa to zauważyła. Krótko mówiąc, pracowaliśmy do pierwszej, a potem poprosiłem Alinę, żeby doprowadziła się do porządku. Wszystko rozumiem, światowa sława, na horyzoncie Oscar, tytuł seksbomby rosyjskiego kina - to oczywiście burzy krew i pozbawia snu, ale

praca to praca, a zwłaszcza w wynajętym atelier. Zostawała nam tylko sobota i niedziela, bo w niedzielę kończył się termin wynajmu, a pieniędzy na przedłużenie terminu nie było. Jeśli by Alina nie wróciła do formy i gdyby nie udało nam się nakręcić wszystkich zaplanowanych ujęć, powstałyby dodatkowe komplikacje. Dlatego zaproponowałem Alinie, żeby od razu po zakończeniu zdjęć pojechała do domu, wzięła coś na uspokojenie i przespała się. Miała odpoczywać, leżeć, z nikim niepotrzebnie się nie kontaktować i nie przywoływać tematu, który tak ją emocjonował. Alina obiecała, że tak zrobi.

- Czy po jej odjeździe dzwonił pan do niej?

- Jeden raz. Mniej więcej o siódmej wieczorem. Powiedziała, że wzięła jakiś środek uspokajający, walerianę czy serdecznik, i leży w łóżku, próbując się zdrzemnąć. Uprzedziłem ją, że więcej nie będę dzwonił, bo w razie gdyby zasnęła, nie chcę jej budzić. Umówiliśmy się na następny dzień, to znaczy na sobotę. O siódmej rano znowu mieliśmy zdjęcia. No a co było dalej, już pan wie.

- Tak - potwierdził Korotkow. - Dalej już wiem. Mam jeszcze jedno małe pytanie i dam panu spokój na dzisiaj. Proszę powiedzieć, czy Alina miała w zwyczaju chować pieniądze i biżuterię w jakimś szczególnym miejscu? Jeśli tak, to gdzie?

- Nie wiem. - Smułow pokręcił głową. - Przez cztery lata nie takiego nie widziałem. Pieniądze zawsze wyjmowała albo z portmonetki, albo z szuflady w meblościance. Biżuterię trzymała w kasetce, która stała na półce. Stała na widoku, ale była zamknięta na klucz. Kluczyk wisiał na kółku razem z kluczami od mieszkania i skrzynki pocztowej. Na tym samym kółku Alina

nosiła też klucze zapasowe od samochodu i od garażu. Tyle udało mi się zaobserwować. Im dłużej znałem Alinę, tym częściej przychodziło mi na myśl, że zupełnie jej nie znam. Zresztą chyba już to mówiłem...

- Andrieju Lwowiczu, a skąd Alina miała taką biżuterię? Mówił pan, że w kasetce zwykle leżały dwa pierścionki, jeden złoty z dużym brylantem, drugi platynowy i też z brylantem. Trzy pary kolczyków - i znowu złoto, platyna, brylanty, szmaragdy. Dwa naszyjniki, jeden grubszy i droższy od drugiego. Pięć bransoletek, w tym jedna platynowa, do pary z pierścionkiem. - Korotkow zamknął notes, do którego zaglądał, wyliczając kosztowności zrabowane z mieszkania Aliny. - Skąd to wszystko miała?

- Od zmarłej matki - wyjaśnił Smułow. - Ojciec Aliny był, a właściwie jest, człowiekiem oschłym i pozbawionym sentymentów, pewnie po nim Alina odziedziczyła oziębłość emocjonalną. Waznis doskonale widział jednak różnicę między pierwszą a drugą żoną. Pierwsza żona, Sofia, Sonieczka, matka Aliny i jego dwóch synów, zostawiła w spadku biżuterię, która miała przypaść wyłącznie Alinie. Inga, jej macocha, nie mogła jej nawet tknąć. Alina opowiadała mi kiedyś, że ojciec podniósł głos na Ingę tylko raz. Za to, że żona, ścierając kurze, przetarła kasetkę, no i zajrzała do niej. Ojciec przyłapał ją na oglądaniu ozdób Soni. Oj, co się wtedy działo... Ojciec wpadł w furję. Krzyczał, że biżuteria należała do kobiety, która urodziła mu troje dzieci, a w przyszłości będzie należała do jego córki, która urodzi mu wnuki. A ona, Inga, jeśli chce mieć brylanty, musi najpierw urodzić mu dziecko, żeby udowodnić swoje

prawo do nich. Alina mówiła, że Sonieczka pochodziła z bardzo bogatej rodziny. Obecnie wszyscy jej krewni ze strony matki wyjechali już do Izraela, więc Alinie została tylko łotewska część rodziny. To tak, jakby nie miała nikogo.

- Dlaczego? Czegoś tu nie rozumiem - zachmurzył się Korotkow.

- No bo... Nie chcę powtarzać tych świństw, które nagadała o Alinie Ksenia, ale jest w nich ziarno prawdy. Kim są ojciec i macocha Aliny? Łotyszami z głębokiej prowincji. Przez całe życie nienawidzili Rosjan. Wszystko co rosyjskie stało im kością w gardle. Nie opowiadano panu, jak doszło do ślubu Wałdisa Waznisa z Sonieczką Schweistein? Sonia wypoczywała z rodzicami nad Bałtykiem i wdała się w romans z chłopakiem z pobliskiego chutoru. Oboje byli młodzi, noce gwiazdziste... A potem okazało się, że Sonia jest w ciąży. Wałdis, jak przystało na porządnego faceta, oświadczył się jej, ale przecież nie mogło być nawet mowy o tym, żeby dziewczyna z bogatej żydowskiej rodziny wyjechała na łotewską wieś. Wałdis zachował się jak prawdziwy mężczyzna, poszedł na ustępstwo i sam się przeprowadził do Moskwy. Sonia, dopóki jeszcze żyła, jakoś podtrzymywała w rodzinie ducha cywilizacji i kultury rosyjskiej. Potem, kiedy w domu zjawiała się Inga, wszystko się skończyło. Nie, na miłość boską, nie mam nic przeciwko niej, zwłaszcza że sama Alina nigdy złego słowa o niej nie powiedziała. Ale... No właśnie. Wszystko co rosyjskie było złe. Wszystko co moskiewskie tym bardziej. Czytać można było tylko Wilisa Łacisa, Jana Rajnisa albo Piatrasa Cwirkę. Oglądać filmy wyprodukowane wyłącznie przez ryską wytwórnię,

słuchać muzyki Rajmonda Paulsa, i to tylko w wykonaniu Olgi Pirags. Żadnej Ałły Pugaczowej. A kiedy Alina oznajmiła, że dostała się do szkoły filmowej w Moskwie, w rodzinie przyjęto to jako obietnicę, że po skończeniu uczelni będzie kręciła filmy w wytwórni w Rydze. Kiedy jednak okazało się, że Alina występuje w filmach rosyjskich, Władis i Inga przestali z nią rozmawiać. Na szczęście bracia, nie byli tak zaślepieni jak starsze pokolenie. Młodszy, Alois, jest typowym przedstawicielem „nowych Rosjan”. Ma własny biznes, ożenił się z dziewczyną z Helsinek, mieszka to tu, to tam. Starszy, Imant, z charakteru bliski Władisowi, nie pochwałał działalności Aliny. Szczególnie drażniło go to, że mieszkaliśmy razem bez ślubu. Kiedyś podsłuchałem przypadkowo, jak nazwał ją bezwstydnicą i prostytutką, która od dzieciństwa myśli tylko o męskim rozporku. Z Władisem, Ingą i Imantem Alina praktycznie nie utrzymywała kontaktu. Mniej lub bardziej ciepłe stosunki łączyły ją tylko z Aloisem, ale on rzadko zatrzymuje się w Moskwie na dłużej. Musi pan wiedzieć, Juriju Wiktorowiczu, że Alina była bardzo, bardzo samotna. Ośmielę się stwierdzić, że jedynymi bliskimi jej osobami byłem ja i jej brat Alois. No a mówiąc całkiem szczerze, to tylko ja.

ALINA WAZNIS CZTERY LATA PRZED ŚMIERCĄ

Dlaczego wszyscy robią z Gildy anioła o czystym i niewinnym sercu? To kompletna bzdura, Leonidzie

Siergiejewiczu. Proszę jeszcze raz przeczytać libretto *Rigoletta*, przeanalizować każde słowo, a dostrzeże pan to, co ja.

Kiedy toczy się akcja opery? W czasach króla Franciszka I. Pamięta pan z lekcji historii, co to były za czasy? Czytał pan książki Dumasa? Słyszał pan o Benvenuto Cellinim? Za Franciszka I nie przejmowano się specjalnie kwestią dziewictwa. Obyczaje były więcej niż swobodne. Tak więc poczynania księcia Mantui mieściły się w granicach przyzwoitości. W tym czasie wszyscy książęta we Włoszech postępowali podobnie, ich zachowanie było zgodne z ogólnie przyjętą normą. Skoro wszyscy tak postępowali, musiało to znaleźć odbicie w psychice żeńskiej części ludności. A teraz wróćmy do Gildy.

Gdzie Gilda poznała księcia? W kościele. Pamięta pan, jak o tym mówi? „W kościele, gdym co święto błagała Stwórcy w niebie, młodzieniec stając przeciw mnie, zwracał mój wzrok na siebie, a z wejrzeń serc tajemny głos rozkoszny wróżył los”*. I co pan na to, Leonidzie Siergiejewiczu? Niech pan choć na chwilę wniknie w sens tych słów, a wszystko stanie się dla pana jasne. Czy na podstawie tego wyznania może pan sobie wyobrazić, co działo się z niewinną, czystą dziewczyną, która przyszła do kościoła, żeby się pomodlić?

* Fragment libretta opery *Rigoletto* w tłumaczeniu Jana Chęcińskiego, za: H. Swolkień, *Rigoletto J. Verdiego*. Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1958 (przyp. tłum.).

Proszę mnie nie rozśmieszać. Narzuca się tutaj zupełnie inne spostrzeżenie: młoda Gilda, normalna, wesoła dziewczyna, która doskonale wie, skąd się biorą dzieci, siedzi w domu, bo ojciec tyran zabrania jej wychodzić na ulicę. Jedyne wyjątkiem stanowi kościół. Ojciec pozwala jej chodzić tylko tam, nigdzie więcej. Oczywiście dziewczyna nie przestrzega zakazu i co rusz spotyka się z przyjaciółkami, biega na randki i jest na bieżąco w sprawach seksu. W domu ma służącą Giovannę, której Rigoletto zlecił pilnowanie córki. Jednak w trakcie opery widzimy, że Giovanna (również zwyczajna i bardzo daleka od ideału kobieta) przyjmuje pieniądze od księcia i pomaga mu zaaranżować spotkanie z Gildą. Skąd mamy pewność, że Giovanna wzięła pieniądze po raz pierwszy? Mogła je brać dziesiątki razy od każdego adoratora Gildy i umawiać ją na randki w sady. Proszę udowodnić, że było inaczej!

A zatem Gilda przychodzi do kościoła i będąc młodą, wesołą, atrakcyjną dziewczyną, zaczyna strzelać oczkami. No i oczywiście zwraca na siebie uwagę księcia, który w przebraniu człowieka z gminu też przyszedł do kościoła, aby się rozejrzeć, a nuż trafi mu się jakaś panienka. Spojrzenia rzucane w milczeniu są elementem gry, której zasady Gilda doskonale zna. Znajomość zostaje zawarta. O tym właśnie mówi fragment: „zwracał mój wzrok na siebie, a z wejrzeń serc tajemny głos rozkoszny wróżył los”. Aby kobieta umiała wyrażać spojrzeniem głos serca i potrafiła odczytywać namiętność we wzroku mężczyzny, musi mieć spore doświadczenie. Dla wprawnej kokietki to dziecinnie proste, lecz

dla dziewicy, która nigdy... z nikim... Czy potrafiłaby podnieść oczy na obiekt swej szalonej namiętności, nawet gdyby owa namiętność niespodziewanie ją ogarnęła? Wątpię.

Idźmy dalej. Podając się za człowieka prostego stanu, księżę przychodzi (z pomocą Giovanny) na randkę z Gildą. Co robi nasza cnotka? Ukrywa przed ojcem, że poznała młodego człowieka, z którym się umówiła. Dlaczego? Bo wie, że postępuje niewłaściwie. Wie, lecz nadal robi swoje. Innymi słowy, nie mamy podstaw, by twierdzić, że Gilda jest niewinną ofiarą oszustwa i nie wiedziała, co się święci. Wiedziała dobrze, nawet bardzo dobrze, i dlatego nie powiedziała nic ojcu.

W rezultacie ludzie księcia porywają Gildę i dostarczają ją prosto do książęcych komnat. Gilda spędza tam sporo czasu. Warto zauważyć, że gdy wychodzi, nie widać na niej podartego ubrania, siniaków czy śladów przemocy. Rigoletto poprzysięga księciu zemstę. Gilda, co jest zupełnie naturalne, błaga ojca, żeby powściągnął swój gniew. Dlaczego? Bo kocha księcia. Tak mówi libretto. A teraz, Leonidzie Siergiejewiczu, odrzućmy konwencję charakterystyczną dla gatunku operowego i zobaczmy, jak wygląda naga prawda.

Gilda spędziła z księciem w łóżku dość dużo czasu, ale nie ma na niej żadnych śladów gwałtu. Wniosek jest oczywisty: Gilda wcale nie czuje się wykorzystana i zhańbiona. Wprost przeciwnie, schadzka sprawiła jej ogromną przyjemność, więc próbuje być uczciwa i stara się przekonać ojca, by się nie gniewał. Proszę sobie wyobrazić niewinną dziewczynę, która w ogóle nigdy... z nikim... jak zostaje porwana, związana i uwolniona

dopiero w łóżku mężczyzny, w dodatku mężczyzna ów odbywa z nią stosunek seksualny. Pozbawia ją dziewictwa. Może pan sobie wyobrazić dziewczynę, której tak by się to spodobało, że oddałaby potem życie za tego mężczyznę? Niech pan również nie zapomina, że mężczyzna ją oszukał: podał się za biednego studenta Gwaltera Maldego, a okazał się księciem Mantui. Krótko mówiąc, pozbawił ją niewinności, a o małżeństwie nawet się nie zająknął, wskutek czego ona przez całe życie będzie teraz skompromitowana, zhańbiona, możliwe, że z nieślubnym dzieckiem na ręku. I za to wszystko Gilda go kocha? Proszę się nie łudzić, Leonidzie Siergiejewiczu. Takie dziewczęta nie istnieją. Jej zachowanie w trakcie opery dowodzi, że musi mieć zupełnie inną osobowość. Na pewno nie brak jej doświadczenia. Jest niestałą kokietką, kobietą namiętną, z temperamentem. A jednocześnie uczciwą. Bo nawet wtedy, kiedy książe zdradza ją z Magdaleną, Gilda nie płonie aż tak silną zazdrością, by życzyć zdrajcy śmierci. Czuję ból, jest jej przykro, lecz doskonale rozumie, że książe jej nie uwiódł - tę bajeczkę przeznaczono dla tatusia, a oni po prostu się spotkali, przypadli sobie do gustu i spędzili razem upojną noc. To niesprawiedliwe, że książe musi teraz przyplacić życiem chwile rozkoszy. Oboje tego chcieli i oboje czerpali z tego przyjemność. Nie ma w tym winy księcia. Jest natomiast wina jej, Gildy, ponieważ nie odważyła się odsłonić przed ojcem swego prawdziwego oblicza, wstydziła się powiedzieć mu, że dawno już nie jest dziewicą, że podobało jej się w łóżku z księciem i że pragnęła tego nie mniej niż on. Z tchórzostwa utrzymywała ojca w przekonaniu, że książe zgwałcił ją i oszukał.

I właśnie za to powinna zapłacić. Co też czyni, wystawiając się na cios bandyty, żeby uratować księcia, który nie jest właściwie niczemu winien.

Rozdział 4

KAMIENSKA

Wczesny jesienny chłód niespodziewanie ustąpił miejsca ciepłemu babiemu latu z ostrym słońcem i przyjemnie chłodnymi nocami. Nastia nie oszukała Stasowa, mówiąc, że dwa razy w miesiącu wcześniej rano w niedzielę chodzi na spacer do parku Izmańłowskiego w towarzystwie generała Zatocznego. Ta niedziela należała właśnie do takich „spacerowych”. Ostatnio do Nastii i Iwana Aleksiejewicza dołączył syn generała Maksim, który uczył się już w ostatniej klasie i przygotowywał się do egzaminów do szkoły milicyjnej, co wymagało dobrej kondycji - normy na testach sprawności fizycznej były bardzo surowe. Nastia z Iwanem Aleksiejewiczem niespiesznie przechadzali się po alejach, a Maksim biegał tam i z powrotem, pokonując stumetrowe, pięciusetmetrowe i pięciokilometrowe trasy.

- No i jak, tato? - Chłopak podbiegł do nich zdyszany.

Zatoczny spojrzął na stoper, który trzymał w ręce.

- W porządku, może być - pochwalił syna zdawkowo. - Na dzisiaj koniec z biegami. Teraz bierz się do ćwiczeń siłowych. Tam masz drążek, widzisz? Ruszaj, pięć serii po dwadzieścia podciągnięć.

- Coś okropnego! - jęknęła Nastia. - Ależ z pana sadysta, Iwanie Aleksiejewiczu. Po co pan dziecko katuje? Na co mu aż tyle podciągnąć?

- Na zapas - odrzekł z uśmiechem generał. - Przydadzą się.

- A ile wynosi norma?

- Dwanaście.

- W takim razie po co aż sto? Nie przesadza pan?

- Ani trochę. Kto wie, co się wydarzy za rok. A jak Maksim akurat w dzień egzaminu zachoruje lub będzie źle się czuł? Złapie jakąś anginę czy grypę albo nieszczęśliwie upadnie i dozna urazu. Wówczas nie wykona normy i nie zda, straci cały rok. Lepiej nie ryzykować. Jeśli teraz zatrzyma się na dwunastu podciągnięciach, to w razie najmniejszej trudności nie zaliczy normy. A jeśli będzie wyciągał pięć serii po dwadzieścia, to nawet będąc w bardzo złej formie podczas egzaminu, dwanaście razy podciągnie się bez problemu.

- Niegłupie podejście - przyznała Nastia. - Choć bezlitosne.

Przysiedli na ławce nieopodal Maksima. Zatoczny obserwował trening syna, a Nastia pograżyła się w rozmyślaniach na temat zamordowanej Aliny Waznis.

Dziewczyna była skryta, zamknięta w sobie, nie miała przyjaciółek. Albo miała, tylko nie w Syriuszu. Kiepsko się wypowiadała, wyróżniała się za to ostrym piórem. Dociekliwa, nie lubiła powielać schematów ani podążać utorowanymi ścieżkami, kierowała się własnym punktem widzenia i własnymi poglądami. Oziębla emocjonalnie. Na pewno po rozmowie Korotkowa z reżyserem Smułowem wypłyną jakieś dodatkowe

szczegóły, na razie jednak wszystkie przemyślenia Nastii opierały się na informacjach zdobytych w sobotę.

Z mieszkania Waznis zniknęła cała jej biżuteria. Nie ma też pieniędzy, które podobno oddał jej Charitonow. Co znaleziono? Odciski palców Aliny oraz Smułowa, który przez cztery lata bywał u niej co najmniej trzy, cztery razy w tygodniu. Właściwie tam mieszkał. Odkryto też miejsca z wyraźnymi śladami usuwania odcisków palców. Ktoś je wytarł albo zmył. W szafce kuchennej znajdują się dwie filiżanki, które zostały umyte szczególnie dokładnie, sodą i płynem do mycia naczyń, tak w każdym razie twierdzi ekspert Oleg Zubow. Możliwe, że z jednej filiżanki pił zabójca. A kto z drugiej? Sama gospodyni? Po co więc tak dokładnie umyto filiżankę? Odpowiedź jest prosta: mogły w niej zostać resztki jakiejś substancji. To, czy Alina Waznis została czymś otruta, wyjaśni się dopiero w poniedziałek, wcześniej wyniki sekcji raczej nie dotrą. Ktoś wytarł również klamki przy drzwiach wejściowych, przycisk dzwonka, lodówkę, szafkę kuchenną, lakierowany blat ławy w pokoju, a także wszystkie kontakty w mieszkaniu. Najwyraźniej zabójca się nie spieszył, działał systematycznie i ostrożnie.

Co jeszcze? Notatki, które dał Nastii Leonid Siergiejewicz Diegtiar, ewidentnie dowodziły, że Alinę Waznis interesowały dwie rzeczy: problem winy i zemsty. Nie miłość, zazdrość czy zdrada. Tylko wina i zemsta. Może to jest jakiś trop?

- Iwanie Aleksiejewiczu, czy jest pan pamiętliwy? - spytała nagle Nastia siedzącego obok generała.

- A dlaczego pani pyta? - zdziwił się.

- Najpierw proszę odpowiedzieć. - Nastia nie ustępowała.

- Nie, raczej nie. To znaczy na pamięć nie narzekam, wyrządzonej krzywdy nie zapominam, ale chęć odegrania się szybko ulatuje mi z głowy. Zbyt dużo mam, Nastieńko, codziennych kłopotów i trosk, żeby tracić czas na emocje. Wiecznie jestem czymś pochłonięty.

- A jeśli czuje się pan czemuś winien, długo to pana potem męczy?

- Nie wiem, nigdy nie sprawdzałem. - Zatoczny się uśmiechnął. - Mam taką zasadę: jeśli zawiniłeś, natychmiast się przyznaj, przeproś, zmyj z siebie winę, o ile to możliwe. Ale żeby zrobić coś złego, a później z tym żyć? Nie, z czymś takim nie miałem do czynienia. Chyba nie umiem znieść świadomości własnej winy, więc od razu podejmuję środki zaradcze. Czyżby zajęła się pani, Nastieńko, analizą mojej osobowości? Czy raczej chodzi o pracę?

- O pracę. Ofiara zabójstwa była osobą skrytą, nikt o niej w zasadzie nic nie wie, nie miała bliskich przyjaciółek. A jeśli miała, to skrzętnie je ukrywała. No więc próbuję to jakoś uporządkować...

- A może tajemnica tkwi w jej kryminalnej przeszłości? - zasugerował Zatoczny.

- Nie, to wykluczone. Szkoła, potem studia aktorskie, praca. Nie miała żadnych powiązań ze światem przestępczym. Aha, Iwanie Aleksiejewiczu, chciałam pana zapytać: nie zna pan przypadkiem Stasowa?

- Władysława? Tego, który niedawno odszedł na emeryturę?

- Zgadza się.

- Znam. Porządny facet. A co, wpadliście gdzieś na siebie?

- Uhm - przytaknęła Nastia. - Jest teraz szefem ochrony w wytwórni Syriusz, gdzie pracowała moja ofiara.

- No to można przyjąć, że ma pani szczęście. Wład to chłopak do rzeczy, przyzwoity pod każdym względem.

- A konkretnie?

- Nie uda się pani pociągnąć mnie za język - roześmiał się generał. - Plotki mnie nie interesują. Musi pani wyrobić sobie własne zdanie. Mogę oceniać tylko jego pracę, a jaki z niego człowiek, niech pani sama sonduje.

- Jest pan wstrętny, i tyle.

- Zasadniczy.

- Nawiasem mówiąc, pański przyzwoity pod każdym względem Wład próbował wydusić ze mnie, czy jestem pana kochanką.

- No i co? Wydusił?

- Myślę, że mi nie uwierzył. Chociaż wyznałam mu wszystko jak na spowiedzi.

- Niech pani przestanie przejmować się tymi idiotyzmami, Nastieńko. Jest pani rozsądna, umie pani logicznie myśleć, przecież nie może pani nie wiedzieć, że i tak nikt w to nie uwierzy. Proszę się nie poniżać i nikomu się nie tłumaczyć, to bez sensu.

- A co z reputacją?

- Czyją? Pani?

- O swoją dbam jak pies o piątą nogę. Mówię o pańskiej reputacji.

- Mnie to nie przeszkadza. - Zatoczny uśmiechnął się swoim słynnym promiennym uśmiechem, od którego

jego żółte tygrysie oczy momentalnie zamieniły się w dwa ciepłe słoneczka, rozświetlając jego szczupłą, kościstą twarz, a także, jak się zdawało, całą przestrzeń wokół niego. - Odkąd pracuję w milicji, ciągną się za mną jakieś niestworzone historie. Fama głosi, że moimi kochankami były żony wiceministrów, znane aktorki albo damy parające się polityką. A ja, zamiast się wymigiwać i z pianą na ustach udowodniać swoją moralną czystość, po prostu nie zwracam uwagi, nie wyklócam się, a potem obracam te historie na swoją korzyść. Radzę pani postępować tak samo.

- No, ale jaką korzyść mogą panu przynieść plotki, że jestem pańską kochanką?

- O-o, bardzo dużą. Mnóstwo ludzi wie na przykład o tym, że w niedzielę spacerujemy razem w tym parku. Wiedzą nie tylko ci, którzy pracują w naszym ministerstwie albo u pani na Pietrowce. Jeśli więc wyznaczam tajne spotkanie zaufanej osobie w niedzielę rano gdzieś w pobliżu, to ci, którzy śledzą moje ruchy i kontakty, przyjmą to całkiem spokojnie. Zatoczy wyszedł w niedzielę rano wcześniej z domu i udał się do parku? No i co z tego, poszedł przecież na spacer ze swoją lalunią, to żadna rewelacja, można się nie wysilać. A tymczasem tutaj odbywa się coś ważnego. Rozumie pani?

- To znaczy, że służę panu za przykrywkę?

- I owszem. Kto jednak broni pani robić to samo? Czy pani mąż wie na przykład o naszych spacerach?

- Oczywiście. Nawet mnie do nich zachęca. Uważa, że za mało przebywam na świeżym powietrzu, i jest bardzo zadowolony, kiedy chociaż dwa razy w miesiącu spaceruję przez dwie godziny.

- No proszę. Jeśli postanowi więc pani go zdradzić, będzie pani miała całkiem legalnie dwie godziny w niedzielę. I zero podejrzeń. Powie mu pani, że postanowiliśmy spacerować co tydzień.

- Zastanowię się nad tym - odparła poważnie Nastia. - Jakoś mi to nie przyszło do głowy.

- To dlatego, że jest pani mężatką od niedawna, ma pani niewielki staż. Pewnie się pani przyzwyczaiła do swobodnego rozporządzania czasem i takie sztuczki nie były pani do tej pory potrzebne. Z czasem, kiedy mąż się pani znudzi, doceni pani moje rady.

- Tato - rozległ się głos Maksima. - Machnąłem już cztery serie, może wystarczy na dzisiaj?

- Nie, synku. Nie ociągaj się, ćwicz dalej.

- Jestem już zmęczony.

- No to odpocznij. Pochodź sobie, rozluźnij się, poskacz. A potem bierz się do ostatniej dwudziestki.

Nastia ze współczuciem popatrzyła na Maksima. Dobrze, że w czasach jej młodości nie przyjmowano jeszcze dziewcząt do szkoły milicyjnej i ona poszła na uniwersytet. Z całą pewnością nie udałooby jej się zaliczyć tych piekielnych testów sprawnościowych.

STASOW

Stasow znał Zoję Siemiencową z widzenia, ale w jej mieszkaniu znalazł się po raz pierwszy. Ze zdziwieniem stwierdził, że wystrój wnętrza zupełnie nie odpowiadał wrażeniu, jakie Zoja wywierała na współpracownikach. Zdumiało go wręcz, że ta przedwcześnie postarzała kobieta umiała stworzyć u siebie *entourage*

prawdziwej diwy filmowej. W pokoju znajdowało się kilka bukietów żywych kwiatów, na ścianach wisiały ogromne fotografie samej Siemencowej w różnych rolach, jeszcze z czasów młodości i aktywnej działalności artystycznej. Mieszkanie utrzymane było w czystości i idealnym porządku, na stoliku między trzema fotelami oprócz oryginalnej popielniczki stały dwie napoczęte butelki francuskiego koniaku i irlandzkiego likieru mlecznego. Aż się wierzyć nie chciało, że mieszka tu ta sama Zoja, którą w studiu zawsze widziano potarganą, z głębokimi zmarszczkami, ubraną w jakieś krzykliwe szmatki o szkaradnych kolorach i fasonach. Przyjmując u siebie szefa ochrony, Zoja była chodzącą uprzejmością i miała salonowe maniery.

- Zoju Ignatjewno - zagadnął Stasow ostrożnie, próbując na poczekaniu wypracować nową taktykę rozmowy, założywszy wcześniej, że będzie musiał rozmawiać z niechlujną, nieszczęsną pijaczką. - Czy mogłaby pani sobie dokładnie przypomnieć piątek, 15 września?

- A po co? - spytała wyniośle Siemencową, siadając w fotelu i zakładając nogę na nogę.

Stasow poczuł zażenowanie i głęboką litość dla tej kobiety. Mocno pomalowane rzęsy i grubo nałożony cień na powiekach nie mogły ukryć zmarszczek. Na głowie Zoja miała z całą pewnością perukę imitującą wspaniałe jasne loki. Puder w płynie jeszcze bardziej podkreślał nierówności cery, a błyszczące rajstopy eksponowały

nogi, którymi dawno już należało przestać się chwalić. Kiedyś Zoja Siemencowa była zgrabną, miniaturową laleczką o kształtnych nogach i pięknych rękach. Teraz wydawało się, jakby uschła. Alkohol i niezliczone lekarstwa, którymi faszrowali ją lekarze, zrujnowały ją wewnątrz, zostawiając puste i zbyt duże opakowanie. Ten gest zakładania nogi na nogę piętnaście, dwadzieścia lat temu zostałby odebrany jako wyzywający czy erotyczny, dzisiaj był śmieszny i żalony.

- Próbujemy odtworzyć wszystkie czynności Aliny tamtego dnia. Dlatego tak dużą wagę przywiązujemy do tego, kto, gdzie i kiedy ją widział albo chociaż rozmawiał z nią przez telefon. Może mi pani coś na ten temat powiedzieć?

- Niestety, nie mogę. Nie widziałam Aliny w piątek.

- Proszę sobie przypomnieć, Zoju Ignatjewno, może ktoś pani mówił, że widział Alinę? Albo że do niej telefonował? Ważny jest każdy szczegół, nawet najdrobniejsza sugestia dotycząca ewentualnego źródła informacji. Niech się pani dobrze zastanowi.

- Napije się pan? - nagle zapytała Zoja, sięgając po butelkę z koniakiem.

- Nie, dziękuję.

- A ja się napiję. - Wyzywająco uniosła głowę.

Z półki pod stolikiem wzięła kieliszek, nalała sobie koniaku i wychyliła duszkiem.

- Co pan tak patrzy? Owszem, piję. Rano też. Ale tylko wtedy, gdy nie pracuję. Podczas zdjęć jestem trzeźwa. Każdy to potwierdzi. Nikt nie widział Zoi Siemencowej

zalanej na planie. A co robię u siebie w domu, nikomu nic do tego.

Na efekt wypitego kieliszka koniaku nie trzeba było długo czekać i Stasow pojął, że Zoja jest rzeczywiście chora. Alkohol natychmiast uderzał jej do głowy. Nie wykluczone zresztą, że wstawiła się jeszcze przed jego przyjściem, a teraz się tylko doprawiła. Jej policzki zaróżowiły się pod grubą warstwą pudru, oczy zaczęły błyszczeć.

- Gdyby nie ta puszczańska, miałabym teraz ról do wyboru, do koloru - oznajmiła drżącym ze wzburzenia głosem. - Jej niech pan podziękuje, że piję. To wszystko przez nią... Przez nią...

Zoja znowu naląła sobie koniaku i wypila zawartość kieliszka jednym haustem.

- No więc, co chciałby pan wiedzieć, Sławik?

Stasowowi nie spodobała się ta poufalość, ale postanowił nie reagować. Zoja chce się czuć jak jego rówieśnica? Niech jej będzie. Byleby tylko powiedziała coś sensownego.

- Prześledźmy razem, krok po kroku, co pani robiła w piątek. O której pani wstała?

- Wstaję bardzo wcześnie. Jestem aktorką, ciężko haruję i nie stać mnie na to, żeby hulać do rana, a potem do wieczora spać.

- Rozumiem, Zoju Ignatjewno, proszę mimo wszystko powiedzieć, o której pani wstała - cierpliwie powtórzył Stasow.

- No... chyba koło ósmej. Nie, o wpół do ósmej. O ósmej nie było mnie już w domu.

- Dokąd pani poszła?

- Co za różnica? Na spacer.

No jasne, pomyślał Stasow. Z samego rana pobiegła po nową butelkę.

- Jak długo pani spacerowała?

- Jakies pół godziny.

- Potem wróciła pani do domu?

- Tak, do domu. Widzi pan, ja...

Stasow posuwał się naprzód powoli, czując się tak, jakby pokonywał jakieś ogromne przeszkody. Wypytywał Zoję o jej piątkowe czynności godzina po godzinie, minuta po minucie, co chwila się cofając, uściślając fakty, pytając o to samo jeszcze raz, sumując przerwy czasowe. Od wpół do ósmej do wpół do drugiej wszystko zgadzało się jak w zegarku. O wpół do drugiej Zoja Siemienkowa zjawiała się w biurze Syriusza - w ładnej willi na jednej z cichych moskiewskich uliczek w centrum miasta. Przyszła po scenariusz filmu, w którym Andriej Smułow powierzył jej małą rolę. Tydzień wcześniej odbyły się zdjęcia próbne, po których powiedziano jej, że dostanie angaż. Na schodach spotkała charakteryzatorkę Katię, którą знаła od niepamiętnych czasów.

- Ojej, Zojeńko, kto by pomyślał, że z tej Aliny taka jędza! - z miejsca zatrajkotała Katia, cmokając przyjaciółkę w policzek. - Andriej Lwowicz czuje się ogromnie niezręcznie, chodzi dosłownie jak struty.

- O czym ty mówisz? - podejrzliwie zapytała Siemienkowa, natychmiast przeczuwając coś niedobrego.

- No jak to! Smułowowi nie spodobały się twoje zdjęcia próbne, ale i tak chciał cię wziąć do tego epizodu, bo wie, że jesteś dobrą aktorką. Alina zaczęła jednak wszystkim opowiadać, że zdjęcia wypadły koszmarnie

i Andriej Lwowicz angażuje cię do filmu z litości, bo wiadomo, że nadużywasz alkoholu, więc on chce ci udzielić moralnego wsparcia. Wyobraź sobie, że on jej się zwierzył jak bliskiej osobie, a ona od razu roztrąbiła to po całym studiu. Przypomniała sobie nawet jakąś kradzież sprzed stu lat, że niby coś komuś ukradłaś. Wszystko oczywiście dotarło do Zarubina, który wezwał do siebie Smułowa i zakazał mu dawać ci rolę.

Zarubin jako dyrektor handlowy wytwórni odpowiadał za to, żeby kwota wydatków na produkcję nie przewyższyła określonego procentu od sumy spodziewanego dochodu. Dziesiątki razy przeliczał każdą kopiejkę, szukając okazji, gdzie można by zaoszczędzić, żeby film wypadł jak najtaniej. Trzeba jednak przyznać, że jeśli zainwestowane pieniądze zapowiadały zwiększenie zysków, nigdy nie oponował. Uważał, że nie opłaca się zatrudniać Siemencowej. Już dawno otrzymała tytuł zasłużonej artystki, więc nawet za epizod trzeba jej było płacić dość wysoką stawkę. Po co, skoro można wziąć do roli nikomu nieznaną aktorkę i zapłacić jej o wiele mniej? Jeśli w dodatku Smułowowi nie spodobały się zdjęcia próbne, niewykluczone, że w filmie Siemencowa zagra równie słabo. To tylko epizod, co prawda, ale przecież nawet jedna fałszywa perła może zepsuć cały naszyjnik. Czy warto ryzykować?

Trzęsąc się z wściekłości, Zoja wpadła do pokoju, w którym miała odebrać scenariusz. Po drodze natykała się na znajomych aktorów, recepcjonistów, rekwizytorów i wszyscy mieli na twarzach wypisane słowa: „Tak, to prawda, co mówiła Katia”. Twarze jednych wyrażały współczucie, innych - złośliwą satysfakcję. Wszyscy

jednak, tego Zoja była pewna, wiedzieli już, że ją wyrolowano. A stała za tym ta jędzka Waznis. I to nie pierwszy raz!

Rozmowa na schodach z charakteryzatorką i przejście korytarzem willi były ostatnimi zdarzeniami, które Zoja Siemencowa potrafiła w miarę składnie opowiedzieć. Jej dalsza relacja była chaotyczna i niejasna. Nie pamiętała, ani z kim rozmawiała, ani do kogo wstępowała czy dzwoniła. Podawała tylko jakieś fragmentaryczne informacje. Pamiętała na przykład, jak postanowiła porozmawiać ze Smułowem i zaczęła rozpytywać, gdzie go znajdzie. Powiedziano jej, że do pierwszej pracował w wynajętym atelier i że koło trzeciej miał wrócić do biura z nakręconym materiałem.

- Doczekała się pani Smułowa? - spytał Stasow. Domyślał się już, że usłyszawszy nieprzyjemną wiadomość, Zoja z miejsca sięgnęła po butelkę. Widocznie cały czas nosiła alkohol w torebce. Wyjaśniałoby to luki w jej pamięci. Jedyne, czego była absolutnie pewna, to tego, że była w biurze. Widziało ją mnóstwo ludzi, rozmawiała z nimi, ale szczegółów rozmów nie pamiętała.

Mogło też być inne wyjaśnienie: Zoja nie miała żadnych problemów z pamięcią. Po prostu próbuje coś przed Stasowem ukryć. Musi więc postępować z tą kobietą bardzo ostrożnie i uważnie, żeby z jednej strony nie urazić jej, a z drugiej nie obudzić niepotrzebnie czujności.

- Ja... Nie, nie doczekałam się. Coś go chyba zatrzymało, a ja się spieszyłam.

- Dokąd? - niewinnie zainteresował się Stasow.

- Miałam sprawę.

Siemiencowa obrzuciła go szybkim spojrzeniem i od razu naląła sobie nową porcję alkoholu.

- Dobrze, idźmy dalej, Zoju Ignatjewno. Czyli z biura wyszła pani mniej więcej o piątej, zgadza się? Czy raczej o szóstej?

- Koło piątej.

- I dokąd pani poszła?

- Niech pan posłucha, Sławik, tam, gdzie byłam, nie rozmawiano o Alinie. O wszystkim, co się wydarzyło w biurze, dokładnie panu opowiedziałam. Aliny tam nie widziałam i nie telefonowałam do niej. A to, co o niej usłyszałam, świadczyło tylko o tym, że jest okrutną, bezlitosną i głupią dziwką. Rozumiem, że ma mnie w nosie, że widzi we mnie tylko dawną rywalkę. Ale kiedy to było! Jak mogła postąpić tak z Andriejem Lwowiczem? Wyznał jej prawdę, był z nią szczery, a ona tak go wystawiła. Smułow wstydzi się teraz spojrzeć mi w oczy.

- Chciałbym jednak wiedzieć, Zoju Ignatjewno, dokąd się pani wybrała koło piątej?

- Do fryzjera.

- I ile czasu tam pani spędziła?

- Myślę, że gdzieś do siódmej. Wie pan, teraz wszystko trwa bardzo długo. Technologia modnych fryzur jest skomplikowana. Trwała, modelowanie, to wymaga czasu.

- A po wyjściu od fryzjera?

Im bardziej zbliżali się do piątkowego wieczoru, tym wyraźniej wyczuwało się panikę, która ogarniała Siemiencowa. Stasow przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z Kamińską: według Nasti Diegtiar nie miał cienia wątpliwości, że Zoja, za sprawą swojej konstrukcji

psychicznej, mogła zabić Alinę Waznis. Jeśli chodzi natomiast o kondycję fizyczną, rodzą się tu oczywiście pewne zastrzeżenia, i to niemałe, ale tylko wtedy, gdyby założyć, że Alina była do samego końca przytomna. A jeżeli straciła przytomność? Coś Zoja zanadto się denerwuje.

- Po wyjściu od fryzjera pojechałam na masaż...

Miała gotową odpowiedź na każde pytanie, dotyczące jej miejsca pobytu aż do dziesiątej wieczorem, kiedy jak zapewniała, wróciła do domu i poszła spać. Te odpowiedzi były o wiele bardziej płynne niż jej bezładna relacja z godzin, które spędziła w willi Syriusza. Stasowowi to się zupełnie nie podobało.

- Zoju Ignatjewno, odnoszę takie wrażenie, jakby czegoś pani nie dopowiadała i próbowała coś przede mną ukryć. Mam rację?

Reakcja Siemencowej okazała się tak gwałtowna, że Stasow nawet się trochę przestraszył.

- Nic przed panem nie ukrywam! Słyszysz pan? Nic! Nie mam nic do ukrycia! O mojej kompromitacji i tak już wiedzą wszyscy bez wyjątku. Wróble na dachu o tym ćwierkają! Ta Waznis to po prostu nieznaną umiaru kanalia. Mało jej było upokorzenia, które musiałam przez nią znieść pięć lat temu, kiedy ukradła mi rolę Azuceny. Przecież chodziłam do niej do domu, płakałam, błagałam, żeby zrezygnowała z Azuceny i zagrała Leonorę, tak jak to było pierwotnie zaplanowane. Przecież wszystko jej wytłumaczyłam, wszystko! To, jak ważna była dla mnie ta rola. I to, co przeżyłam, kiedy moja rodzina zginęła! I przez co przeszłam w szpitalu! Wyznałam jej wszystko! A ona? Wysłuchiwała mnie, nic nie odpowiedziała, a i tak zrobiła po swoimemu.

Gdyby pan wiedział, ile mnie kosztowało, żeby się przełamać i pójść do niej. Do takiej smarkuli, do studentki! A ja, utytułowana artystka, straciłam twarz, płakałam i błagałam ją na kolanach. Czy coś takiego można wybaczyć? Zasłużyła na śmierć, tyle panu powiem. Ktokolwiek ją zabił, warto by mu pomnik za życia postawić.

Zoja trzęsa się jak w gorączce, pluć śliną i Stasow obawiał się, że zaraz dostanie zawału.

- Zoju Ignatjewno, proszę się uspokoić. - Chwyił ją delikatnie za rękę i lekko uściskał. - Niech się pani tak nie denerwuje. Wszystko rozumiem, Alina bardzo panią obraziła, ale przecież minęło tyle lat, wszyscy już zapomnieli o tamtej historii, najwyższy czas, żeby pani też zapomniała. Proszę się uspokoić...

Stasow wyszedł od Siemienkowej z ciężkim sercem. Zawsze ogarniał go smutek, gdy miał do czynienia z godnymi pożałowania, skrzywdzonymi ludźmi. Zoja nie rozwiązała jego wątpliwości, ale przynajmniej dostarczyła jakiegoś punktu zaczepienia. Teraz należało sprawdzić jej słowa. Stasow zanotował adresy i nazwiska fryzjerki, masażystki i innych osób, o których wspominała Zoja. Miejmy nadzieję, że wszystko się potwierdzi, myślał. No, a jeśli nie...

ALINA WAZNIS DZIESIĘĆ LAT PRZED ŚMIERCĄ

W miarę upływu lat Alina pogodziła się z losem. Nieznajomy mężczyzna wciąż się pojawiał, stawał przed nią niespodziewanie na drodze, kiedy dokoła było ciemno i żadnych ludzi. Alina starała się nie

chodzić wieczorami sama, ale czasami musiała przejść ciemną, pustą ulicą, a wtedy on, jakby specjalnie na nią czekając, wynurzał się z mroku. Teraz już знаła sens i znaczenie tych wszystkich słów, które szeptał, patrząc jej prosto w oczy. Jedną ręką przytrzymywał jej dłoń, drugą dotykał gęstych kasztanowych włosów, gładkich i jedwabistych. I nie przestawał mówić... Bała się go, czuła wstręt, ale znosiła wszystko bez słowa sprzeciwu. O tym, żeby zacząć krzyczeć, wzywać pomocy albo chociaż spróbować się wyrwać, nie odważyła się nawet pomyśleć. Mężczyzna mieszkał przecież gdzieś w sąsiedztwie i Alina nie wątpiła, że groźbę, którą zawsze powtarzał przed odejściem, spełni bez wahania.

Alina pogodziła się z myślą, że jest zła. Od dnia, w którym koleżanka z przedszkola powiedziała jej, że jest zepsuta i można się od niej zarazić. Nie było wówczas obok Aliny osoby, która by jej wyjaśniła, że nie ma tu żadnej jej winy, że jest taka sama jak pozostałe dzieci. Zabrakło dorosłego, który zgłosiłby milicji, że gdzieś niedaleko mieszka młody mężczyzna molestujący dzieci. Alina skrywała w sobie swój strach, a w jej dziecięcej duszyczce rosło i umacniało się poczucie własnej winy i gorzkiej samotności.

Z czasem zauważyła, że powroty okropnego człowieka (w myślach nazywała go Świrem) cechowała pewna cykliczność. W każdym razie zjawiał się nie częściej niż raz na dwa, trzy miesiące. Po każdym spotkaniu Alina wzdychała więc z ulgą, ponieważ wiedziała, że

przez pięć, sześć tygodni będzie mogła chodzić bez obaw po ulicach, nie trzęsąc się ze strachu i nie oglądając się za siebie. Mijały dwa miesiące i znów ogarniał ją niepokój. Niechby się już pojawił, myślała ze smutkiem, lepiej by było mieć to już za sobą, jakoś to przetrzymać, a potem znowu przez prawie dwa miesiące cieszyć się spokojem.

Dochodziło do tego, że kiedy oczekiwanie na koszmar stawało się nie do zniesienia, Alina specjalnie wychodziła wieczorami z domu i przesiadywała na pobliskim skwerku. To prawie zawsze działało. Świr pojawiał się nagle za jej plecami, siadał obok, szczyrzył zęby w paskudnym uśmiechu, dotykał jej długich, jedwabistych włosów i zaczynał szeptać swoje świństwa, jak to zdejmie jej majteczki, będzie głaskał ją i pieścił palcami... Starła się go nie słuchać, myśleć o czym innym, o szkole i o lekcjach albo o macosze i braciach. Wiedziała, że musi zacisnąć zęby i przetrwać te okropne chwile. Za to potem będzie miała dwa miesiące względnego spokoju. Albo trzy, jak dobrze pójdzie.

W wieku piętnastu lat rozumiała już każdy jego gest, wiedziała, czemu pod koniec swojej cichej, lubieżnej przemowy zdejmował rękę z jej włosów i wkładał ją sobie między nogi. Wiedziała, dlaczego nagle przerywał w pół słowa, milkł na dwie, trzy sekundy, a potem głęboko i jakoś ochryple wzdychał. Doskonale zdawała sobie sprawę, co się działo z tym mężczyzną, siedzącym obok niej na ławce, i nie czuła nic poza przerażeniem i wstrętem. Oswoiła oba te uczucia. A także poczucie winy. I samotności.

Alina nie miała koleżanek, więc nie nauczyła się obcować z ludźmi. Wygłaszała w duchu długie, płomienne monologi, dyskutując z urojonymi rozmówcami, opowiadała im o przeczytanych książkach i obejrzanych filmach, spierała się z nimi, udowadniała i tłumaczyła swoje racje. Skarżyła się i pocieszała w odpowiedzi na ich żale. Stworzyła w swojej główce cały świat, zamieszkały przez dobrych i mądrych ludzi, którym nie była obojętna, którzy się nią przejmowali i interesowali, niepokoiли o wyniki jej egzaminów. Wystarczyło jednak, że otworzyła usta, a paraliżował ją jakiś śmiertelny chłód. Wydawało jej się, że nikogo nie obchodzi, nikomu nie jest potrzebna ani ona, ani jej myśli i doznania. W dodatku obezwładniał ją strach. Dziecięce doświadczenie okazało się zbyt gorzkie i bolesne. Od tamtej pory Alina Waznis okropnie się bała, że każde wypowiedziane przez nią słowo zostanie wykorzystane przeciwko niej.

Nauczyciele niczego nie zauważali. Dzięki wspierającej pamięci Alina swobodnie recytowała wyuczone z podręczników lekcje, a normalnie rozwinięty umysł pozwalał jej bez trudu rozwiązywać zadania z fizyki, matematyki i chemii. Jedynym wyjątkiem była nauczycielka literatury, która lubiła zadawać pytania spoza podręcznika. Wysłuchawszy odpowiedzi ucznia na temat „Obraz Napoleona w powieści Tolstojego *Wojna i pokój*”, mogła zapytać: „No, a jak ty sam myślisz, czy Napoleon był okrutny? Czytałeś przecież książkę, jakie więc odniosłeś wrażenie?”. Jeśli takie pytania otrzymywała Alina, zaczynała bełkotać coś nieskładnie, a jej słowa w najmniejszym stopniu nie przekazywały tego,

co myślała. Tak, miała własne zdanie, ale panicznie bała się wypowiadać je na głos. A nuż znowu coś wyjdzie nie tak i znowu wszyscy się od niej odwrócą?

- To wprost zadziwiające - mówiła w takich wypadkach nauczycielka. - Alina, jak to się dzieje, że piszesz tak wspaniale wypracowania, a wypowiadasz się tak fatalnie?

Bo moje wypracowania czyta tylko pani, odpowiadała jej w myślach Alina. A moją odpowiedź usłyszy cała klasa. Bo ufam pani i wiem, że nigdy mnie pani nie ośmieszy publicznie, nawet jeśli w moim wypracowaniu będą jakieś braki. A jeśli powiem coś zabawnego albo się pomylę, koledzy będą ze mnie szydzić i traktować z pogardą.

Paniczny strach przed wypowiedzianym słowem Alina zawdzięczała bratu. To Imantowi mogła podziękować. W wieku piętnastu lat wiedziała już i rozumiała wszystko, co powinna wiedzieć i rozumieć nastolatka. Oczywiście wiedziała też, że nie ma takich słów, od których dostaje się liszajów w ustach. Jednak dziecięce obawy nie opuszczały jej. Zakorzeniły się głęboko, z biegiem lat stawały się coraz silniejsze. Alina wciąż bała się ludzi i stroniła od nich. W rezultacie rzadko się odzywała, dużo za to rozmyślała i rozmawiała sama ze sobą.

Dziewczyna podjęła nieodwołalną decyzję, że zostanie aktorką. Wcale nie powodowały nią te na wpół dziecięce pobudki, którymi kieruje się przemożna większość dziewcząt, składających dokumenty do szkoły filmowej albo teatralnej. Alina nie myślała o sławie, popularności, wygodnym życiu i występach za granicą.

Chciała móc głośno się wypowiadać i zostać usłyszaną. Chciała pokazać ludziom ten ocean myśli, uczuć i doznań, które nagromadziły się w niej przez lata. Pragnęła to jednak zrobić nie w swoim imieniu, nie w imieniu Aliny Waznis, lecz w imieniu tych bohaterek, które miała zagrać. Ów ocean rwał się na zewnątrz, rozsadzał kruchą psychikę nastolatki, ale odwieczny strach przed niezrozumieniem i odrzuceniem nie pozwalał mu się wydostać. Fikcyjna postać to co innego, komu przyjdzie do głowy obarczać ją odpowiedzialnością?

Rozdział 5

KAMIENSKA

W poniedziałek po porannej odprawie operacyjnej Nastia Kamieńska i Jurij Korotkow zabrali się do układania planu działania. Przedtem Nastia zdążyła przejrzeć ekspertyzę lekarzy sądowych, którzy przeprowadzili sekcję zwłok Aliny. Jako przyczynę zgonu wskazali asfiksję, czyli uduszenie. W krwi denatki stwierdzono również obecność silnych środków uspokajających, w dodatku w dużym stężeniu.

- No i co z tego wynika? - smutno zapytał Korotkow.
- Ksenia Mazurkiewicz miała ze sobą leki uspokajające, co najmniej osiemdziesiąt tabletek, i licho wie, co z nimi zrobiła. Jeśli ich nie ma, to musi gdzieś być recepta. Albo jedno, albo drugie. Całkiem możliwe, że niešťczęsną Waznis udusiła Siemienkowa, uprzednio nafaszerowawszy ją tymi lekami. Z Charitonowem też dziwna sprawa. Udowodnić, że się nie było w jakimś miejscu, bo się było widzianym w innym, to jedno. Jak natomiast udowodnić, że się tam było, jeśli nie ma świadków? Charitonow przysięga, że odwiózł Alinie cały dług. Jak to sprawdzić?

- Dobra, nie jęcz, nie takie to wszystko straszne. Ksenię niech się zajmie śledczy, on ją wypyta i o receptę, i o tabletki. Aha, powinniśmy sprawdzić, czy Ksenia i Zoja Siemienkowa nie są bliskimi przyjaciółkami.

- Co ci chodzi po głowie? - Korotkow obrzucił Nastię zdziwionym spojrzeniem. - Myślisz, że mogły Alinę zabić razem?

- Czemu nie? Każda miała swoje powody, a Ksenia w dodatku tabletki. Zauważyłeś, że żadna z nich nie ma alibi? Stasow badał rozkład zajęć Kseni w piątek i nic nie znalazł. O dziewiątej wieczorem ślad po niej zagiął, nikt jej nie widział i nikt o niej nie słyszał. Co prawda, jej nikt na razie nie pytał, może by powiedziała, gdzie była, ale lepiej zostawmy to śledczemu. A co z Siemencowa?

- Nic. U fryzjera nie była, u masażystki też nie, wszystko to kłamstwa. Co więcej, Stasow znalazł w Syriuszu osoby, które twierdzą, że dzwoniły do Zoi między dziesiątą a jedenastą wieczorem. Zobacz, kiedy okazuje się, że spotyka cię przykrość, zawsze znajdzie się spora grupa ciekawskich, która chce koniecznie wysondować, czy to prawda. Wieczorem zadzwoniły do Zoi przynajmniej dwie przyjaciółki, żeby się dowiedzieć, czy to prawda, że Smułow chciał jej dać rolę, a Zarubin mu zabronił, i czy to prawda, że maczała w tym palce Alina Waznis. Jedna z nich zadzwoniła po dziesiątej, druga prawie o jedenastej, a koło wpół do dwunastej znowu zadzwoniła ta pierwsza. Widocznie miała wielką ochotę poczuć smak cudzego nieszczęścia.

- I Siemencowej oczywiście nie było w domu?

- Właśnie. W każdym razie nikt nie podnosił słuchawki. A Stasowowi powiedziała, że wróciła do domu koło dziesiątej. Asiu, jesteś dzisiaj jakaś niewyraźna.

- Czemu tak sądzisz? - szczerze zdziwiła się Nastia. -

Humor mi dopisuje i czuję się świetnie, nic mnie nie boli i nikt mnie nie obraził. Masz chyba jakieś urojenia.

- Nie urojenia, tylko siedzę u ciebie już pół godziny, a ty jeszcze nie wypilaś kawy, i mnie też nie zaproponowałaś.

Nastia parsknęła śmiechem. Jurka był jej dawnym, bliskim znajomym i doskonale wiedział, że bez filiżanki kawy Kamieńska nie wytrzyma nawet dwóch godzin. Wieloletnie obserwacje potwierdzały, że po porannych odprawach operacyjnych pierwszą rzeczą, jaką Nastia robiła po powrocie do swego gabinetu, było włączenie grzałki i przygotowanie sobie ogromnego kubka mocnej kawy, bez której nie przystępowała do pracy.

- Coś mi się wydaje, że najważniejsza część twojej wypowiedzi znalazła się na jej końcu. Czyżbyś mi delikatnie wypominał, że cię nie poczęstowałam?

Nastia sięgnęła po grzałkę, nalała wody z karafki do dużego ceramicznego kubka, potem wyjęła z szafki dwie filiżanki, kawę rozpuszczalną w puszcze i pudełko cukru.

- No to co dalej robimy, szantażysto? Oddajemy Ksenię Mazurkiewicz śledczemu?

- Tak jest. - Korotkow skinął potakująco głową.

- A Siemencową? Stasow wycisnął z niej wszystko, co się dało, czy jest więc sens, żeby ją dalej maglować?

- Dobra, Siemencową wezmę na siebie. Stasowowi nie wypadało oczywiście ostro jej przyciskać, w końcu pracują w tej samej firmie, ja za to nie będę miał żadnych skrupułów, jestem dla niej obcy.

- Tak zrobimy. Śledczy będzie sprawdzał alibi Kseni Mazurkiewicz, a ty Zoi Siemencowej. Ja natomiast spróbuję się dowiedzieć, czy obu naszych miłych pań

nie łączy czasem bliska przyjaźń. Pozostaje jeszcze Charitonow - powiedziała w zamyśleniu Nastia. - Pączek obiecał, że pozalátwia bieżące sprawy i da nam kogoś do pomocy, ale chyba nic z tego nie wyszło, bo się nie odzywa.

Pączkiem nazywano pieściotliwie w ich wydziale szefa, Wiktora Aleksiejewicza Gordiejewa, ze względu na jego przysadzistą, krzepką sylwetkę, a także okrągłą, łysą głowę. Gordiejew wiedział o swoim przezwisku, ale się nie obrażał - przykleiło się do niego tak dawno, że Wiktor Aleksiejewicz traktował je jak swoje drugie imię.

- I jeszcze jedno, Juroczka. Musimy się dowiedzieć, czy Alina Waznis nie zażywała środków uspokajających. Klecimy tu różne hipotezy, a może się okazać, że dziewczyna regularnie przyjmowała leki. Zadzwoń zaraz do Smułowa, żebyśmy wiedzieli, na czym stoimy, i nie trudzili się niepotrzebnie.

Korotkow posłusznie podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer Smułowa. Na szczęście reżyser był w domu.

- Środki uspokajające? Nie, nigdy. Alina miała wyjątkowo mocne nerwy, w ogóle nigdy nie zażywała leków. Nawet w piątek, kiedy poradziłem jej, żeby pobyła w domu i wyciszyła się, piła tylko napar z serdecznika. Tak mi powiedziała. Jedyne leki uspokajające, które u niej widziałem, to waleriana w tabletkach. Widzi pan, Alina bardzo się bała dentysty, tak się trzęsła ze strachu, że nawet narkoza do końca na nią nie działała. Aby zwiększyć efektywność znieczulenia, poradzono jej, żeby przed wizytą brała kilka tabletek naraz.

- I nigdy nie widział pan u niej w domu żadnych leków?

- Nie - stanowczo stwierdził Smułow. - Nigdy.

Korotkow odłożył słuchawkę i upił łyk kawy.

- Sztuczka się nie udała - stwierdził. - Nasza ofiara nie zabawiała się psychotropami i w ogóle miała nerwy ze stali. Bała się tylko dentysty i zażywała jedynie walerianę w tabletkach. Czasem popijała napar z serdecznika. To wszystko.

- Szkoda - westchnęła strapiona Nastia. - Czyli że trzeba się będzie zająć Mazurkiewicz i Siemencową. Jakoś mi się to nie uśmiecha...

- Tak? A czemu?

- Mam ich powyżej uszu. - Nastia apatycznie machnęła ręką. - Z kobietami zawsze jest kłopot. Kłamią na potęgę, płaczą jedno z drugim, nie sposób się potem połapać. Zwłaszcza że w tym przypadku jedna uzależniona jest od alkoholu, a druga od seksu. Takie osoby słowa prawdy w życiu nie powiedzą, ciągle będą opowiadały jakieś brednie. Wiesz, czemu z mężczyznami jest łatwiej? Jak przyprzesz faceta do muru i udowodnisz mu, że skłamał, od razu daje za wygraną. Potem idzie już jak po maśle. A kobiety są zupełnie inaczej ukształtowane. Nie wstydzą się, kiedy przyłapiesz je na kłamstwie, tak bardzo chcą cię oszukać, nawinąć ci makaron na uszy, że budzi się w nich żyłka hazardzisty. Mówisz im, że kłamią jak najęte, a one na to: naprawdę nie wiem, kto pani naopowiadał tych głupstw, kto mnie tak podle oczernił. Czasem wybierają bardziej skomplikowaną taktykę: tak, powiedziałam nieprawdę, ale dlatego że.... I dalej wciska ci jeszcze większy kit. A kiedy drugi raz ją przyłapiesz, zaczyna szlochać i opowiadać przerażającą historię o jakiejś koszarnej

tajemnicy, której w żadnym razie nie wolno rozgłaszać, dlatego właśnie przez cały czas kłamała. Celem zachowania tajemnicy, że tak powiem. Och, Jureczka, kobiety to straszne istoty.

- Myślałby kto - prychnął Korotkow. - A ty sama kim jesteś?

- Ja, kochany, nie jestem kobietą - wyjaśniła Nastia z uśmiechem. - Jestem detektywem płci żeńskiej, a to zdecydowana różnica.

Nastia od razu zrobiła to, co najłatwiejsze - zadzwoniła do Stasowa i poprosiła go o sprawdzenie, czy Ksenia Mazurkiewicz i Zoja Siemiencowa nie są przypadkiem bliskimi przyjaciółkami. Jej prośba wydała się Stasowowi co najmniej dziwna.

- Co one mogą mieć ze sobą wspólnego? - zdziwił się. - Żona prezesa i zapijaczona aktorka.

- Też tak myślę. Ale mimo to zadzwoń, dobrze? Może chodziły do jednej szkoły albo studiowały razem, mogły też w młodości obracać się w tym samym towarzystwie. Albo leżeć razem w szpitalu. Sam wiesz, takie rzeczy się zdarzają. Zrozum, Sława, na tym etapie nie interesuje mnie prawda, ale opinia społeczna. Chcę się dowiedzieć, czy oficjalnie uważa się je za dobre znajome, czy za obce sobie osoby. Dopiero potem będę działać dalej.

- Aha, o to ci chodzi - z ulgą odparł Stasow. - Uwinę się z tym raz-dwa. Zadzwoń do mnie za jakieś dziesięć minut.

Dziesięć minut później Nastia usłyszała od niego mniej więcej to, czego się spodziewała: kiedy dziewięć

lat temu powstawał Syriusz, zasłużona artystka Zoja Siemencowa była jedną z pierwszych osób, której zaproponowano podpisanie kontraktu. Cieszyła się dobrą opinią rzetelnej i pracowitej aktorki, nie wdającej się w kłótnie czy intrygi. Na pomysł zatrudnienia Siemencowej wpadł Leonid Siergiejewicz Diegtiar, który znał Zoję od dawna i potrzebował aktorki w średnim wieku do swoich oper filmowych. W operach dla tej kategorii kobiet pisane są partie na mezzosopran i kontralt: Hrabina w *Damie Pikowej*, Flora w *Traviacie*, Ulryka w *Balu maskowym*. Ksenia nie wykazywała żadnego zainteresowania osobą Siemencowej. Nawet kiedy tę ostatnią spotkało nieszczęście, nie uznała za stosowne złożyć jej kondolencji, mimo że w Syriuszu wszyscy bez wyjątku odwiedzali Zoję w szpitalu, przysyłali jej kwiaty i bileciki. Jednym słowem, Ksenia Siemencowej nie znała, i kropka.

Jeśli chodzi o samą Siemencowa, to nigdy nikomu nie mówiła i nawet nie napomykała, że dobrze zna żonę prezesa. Gdy spotykały się na przyjęciach i imprezach, premierach i pokazach, witały się uprzejmym skinieniem głowy i ruszały każda w swoją stronę.

- Słuchaj, Sława, nie przypomina ci to czasem zadawnionej wrogości? - spytała Nastia, wysłuchawszy sprawozdania Stasowa.

- Nie, raczej słowa Jeana de la Bruyere'a. - Mężczyzna zaśmiał się w odpowiedzi. - Jeśli się nie mylę, to on napisał, że kiedy mężczyzna i kobieta, spotykając się w towarzystwie, odwracają od siebie wzrok, nie odzywają się do siebie słowem i rozchodzą w różne strony, wszyscy zaraz wiedzą, czym to pachnie.

- W sumie masz chyba rację - przyznała Nastia. - No cóż, trzeba będzie sprawdzić, czy nasze panie nie znały się wcześniej. Podejrzewam, że starannie ten fakt ukrywają. A przy okazji, jak brzmi panięńskie nazwisko Kseni?

- Kozyriowa. Mówiłem ci przecież, że jest córką bankiera Walentina Pietrowicza Kozyriowa. Nie pamiętasz?

- Jasne, że pamiętam, ale czasami dzieci noszą nazwisko matki albo jej drugiego męża, stąd moje pytanie.

- Jesteś cholernie przewidująca, Anastazjo - z mimowolnym szacunkiem powiedział Stasow. - Dmuchasz na zimne, co?

- Uhm. Masę razy się sparzyłam. Kiedyś miałam do czynienia z takim kanciarzem, że się w głowie nie mieści. Wyszukiwał kobiety bez grosza przy duszy i płacił im okrągłe sumki za to, żeby wyszły za niego za mąż, a po miesiącu się rozwiodły. Po ślubie facet przyjmował nazwisko żony, szybko dostawał nowy dowód osobisty, a po rozwodzie biegł na milicję, składał oświadczenie, że dowód zgubił albo ktoś mu go ukradł czy coś w tym stylu, no i otrzymywał nowy, z nazwiskiem rozwiedzionej żony, bo po rozwodzie nie zmieniał nazwiska. Potem znowu się żenił i wszystko zaczynało się od początku. W chwili gdy go dorwaliśmy, miał cztery autentyczne dowody na różne nazwiska. Autentyczne! A ile nawywijał z tymi dowodami - nie sposób opisać. Miał również współniczkę, z którą zaraz po rozwodach brał ślub. Ona też zmieniała nazwisko i też informowała milicję o zaginięciu dowodu, a nowe dokumenty wkładała do szafki. Polowano na nich w całej Rosji

przez prawie osiem lat, w tym czasie milicja interesowała się nimi chyba ze dwadzieścia razy. Szukano Iwanowa i Sidorowej, a oni okazywali dokumenty na nazwiska Pietrowa i Tiutkinej albo Bublikowa i Kruglikowej. Sprawdzani w bazie osób poszukiwanych okazywali się czyści jak łąka, dowody mieli prawdziwe, zdjęcia się zgadzały, więc milicjanci musieli ich przeproszać. Od tej pory zawsze mam wątpliwości co do nazwisk.

- Nieźle! - zawołał Stasow. - To znaczy, że to ty złapałaś Koriagina? Do licha, znam przecież tę historię, ale nie myślałem, że to ty...

- Nie przesadzaj, Sława, to nie ja go złapałam. W ogóle jeszcze nigdy w życiu nie złapałam żadnego przestępcy. Nie umiem tego robić. Namierzyłam go tylko. Domyśliłam się, że za każdym razem legalnie zmieniał nazwisko. W gruncie rzeczy to było całkiem proste. W życiu jednak rzadko się zdarza, toteż nikomu nawet nie przychodzi do głowy, że mężczyzna przyjmuje nazwisko żony. Facet na to liczył. Namierzyłam wtedy wszystkie jego żony, a kiedy otrzymaliśmy pełną listę nazwisk w jego dokumentach, wszystko samo się poukładało. A złapał go, nawiasem mówiąc, Jurka Korotkow.

W poniedziałek o dwunastej Nastia Kamińska miała gotowe następujące hipotezy zabójstwa Aliny Waznis.

Hipoteza pierwsza: Alinę zabił Nikołaj Stiepanowicz Charitonow, żeby nie zwracać długu, który okazał się dlań zbyt wysoki.

Hipoteza druga: morderstwo popełniła Ksenia Mazurkiewicz, wysypawszy Alinie do herbaty albo kawy ogromną dawkę środka uspokajającego, a kiedy

dziewczyna stała się apatyczna i senna, po prostu udu-
siła ją poduszką. W mieszkaniu nie było śladów walki,
ofiara nie miała również siniaków i zadrapań na szyi.

Hipoteza trzecia: sposób zabójstwa pozostaje ten
sam, lecz morderczynią jest Zoja Siemencowa.

Hipoteza czwarta: jak wyżej, z tym że morderczynie
są dwie: Ksenia i Zoja.

Była również piąta hipoteza. Nastia Kamieńska
jeszcze jej nie wymyśliła, ale dobrze wiedziała, że na
pewno jest. W sytuacji gdy pojawiali się wciąż nowi
podejrzani, potrafiła takie rzeczy wyczuć. Piątej hipote-
zy Nastia spodziewała się w każdej chwili.

I miała rację.

STASOW

Zanim Stasow zdążył cokolwiek zrobić, by spraw-
dzić biografie Kseni Mazurkiewicz i Zoi Siemencowej,
wezwał go do siebie sam Mazurkiewicz. Stasow wszedł
na drugie piętro, gdzie znajdował się gabinet prezesa, i
pchnął ciężkie dębowe drzwi.

Mazurkiewicz, najwyraźniej zdenerwowany, siedział
przy swoim biurku, a naprzeciwko niego, w fotelach dla
gości, Stasow zobaczył Andrieja Lwowicza Smułowa i
starszego mężczyznę o topornych, ordynarnych rysach
twarzy.

- A oto i Władisław Nikołajewicz. - W głosie Mazur-
kiewicza wyczuwało się jakieś zakłopotanie. - Poznajcie
się panowie, to Wałdis Gunarowicz, ojciec Aliny.

- Przyjechałem z powodu spadku - natychmiast zareagował Waznis, nie odwracając głowy. - Niech on otworzy mieszkanie Aliny, żebyśmy mogli zabrać wszystkie rzeczy. Wiem, że ma klucze.

Mówiąc „on”, Waznis miał na myśli Smułowa, ale nie uznał za stosowne nazwać go chociaż po imieniu.

- To niemożliwe, Wałdisie Gunarowiczu - jak najłagodniej powiedział Stasow. - Dopóki nie skończy się badanie okoliczności śmierci pańskiej córki, wstęp do mieszkania mają tylko funkcjonariusze milicji. W każdym razie, jeśli chce pan coś zabrać, musi pan poprosić śledczego o zgodę. Ani Michał Nikolajewicz, ani ja, a tym bardziej Andriej Lwowicz nie mamy prawa wpuszczać pana do mieszkania Aliny. Chyba pan to rozumie.

- Ja mam prawo - oschle odrzekł Waznis, jakby nie słysząc wyjaśnień Stasowa. - Jestem legalnym spadkobiercą córki i mam prawo do całego jej majątku.

- Niewątpliwie ma pan takie prawo. Ale trochę później, nie teraz.

- Muszę wziąć ubranie, w którym Alina zostanie pochowana. Przecież nie będzie leżała w trumnie w tym...

Waznis skrzywił się pogardliwie i Stasow przypomniał sobie, że martwą Alinę znaleziono leżącą na kanapie w niemal przezroczystym peniuarze, narzuconym na kusząco krótką, koronkową koszulkę nocną na cienkich ramiączkach.

- To co innego. Ale i tak musi się pan zwrócić do śledczego o zgodę. Pojedzie pan razem z jakimś milicjantem i wybierze rzeczy potrzebne do pogrzebu.

- Niech on najpierw odda klucze - uparcie powtórzył Waznis, patrząc gdzieś w przestrzeń.

- Ale ja ich nie mam - rzekł Smułow. - Milicja je zabrała. Tak czy inaczej, musi pan zwrócić się do nich, a nie do mnie.

Waznis powoli podniósł się z fotela i Stasow zdumiał się, jak ogromny okazał się ten mężczyzna. Stasowowi brakowało ledwie czterech centymetrów do dwóch metrów i dawno już, jeszcze w dzieciństwie, zapomniał, że można stać i patrzeć rozmówcy w oczy bez pochylania głowy. Stary Łotysz wbił swoje małe szare oczka w Stasowa, którego przez chwilę ogarnął dziwny lęk na widok wrogości bijącej z tych szarych szparek. Następnie Waznis niespiesznie odwrócił się do Mazurkiewicza, jego również obrzucając chłodnym spojrzeniem. I wreszcie przeniósł wzrok na Smułowa, siedzącego nieruchomo w fotelu przy biurku.

- To ty ją zabiłeś - powiedział głośno i wyraźnie. - Gdyby nie występowała w twoich zaszarych filmach z tymi zaszarymi potwornościami, nadal by żyła. To ty jesteś winien. Ty.

Wszyscy osłupieli i nikt nawet nie zauważył, jak Władis Waznis opuścił gabinet Michaiła Nikołajewicza Mazurkiewicza.

O co Waznisowi chodziło? - spytał Stasow, siadając wygodnie i zapalając papierosa. - Dlaczego uważa, że jest pan winien?

Zeszli ze Smułowem do gabinetu Stasowa na pierwszym piętrze, wciąż jeszcze pozostając pod silnym wrażeniem ostatnich słów ojca Aliny.

- Widzi pan, Waznis w ogóle przeciwny był temu, żeby Alina występowała w rosyjskich filmach. A zwłaszcza w thrillerach. To człowiek starej daty, nie rozumie tego gatunku. Uważa, że autorzy makabrycznych wizji, wymyślając i tworząc je, powodują, że koszmar przedostaje się do prawdziwego życia twórców i gubi ich. Niech pan sobie wyobrazi, że w to wierzył. A przecież prawie nie rozmawiał z Aliną przez ostatnie lata.

- Nie rozmawiał, ale po spadek przybiegł - zauważył Stasow. - Czyżby Alina miała jakieś kosztowności? Oszczędności? Drogie rzeczy?

- Nic szczególnego - wzruszył ramionami Smułow - oprócz brylantów matki. Ale one przecież zginęły i Władis nie może o tym nie wiedzieć. Myślę, że to robota Imanta, najstarszego brata Aliny. Był bardzo niezadowolony, jak okazało się, że jest najbiedniejszy w rodzinie.

- Tak? - Stasow natychmiast się ożywił. - A czemu tak się stało?

- Biżuterię pierwszej żony Władis przeznaczył dla Aliny już na samym początku. Potem średni brat, Alois, jakoś stanął na nogach, dobrze się ożenił, założył własny interes. A Imant skończył jako tokarz z dziesięcioma klasami. Z trójki dzieci tylko Alina miała wyższe wykształcenie, Aloisowi udało się jednak wybić. To uparty i energiczny chłopak. Imant natomiast jest jakiś taki... Chyba trochę ograniczony. W ubiegłym roku za wszystkie swoje oszczędności kupił akcje MMM, kiedy były jeszcze warte tysiąc czterysta rubli. Ceny akcji, jak pan może pamiętać, bardzo szybko rosły, ich notowania ogłaszano dwa razy w tygodniu i za każdym razem Imant czuł, że staje się coraz bogatszy. Ponieważ jest

zapobiegliwy, odłożył na czarną godzinę milion rubli, no i za ten cały milion kupił tysiąc akcji, nawet pożyczyl jeszcze od Aliny czterysta tysięcy, sam widziałem. Kiedy wartość jednej akcji wynosiła sto tysięcy, czuł się już milionerem, zaczął planować, że otworzy własny biznes i tak dalej. A później, kiedy ceny akcji wzrosły do stu dwudziestu pięciu tysięcy, w jednej chwili nastąpił krach. Rozumie pan? Jeszcze wczoraj miał dwadzieścia pięć milionów, a dzisiaj jest doszczętnie splukany. Biedak mało nie zwariował. A zresztą może i zwariował - w zamyśleniu dodał Smułow. - Cudzy dostatek nie dawał mu jednak spokoju. Alina opowiadała, że wiele razy żądał od niej, by podzieliła biżuterię matki. Właściwie można go zrozumieć. Dlaczego Alina dostała wszystko, a on nic? Bo ojciec tak postanowił? Na jakiej podstawie podjął tę decyzję? W czym Alina była lepsza od niego, Imanta?

- Więc mówi pan, że Imant upominał się o biżuterię matki?

- Tak. Alina często o tym wspominała.

- Bardzo ciekawe. Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli poinformuję Jurija Wiktorowicza o tym, co właśnie od pana usłyszałem?

- Ależ skąd, jeżeli to pomoże...

KOROTKOW

Waznisowie mieszkali w tym domu od ponad trzydziestu lat. Początkowo, zaraz po ślubie, Sonieczka i Wałdis mieszkali z rodzicami Soni, którzy natychmiast rozpoczęli budowę mieszkania spółdzielczego dla ukończonej córki i jej męża. Pierwszy ich syn, Imant,

urodził się, kiedy Sonia i Wałdis nie wyprowadzili się jeszcze od teściów, ale drugi, Alois, prosto ze szpitala trafił już do nowego, dużego, czteropokojowego mieszkania. Rodzice Sonieczki byli ludźmi zamożnymi i niczego jej nie żalowali.

Kiedyś ów budynek był zapewne przedmiotem zazdrości wielu moskwian pozbawionych dachu nad głową: z ulepszonym (jak na tamte czasy i standardy) rozkładem, loggiami, dużymi kwadratowymi przedpokojami i zabudowanymi wnękami, co pozwalało uniknąć zagrzenia przestrzeni potwornymi trzyskrzydłowymi szafami. Lepsze od tego budynku były tylko siedziby Komitetu Centralnego i Rady Ministrów. Wszystko to jednak należało do przeszłości. Teraz z dawnej okazałości pozostało niewiele. Dom nadawał się do kapitalnego remontu i obecnie robił raczej nędzne wrażenie. Mimo to Korotkow, który mieszkał w malutkim dwupokojowym mieszkanku z żoną, synem i sparaliżowaną teściową, bez najmniejszych widoków na poprawę warunków lokalowych, byłby szczęśliwy, gdyby mógł się przeprowadzić do takiego mieszkania, jakie mieli Waznisowie.

Drzwi otworzyła Korotkowowi młoda z wyglądu, postawna kobieta o nijakiej twarzy i zgrabnej figurze. Macocha, od razu domyślił się Korotkow. No cóż, tym lepiej.

- Proszę wejść - powiedziała z tak silnym akcentem, aż trudno było uwierzyć, że spędziła w Moskwie prawie dwadzieścia lat. - To pan do nas dzwonił? W sprawie Aliny?

- Tak. A pani na imię ma chyba Inga?

- Zgadza się - przytaknęła kobieta, wbijając w Korotkowa nieruchomy wzrok, przez co poczuł się nie-swojo. - Śledczy już nas wzywał. Ma pan jakieś dodatkowe pytania?

- Chciałbym porozmawiać z panią o dzieciństwie Aliny - skłamał Korotkow.

Nie miał zamiaru wyjaśniać, że przyszedł porozmawiać o jej starszym przybranym synu Imancie. Jakoś skieruje rozmowę na Imanta, byleby tylko zacząć. Najlepiej od czegoś neutralnego.

- O jej dzieciństwie? Po co?

- Żeby poznać charakter Aliny. Chodzą na przykład słuchy, że nie miała bliskiej przyjaciółki. Dziwne, prawda? Jak to możliwe, żeby młoda kobieta nie miała przyjaciółki od serca? Inna sprawa, że w pracy mogli tego nie wiedzieć, ale pani jest jej rodziną, z pewnością znała ją pani najlepiej.

Korotkow chciał Indze pochlebić, ale wyszło zupełnie odwrotnie. W oczach kobiety zapłonął gniew.

- Rodziną? Alina nie potrzebowała rodziny. Gardziła nami, miała nas za prostaków i ludzi niekulturalnych. Nie pasowaliśmy do niej. Zawsze uważała się za kogoś lepszego.

- Ale dlaczego pani tak mówi? - Korotkow próbował zatuszować niezręczność. - Alina zawsze bardzo ciepło się o was wypowiadała, kochała rodzinę. Niepotrzebnie pani...

- Skąd pan wie? - podejrzliwie spytała Inga. - Znał ją pan może?

- Nie, nie znałem. Ale Andriej Lwowicz mówił mi...

- Andriej Lwowicz! - Inga prychnęła z pogardą. - Ten rozpustnik! Reżyserzyna od siedmiu boleści! Głupstw panu nagadał. Gdyby był przyzwoitym człowiekiem, ożeniłby się z Aliną i nie kręcił tych wstrętnych filmów, w których występowała prawie naga. Ten mężczyzna nie ma sumienia, zresztą ona też nie miała, skoro mieszkała z nim pod jednym dachem i pozwalała się rozbierać na oczach całego kraju.

- Proszę posłuchać, Ingo, przecież Alina nie żyje, w dodatku zginęła gwałtowną śmiercią, zamordowano ją. Wcale jej pani nie szkoda?

- Szkoda? Owszem, może i szkoda. - Kobieta jakoś dziwnie popatrzyła na Korotkowa. - Alina nigdy nie była mi bliska. Imant tak. Alois również. Obaj byli dla mnie jak synowie, kochali mnie, szanowali, słuchali. Radzili się. A ona zawsze była mi obca. Nienawidziła mnie i nigdy nie zaakceptowała po śmierci matki.

- Ale dlaczego, Ingo? Dlaczego pani tak sądzi? Alina nigdy nie powiedziała o pani złego słowa.

- O! - Kobieta uroczyście uniosła palec. - Właśnie. Słowa nie powiedziała, zarówno o mnie, jak i do mnie. W ogóle mnie nie zauważała. Nawet kiedy była mała, nigdy nie poprosiła, żebym zawiązała jej kokardę albo zapięła sukienkę. Zawsze sama się męczyła, pociła się i sapała, ale ani razu nie poprosiła. Kiedyś zaproponowałam, daj, mówię, pomogę ci, ale ona na mnie spojrzała, jakby chciała zabić wzrokiem. Nie trzeba, mówi, dziękuję, ciociu Ingo, poradzę sobie. Była uprzejma, nie da się zaprzeczyć, ale w środku: lód. Pustka. Nie miała duszy. Była nam wszystkim obca.

- No dobrze, niech będzie, że obca - poddał się Korotkow. - Ale przecież obcego człowieka też szkoda, kiedy umiera tak młodo. Przecież to niesprawiedliwe, chyba zgodzi się pani ze mną?

Niespodziewanie Inga wybuchnęła płaczem. Płakała tak gorzko, jak umieją płakać tylko dzieci. Spuściła nisko głowę i zasłoniła twarz rękami. Korotkow cierpliwie czekał, aż Inga się uspokoi.

- To moja wina, teraz wiem, że to moja wina.

Inga odjęła ręce od opuchniętej, zapłakanej twarzy. Zupełnie nie krępowwała się Korotkowem.

- Myślałam, że jak przynosi piątki, nie choruje i nie opuszcza lekcji, to znaczy, że wszystko jest w porządku. Moim zadaniem było prowadzenie domu, Władis nie chciał więcej dzieci, i tak miał już troje. Chociaż ożenił się ze mną, traktował mnie jak pomoc domową. Kiedy krzyknął, żebym nie śmiała ruszać brylantów Soni, bo są one własnością Aliny, zrozumiałam swoje miejsce w tej rodzinie. Sonia, tak, ona była jego żoną. A ja jestem tylko pomocą domową zameldowaną w mieszkaniu. Tylko Imant mnie lubił, tylko on jeden. Alois szybko przestał interesować się domem, ciągle miał jakieś sprawy, zaczął zarabiać pieniądze, usamodzielniał się. A Alina... Nie za uważała mnie. Nikogo nie zauważała. Była małomówna, zamknięta w sobie, nigdy nic nie opowiadała, nie zwierzała się. A ja skończyłam dopiero dziewiętnaście lat, kiedy przywieziono mnie do domu Władisa, w charakterze żony. I od razu miałam co robić: ogromne mieszkanie, cztery osoby, i wszystkie musiałam nakarmić, opruć, zadbać o porządek. Myśli pan, że było mi lekko? Nie żebym nie nawykła do pracy,

w domu wstawałam o czwartej rano, musiałam wydoić krowy. Trzymaliśmy też prosiaki, gospodarstwo było duże, pracy się nie bałam. Ale tu przez cały dzień... Zanim się ze wszystkim uporałam - noc już była na dworze. Brakowało czasu, żeby każdemu dziecku zajrzeć do duszy. Jedynie Imant... Zawsze lubił dom, był cichy, spokojny, pomagał mi. Alois, jak tylko przybiegał ze szkoły, jadł obiad, przebierał się i pędził do roboty, mył samochody. Władis wracał z pracy zły, zmęczony i brudny. Mył się, a potem, jak się już najadł, zasiadał z gazetą przed telewizorem. Nigdy od niego dobrego słowa nie usłyszałam. Alina zamykała się w swoim pokoju, odrabiała lekcje, nawet nie prosiła o nic do jedzenia, za każdym razem musiałam ją wołać do stołu. Za to Imant spędzał ze mną czas w kuchni.

Robiliśmy razem zakupy, tyle rzeczy było potrzebnych, a wszystko ciężkie: mięso, ziemniaki, kapusta. W praniu też mi pomagał. Rozmawiał ze mną. Gdyby nie on, całkiem bym się oduczyła mówić w tej waszej Moskwie. I czym to się skończyło? Alois ułożył sobie życie w Finlandii, Alinie przypadły miliony. Tylko Imant został na lodzie.

Korotkow zaczął coś podejrzewać, kiedy słuchając zagmatwanych wyjaśnień Ingi, rozglądał się po dużym, przytulnym pokoju. Jego ściany wyłożone były jasnymi tapetami o chłodnej barwie. Na wprost detektywa wisiała jedyna w tym pomieszczeniu ozdoba - duże zdjęcie rodzinne, na którym znajdowała się cała piątka: pośepny Władis, spokojna Alina o nieprzeniknionym wyrazie twarzy, czarująco uśmiechnięty jasnowłosy

młody chłopak, zapewne Alois. Oraz Imant z Inga. Otóż właśnie: wszyscy pojedynczo, a Imant z Inga. Nawet wtedy, kiedy pozostali patrzyli w obiektyw, kobieta w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat i wysoki brunet koło trzydziestki, może trochę młodszy, spoglądali na siebie. Nie, oczy mieli utkwione w jakiś punkt z przodu, ale i tak patrzyli na siebie. Stanowili parę. Teraz też są razem?

- Czy Imant się ożenił? - spytał Korotkow i odgadł odpowiedź, zanim ją usłyszał.

- Nie. Cały czas jesteśmy we troje - już całkiem spokojnie odparła Inga. - Wałdis, Imant i ja.

Powiedziała prawdę, z pozorów całkiem zwyczajną, ojciec, syn kawaler i macocha mieszkają wszyscy razem, co w tym dziwnego, nawet jeśli macocha jest tylko o sześć lat starsza od swego nieżonatego pasierba. Inga wyjawiała jednak również inną prawdę. Żyją w trójkącie, tylko Wałdis o tym nie wie.

- Proszę pomyśleć, Ingo, czy Imantowi nigdy nie było przykro, że brylanty matki przypadły Alinie?

- Nie wiem - oschłym tonem rzuciła Inga. - Nie omawiał tego ze mną.

- Proszę się zastanowić, Ingo, może pani sobie przypomni. Przecież starszy syn zawsze był pani bliski.

- Korotkow specjalnie nazwał Imanta synem, żeby nie dać jej poznać, że się domyślił. - Czyżby nie zwierzał się pani ze wszystkich swoich problemów?

- Nie wiem - powtórzyła jeszcze bardziej oschle. - Nie omawialiśmy tego.

- A nie próbowała pani porozmawiać z mężem? Przekonać go, żeby zmienił decyzję? Przecież to naprawdę niesprawiedliwe, dla Aliny wszystko, dla synów nic.

- Wałdis kochał Alinę najbardziej. Była najmłodsza, ostatnia. Mówił, że przypominała mu żonę. Uważał też, że mężczyznom nie trzeba pomagać, powinni sami o siebie zadbać. Alina natomiast to dziewczyna, kto, jeśli nie rodzice, miał się o nią zatroszczyć?

- Dobrze, to Wałdis tak sądził. A pani? Jakie było pani zdanie? Zgadzała się pani z jego opinią?

Inga spuściła oczy i zaczęła w skupieniu oglądać wzór na dywanie.

- Kogo obchodzi moje zdanie. Ja, w każdym razie, nie rościłam żadnych pretensji do tych brylantów. Po co mi one? Jak Wałdis postanowił, tak jest dobrze.

Ciekawa sprawa! Nie dalej niż pół godziny temu, zachłystując się z przejęcia, twierdziła, że decyzja męża była niewłaściwa i niesprawiedliwa. Alinie przypadły miliony, a Imant został na lodzie. To przecież jej słowa. Wycofuje się, bo zrozumiała, że powiedziała za dużo?

- Pani Ingo, a gdzie teraz jest Imant?

W jej oczach pojawił się strach, którego nie zdążyła ukryć.

- Pewnie w pracy.

- Kiedy wróci?

- Chyba o siódmej, jak zwykle. Nie uprzedzał, że przyjdzie później.

- Nie wydaje się pani dziwne, że ciągle chodzi jak gdyby nigdy nic do pracy, kiedy jego siostra zginęła? Przecież pojutrze jest pogrzeb, na pewno macie mnóstwo spraw do załatwienia.

- Tym zajmuje się Wałdis. Wziął dzisiaj wolne. Imant może dostać tylko urlop bezpłatny. A musimy

się liczyć z każdym groszem. Wałdis oszczędł na emeryturę i ciągle pracuje, ale zarabia tyle, co kot napłakał.

- A Alois? Wie o nieszczęściu? Przyjedzie na pogrzeb?

- Nie wiem.

- Jak to?

- Jest teraz w Finlandii. Rozmowy telefoniczne są drogie, nie możemy sobie na nie pozwolić. Jeśli sam do nas nie zadzwoni...

Z mieszkania Waznisów Korotkow wyszedł z ciężkim sercem. Ta rodzina nie była podobna do żadnej z tych, które znał. Są chciwi? Skąpi? A może po prostu przyzwyczaili się do oszczędzania, bo nigdy im się specjalnie nie przelewało? Od Ingi dowiedział się, że dopóki krewni pierwszej żony Wałdisa byli jeszcze w Moskwie, często podrzucali pieniądze „na dzieci Sonieczki”. Powtórnny pospieszny ożenek Wałdisa zranił ich uczucia, więc przestali się z nim kontaktować, a pieniądze przesyłali pocztą. Owi krewni dawno już jednak wyjechali za granicę, jeszcze w osiemdziesiątym drugim roku. No dobrze, bieda biedą, ale bliscy Aliny powinni przecież kierować się jakimiś ludzkimi uczuciami! Nie powiedziec rodzonemu bratu, że jego młodsza siostra nie żyje tylko dlatego, że telefony za granicę są drogie? To nie mieściło się w głowie. Jacy są Waznisowie? Czy można być aż tak powściągliwym w okazywaniu emocji? A może są po prostu zimni i bezduszni? Podobnie mówiono przecież o Alinie. Zarówno jej macocha, jak i koledzy z Syriusza byli ze sobą zgodni: uprzejma i zimna. Na zewnątrz życzliwa, a w gruncie rzeczy obojętna, skryta i okrutna.

Z pewnością Indze było przykro, że Imant został z niczym. Imant - jej jedyna odskocznia w tym obcym

mieście, obcej kulturze i w obcym kraju. Pozbawiona praw pomoc domowa, której odebrano możliwość urodzenia własnego dziecka, ale zmuszano do regularnego wykonywania małżeńskiego obowiązku, znalazła pocieszenie w ramionach młodego chłopca, niewiele młodszego od niej. Bliskie relacje między macochą a pasierbem, tak samo jak między ojczymem a pasierbicą, nie są zjawiskiem rzadkim, wręcz przeciwnie. Po prostu nie mówi się o tym, pisze też niewiele. Zwyczajna sprawa. Czy Imant mógł zabić własną siostrę dla brylantów? Owszem, mógł. A jeśli Charitonow rzeczywiście przyniósł pieniądze, to oprócz biżuterii morderca zainkasował jeszcze ponad sześć tysięcy dolarów. A Inga? Czy mogła popełnić morderstwo dla jedynego bliskiego jej człowieka? Ona również mogła to zrobić.

Korotkow zbyt długo pracował w wydziale kryminalnym, żeby ufać sądom typu: on nie mógł tego zrobić, to nie ten typ. Na pytanie „mógł czy nie mógł” zawsze odpowiadał z punktu widzenia kondycji fizycznej podejrzanego. Otyły człowiek nie mógł przecisnąć się przez lufcik. Mężczyzna niskiego wzrostu nie mógł uderzyć wysokiego przeciwnika z góry po głowie, jeśli nie stał przy tym na taborecie. Osoba, która nie umiała nawet uruchomić samochodu, nie mogła nikogo przejechać. Wszystkie pozostałe rozważania, bazujące na ocenie charakteru i psychiki, Jurij odrzucał. Dobrze wiedział, że człowiek zdolny jest do wszystkiego. W dosłownym tego słowa znaczeniu. Najlepsi i najłagodniejsi mogą ulec zezwierzęceniu. Najokrutniejsi i najbardziej agresywni mogą okazać się sentymentalni i skłonni do litości. Wszystko się zdarza na tym świecie.

A jeśli chodzi o alibi, to Wałdis Waznis w nocy z 15 na 16 września, kiedy zabito jego córkę Alinę, znajdował się w pracy. Po przejściu na emeryturę dorabiał jako portier, po całodobowym dyżurze miał trzy dni wolnego, zmianę objął o szóstej wieczorem w piątek i skończył o szóstej wieczorem w sobotę. Inga i Imant byli razem w domu. Wspaniałe alibi, marzenie detektywa! Klasyka kryminału, niech to diabli wezmą.

Z automatu przy metrze Korotkow zadzwonił do Nasti.

- Aśka, tylko się na mnie nie wkurzaj, wyhaczyłem jeszcze dwóch podejrzanych.

- Mieli motyw?

- I motyw, i możliwości, brakuje im tylko dobrego alibi. Zapewniają je sobie wzajemnie, ale oboje są osobami zainteresowanymi. Mam wracać do biura czy zająć się Siemencową?

- Jeśli możesz, przyjeźdź tutaj, opowiesz mi wszystko dokładnie. Potem zajmiesz się Siemencową, a ja w tym czasie się zastanowię.

Korotkow wyszedł z budki telefonicznej i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jest straszliwie głodny. Rozejrzał się i zauważył nieopodal kiosk z hot dogami. Kupił trzy oraz wątpliwej jakości sałatkę z pomidorów i ogórków, popił ten cud kulinarny butelką pepsi, wsiadł do samochodu i pojechał na Pietrowkę.

ALINA WAZNIS TRZY LATA PRZED ŚMIERCIĄ

W końcu los się do niej uśmiechnął. Znalazł się wreszcie ktoś, komu Alina nie była obojętna. Kogo

interesował nie tylko jej wygląd, ale i wnętrze. Andriej Smułow.

Alina od razu, w jednej chwili, zrozumiała, że reżyser zakochał się w niej, nie było w tym jednak nic szczególnego. Już wcześniej mężczyźni zakochiwali się w niej na pierwszym spotkaniu. Co innego było niewiarygodne - Andriej prowadził z nią długie rozmowy, uważnie jej słuchał, później zadawał szereg pytań i znowu słuchał...

- A co myślisz o...?

- A czemu podoba ci się...?

- A czemu nie lubisz...?

- Jest ci smutno, kiedy...?

- Miewasz czasami kolorowe sny? I tak bez końca.

Alina była wdzięczna Smułowowi. Zachowywał cierpliwość i kiedy na planie filmowym coś nie wychodziło, nigdy jej nie sztorcował, nie irytował się, lecz zarządzał przerwę, odprowadzał ją na bok i badawczo zaglądając w oczy, pytał: co się dzieje? Dlaczego nie możesz tego zrobić jak należy? Co cię powstrzymuje? Czy coś ci to przypomina? Coś nieprzyjemnego? Powiedz mi, przekonywał, spróbujemy razem się z tym uporać. Nie dź się w sobie, nie ukrywaj, skrywane cierpienie zżera ci duszę i nie pozwala grać, wyrzuć to z siebie, otwórz się.

W wieku dwudziestu dwóch lat Alina była już prawdziwą neurasteniczką, a Świr pojawiał się w jej życiu z przerażającą regularnością od szesnastu lat. Stał się częścią jej życia, które zamieniło się w koszmar. Czasem

próbowała się zmusić, żeby pójść na milicję i złożyć na niego doniesienie, ale myśl, że będzie musiała przed obcymi, niewyróżniającymi się delikatnością mężczyznami opowiadać wszystko od początku, powtarzać te ohydne słowa, które mówił jej Świr, wprawiały ją w popłoch. Alina była przekonana, że sama jest sobie winna i że tak właśnie potraktują ją milicjanci. Jest brudna. Zdeprawowana i zepsuta. Znosiła to przez szesnaście lat? No i dobrze jej tak. Ma im opowiedzieć, jak, nie wytrzymując napięcia przed nieuchronnym spotkaniem, sama wychodziła na skwer, żeby to przyspieszyć? Na pewno jej nie rozumieją. Wyśmieją ją tylko i narażą na wstyd.

Zresztą ostatnio wszystko się zmieniło. Świr kręcił się w pobliżu, ale się nie zbliżał. Alina była już dorosła, więc bał się do niej podejść i wziąć ją za rękę. Szedł z naprzeciwka i patrzył jej w oczy. Gdy się mijali, szczerzył w uśmiešku zepsute zęby i szeptem rzucał w jej stronę kilka słów. Ale Alinie nawet to wystarczało, żeby znowu poczuć strach i wstręt. Czasami czekał na nią w ciemnej klatce schodowej domu, gdzie mieszkała. Jeśli szła sama i na korytarzu nikogo innego nie było, Świr wyciągał rękę, dotykał jej włosów i jęczał przeciągle:

- Moja słodka, słodziutka...

Alina pędem biegła do windy, starając się na niego nie patrzeć, ale kątem oka dostrzegała znany sobie obraz: jego rękę między nogami.

Za każdym razem po takim spotkaniu wzdychała z ulgą: znowu dwa miesiące spokoju. Ale mijało sześć, siedem tygodni i wszystko zaczynało się od początku.

Nie mogła spać ani pracować, słabo zdawała egzaminy na uczelni, sparaliżowana oczekiwaniem na nadciągający koszmar, na spotkanie, które mogło nastąpić w każdej chwili. W wieku dziesiętnastu lat zaczęła brać środki uspokajające. Im bardziej oczekiwanie się przeciągało, tym większych dawek potrzebowała. Pod wpływem lekarstw stawała się apatyczna i obojętna, w jej grze nie było pasji, życia, prawdziwych uczuć. Amipriptylina blokowała jej pamięć, przez co dziewczyna miała trudności z uczeniem się roli.

Tak, Andriej Smułow był cierpliwy. Długo i z uporem zdobywał jej zaufanie, ale w końcu udało mu się przebić ścianę milczenia. Alina wyznała mu wszystko. Jakże była szczęśliwa, gdy Andriej ani słowem nie wspomniał o jej winie i zepsuciu, lecz z przerażeniem załamał ręce:

- Moje biedactwo, moja biedna dziewczynka, jak ci się udawało żyć w tym koszmarze przez tyle lat? Jak to wytrzymałaś? Skąd wzięłaś tyle sił? Teraz rozumiem, co cię paraliżuje. Nauczyłaś się wszystko ukrywać, nauczyłaś się milczeć. Dlatego na planie też nie możesz otworzyć się do końca. Ale to nic, kochanie, to nic, uporamy się z tym. Najważniejsze, że znamy teraz przyczynę.

Alina poczuła ogromną ulgę. Wszystko potoczyło się dokładnie tak, jak obiecał Andriej. Z każdym dniem zaczęła grać coraz lepiej, wszyscy to zauważali. Smułow nie odstępował jej ani na krok, odwoził wieczorami do domu, i jeśli nie zostawał na noc, przyjeżdżał po nią rano.

- Nie musisz się już bać - mówił. - Przecież cały czas jestem z tobą. Nikt się do ciebie nie zbliży, kiedy jestem przy tobie. A będę przy tobie zawsze.

Alina traktowała Smułowa jak bóstwo, jak wyższą istotę, która jako jedyna potrafi ją zrozumieć, wysłuchać i okazać współczucie. Wpatrywała się w niego jak w tęczę i po cichu wielbiła.

Ciągle się jednak bała. Strach nieustannie jej towarzyszył, zatruwając duszę. Nadal przyjmowała lekarstwa.

A później Andriej wyjechał na trzy miesiące na zdjęcia plenerowe w górach. Alina nie była tam potrzebna, w górskich scenach jej bohaterka nie występowała. Po trzech miesiącach Smułow wrócił i zrozumiał, że musi zacząć wszystko od początku. Alina była na skraju załamania nerwowego. Świr zjawiał się w tym czasie prawie codziennie. Alina wyprowadziła się już z domu i mieszkała sama, ale w nowym miejscu Świr również ją odnalazł. Smułow wpadł w rozpacz...

Rozdział 6

KAMIENSKA

Korotkow miał jednak rację, od samego rana Nastia była rzeczywiście jakaś nieswoja, ale przyczynę tego stanu uświadomiła sobie dopiero w środku dnia. Właśnie dzisiaj, w poniedziałek, zaczynała się międzynarodowa konferencja, którą organizował i prowadził instytut, gdzie pracował Aleksiej. Nastia denerwowała się, bo takich konferencji przewinęło się w ostatnich latach całe mnóstwo, więc doskonale wiedziała, ile niespodziewanych potknięć i nieprzyjemności może się przytrafić w każdej chwili. W drukarni uczelnianej zepsuje się ryzograf i niezbędna liczba zbiorów abstraktów nie będzie gotowa na czas. Kierowca wysłany na lotnisko po zagranicznego gościa utknie na drodze w karambolu. W elektrociepłowni zdarzy się awaria, przez co w hotelu instytutu, gdzie zakwaterowani zostaną ważni goście, nie będzie ciepłej wody. Tuż przed rozpoczęciem sesji plenarnej w auli wysiądzie sprzęt nagłaśniający. Na dodatek bywają jeszcze zupełnie wyjątkowe sytuacje, kiedy jakiś samolot nie przyleci w porę, któryś z prelegentów nie zdąży na początek sesji i trzeba przesuwać na gwałt kolejność wykładów, wisząc jednocześnie przy telefonie, żeby się dowiedzieć, czy szacowny naukowiec wyleciał już i warto czekać na opóźniony rejs, którym podróżuje, czy został jednak w domu. A dom najczęściej znajduje się daleko za oceanem. Coś

podobnego przydarzyło się kiedyś Aleksiejowi i skończyło się całkiem niespodziewanie. Pewien profesor z Norwegii, znany ze swego kłótliwego charakteru, oznajmił, że z racji nieobecności jego kolegi z Kanady on też nie wystąpi, jako że jego prezentacja stanowi polemikę wobec tej naukowej doktryny, którą głosi Kanadyjczyk i bez referatu tego ostatniego, on nie ma po co stawać przed mikrofonem. Zakomunikował również, że na sesjach panelowych występować też nie zamierza, zgadza się tylko na wykłady plenarne. Tak więc jeśli spóźniony kolega z Kanady nie zjawi się w instytucie przed zakończeniem sesji plenarnej, on, norweski uczony, opuści konferencję i wróci do domu. Kanadyjski naukowiec nie zdążył, niestety zjawić się porę i za sprawą norweskiego matematyka omal nie wybuchł skandal.

Nastia co rusz zerkała na zegarek, żeby nie przegapić momentu, kiedy będzie mogła zadzwonić do Loszy. Sesja plenarna trwa od dziesiątej do trzynastej trzydzieści. Potem do piętnastej obiad. Loszka raczej nie zjawi się w tym czasie w swoim laboratorium, będzie musiał sterczeć na obiedzie razem z gośćmi. Po obiedzie, do siedemnastej zaplanowano drugą część sesji. Jedynie w przerwie, od piętnaście po piątą do szóstej, Nastia może spróbować go złapać. Jeśli po sesji wszyscy pójdą na bankiet z okazji inauguracji konferencji, Loszka będzie musiał wpaść do siebie po kurtkę albo płaszcz. Zakładając oczywiście, że nie przyszedł do instytutu w samym garniturze, co jest do niego podobne...

Na telefon było jeszcze zbyt wcześnie, więc Nastia powróciła do analizy informacji, otrzymanych o Alinie Waznis, jej życiu i otoczeniu.

Nie miała żadnych koleżanek. To chyba prawda. Hipotezę, że koleżanki były, ale Alina w ogóle nie wspominała o nich, można zachować w pamięci na wszelki wypadek. Zdaniem macochy Alina już w dzieciństwie była samotna i skryta.

Oziębła emocjonalnie, według oceny Smułowa. Nikt, jeśli wierzyć słowom asystentki reżysera Albikowej, nie zaznał jej dobroci. Nie bawiła się w sentymenty i litość, sądząc po historii z Zoją Siemencową. Nie wybaczała zniewag, ale działała podstępnie, o czym świadczy jej zachowanie w odpowiedzi na afront wyrażony przez Ksenię Mazurkiewicz. Owładnięta myślą o zemście i odwecie, co znalazło wyraz w jej zapiskach na temat postaci Azuceny z *Trubadura*.

Nie ulegała emocjom, niezwykle opanowana. Młoda, piękna kobieta, przez ostatnie dwa lata gwiazda ekranu, nie dała swemu kochankowi Smułowowi najmniejszego powodu do zazdrości. Jednocześnie absorbował ją problem winy, co wynika z notatek o Gildzie. I niespecjalnie wierzyła w niewinność i czystość, co potwierdzają owe notatki.

Jaką była osobą? Bezgranicznie cynicznym potworem bez serca?

Nastia rzuciła okiem na zegarek - wpół do piątej.

Tak, co jeszcze wiemy o Alinie? Kiepsko się wypowiadała. Miała ostre pióro.

Dziennik! Musiała prowadzić dziennik! Boże, to przecież oczywiste! Gdzie się podział Korotkow? Trzeba go jak najszybciej odszukać.

Nastia wiedziała jednak, że znalezienie Jury nie będzie rzeczą łatwą. Dobra, można spróbować dogadać się ze śledczym. Szkoda, że zabójstwa Waznis nie prowadzi Olszański, z tym śledczym Nastia zawsze potrafiła znaleźć wspólny język.

- Borisie Witaljewiczu - odezwała się pośpiesznie, kiedy w końcu dodzwoniła się do śledczego Gmyri - trzeba jeszcze raz obejrzeć mieszkanie Waznis. Gdzieś musi być jej dziennik.

- Skąd ta pewność? - krótko zapytał Gmyria, który nie uznawał żadnych domysłów i opierał się tylko na wiarygodnych faktach.

- Tak mi się zdaje. Osoby, które znały ofiarę, twierdzą, że Waznis miała kłopoty z formułowaniem myśli, innymi słowy, wypowiadała się fatalnie, zacięła się, nie potrafiła składnie wyrazić tego, co czuła. A ja czytałam jej przemyślenia w formie luźnych notatek, coś w rodzaju eseju, i muszę przyznać, że z pisaniem radziła sobie lepiej niż dobrze. W dodatku styl narracji przybiera formę rozmowy z niewidocznym rozmówcą. Rozumie pan? Daję głowę, że to z nawyku prowadzenia dziennika.

- Gdyby dziennik był w mieszkaniu, na pewno by go skonfiskowano - sucho stwierdził śledczy. - Czy naprawdę uważasz wszystkich za idiotów?

- Borisie Witaljewiczu, proszę nie zrozumieć mnie opacznie, ale grupę operacyjną wysłano do mieszkania Waznis o dziewiątej rano. To przecież koniec dwudziestoczworgodzinnego dyżuru, wszyscy zazwyczaj są zmęczeni, mają przytępioną uwagę, więc mogli nie zauważyć. Nie chcę nikogo obrazić, ale...

- Niech ci będzie. - Gmyria nieoczekiwanie się podał i Nastia zrozumiała, że śledczy spieszy się gdzieś i chce się jej jak najszybciej pozbyć. - Jutro z samego rana, przed pracą, pojedziemy tam razem.

- A dzisiaj? Nie da się? - poprosiła nieśmiało.

- Dzisiaj nie ma mowy. To wszystko, do jutra. O siódmej trzydzieści przed domem Waznis.

Nie udało się, pomyślała zmartwiona Nastia. Trzeba będzie czekać do jutra. Można by oczywiście zaryzykować i pojechać tam bez śledczego. Kłopot polega jednak na tym, że to on ma klucze od mieszkania. Oba komplety: te, które leżały w przedpokoju na szafce i należały do Aliny, oraz te, które zwrócił Smułow.

Trudno, nic się na to nie poradzi. Skoro jednak jutro pojadą na miejsce przestępstwa, trzeba to maksymalnie wykorzystać. W co była ubrana Alina Waznis, kiedy ją zabito? W koszulkę nocną i peniuar. O czym to świadczy? Albo o tym, że wizyta mordercy była niespodziewana, albo że czekała na dobrze znaną osobę, kochanka lub przyjaciółkę. Charitonow twierdzi, że uprzedził Alinę telefonicznie o swoim przyjeździe. Czy mogła mu otworzyć drzwi w takim stroju? Nie, kobieta, która przez cztery lata nie dała Smułowowi najmniejszego powodu do zazdrości, nie mogła przyjąć obcego mężczyzny ubrana tak wyzywająco. Co z tego wynika? Są dwie możliwości. Pierwsza: Charitonow kłamie, nie dzwonił do Aliny i zjawił się u niej bez uprzedzenia. Ale jeśli kłamie, to po co? Logiki w tym nie ma za grosz. Co za różnica, dzwonił do niej czy nie? Powiedziałby prawdę. Druga możliwość: Charitonow zadzwonił do Aliny,

a ona przyjęła go ubrana normalnie, wzięła pieniądze i wtedy on się pożegnał. Zabił ją natomiast kto inny i zrobił to o wiele później, kiedy Alina już się rozebrała i zamierzała się położyć.

Wróćmy do pierwszej hipotezy: Charitonow zjawił się bez uprzedzenia koło dziesiątej wieczorem. Alina otworzyła mu drzwi w na wpół przezroczystym stroju. Znając Alinę nie od dziś, Charitonow wie, że gdyby uprzedził ją o swojej wizycie, z pewnością by się odpowiednio ubrała. To dziewczyna o surowych zasadach. Zabija ją, wymyśla kłamstwo o wcześniejszym telefonie, licząc na to, że Nastia albo jakiś inny wywiadowca przyjmie właśnie taki tok rozumowania, jak ona w tej chwili. A jeśli gliniarze sami się nie domyśla, podpowie im, rzuci niby to przypadkiem, że Alina była w swetrze i spodniach. Skoro znaleziono ją martwą w peniuarze, zabójcą jest najwidoczniej kto inny. Co prawda, żeby wpaść na taką myśl, trzeba mieć głowę nie od parady, ale kto powiedział, że Charitonow nie potrafi kombinować? Nieudacznik w interesach nie znaczy głupiec. Po prostu nieudacznik. No i mamy gotowe wyjaśnienie faktu, że pieniądze zebrał już przed piątą po południu, a do Waznis przyjechał dopiero o dziesiątej wieczorem.

Nastia otworzyła notes i szybko odszukała numer telefonu Nikołaja Stiepanowicza Charitonowa. Telefon był służbowy. W Syriuszu długo jej tłumaczono, że Charitonow gdzieś poszedł, może na drugie piętro, może na parter, a może wybył już na dobre, w końcu jest prawie szósta.

Nastia poprosiła o zostawienie mu kartki z jej telefonem, po czym znowu uruchomiła swoje szare komórki.

O mało nie przegapiła chwili, kiedy mogła przystąpić do poszukiwań Aleksieja.

Telefon instytutu był wciąż zajęty i Nastia, machinalnie wybierając numer raz za razem, zastanawiała się, co należałoby jeszcze sprawdzić w mieszkaniu zamordowanej. W chwili gdy w słuchawce rozległ się wreszcie wyczekiwany ciągły sygnał, pomyślała, że Waznis musiała mieć kasety wideo z filmami, w których występowała. Trzeba je zebrać i obejrzeć w domu. Może to pozwoli uzupełnić jej obraz i zrozumieć charakter.

U Loszki na szczęście wszystko grało. Jak Nastia słusznie przewidziała, Aleksiej rzeczywiście wybierał się na bankiet razem z pozostałymi uczestnikami konferencji i wpadł do siebie po kurtkę.

- Kiedy wrócisz? - spytała.

- A co, już się stęskniłaś? Czy nie masz co jeść?

- Pewnie, że nie mam - rzuciła ze śmiechem. - Umrę z głodu, jeśli mnie nie nakarmisz. A tak poważnie, kiedy przyjedziesz?

- Konferencja kończy się w czwartek, więc wcześniej raczej nie dam rady. No, chyba że to coś pilnego...

- Nie, słoneczko, nie pali się, po prostu chcę wiedzieć, żeby się przygotować. Kupię chleb, wygonię facetów spod łóżka, wyrzucę butelki po wódce. Słowem, zatnę ślady.

- Jasne. Do piątku możesz hulać do upadłego. Potem wrócę i przepędzę twoich kochasiów. Aha, nic nie gotuj ani nie kupuj na mój przyjazd. W środę rodzice świętują czterdziestą rocznicę ślubu, zaprosili przyjaciół, matka planuje jakieś nieprawdopodobne atrakcje kulinarne. Wszystko, co zostanie, starym zwyczajem

będzie nasze. Czyli w piątek przywiozę ci pełen samochód miseczek i garnuszków.

Porozmawiawszy z mężem, Nastia poczuła się o wiele spokojniejsza i z powrotem przestawiła się na zabójstwo Aliny Waznis. Gryzło ją przy tym poczucie winy wobec kolegów. Zabójstwo aktorki nie było bynajmniej jedyną sprawą, którą zajmowali się pracownicy wydziału do spraw przestępczości kryminalnej, i Nastia miała kupę roboty w związku z innymi morderstwami. Ale coś ją trzymało właśnie przy Alinie. Takie rzeczy zdarzały jej się dosyć często: z całej masy zabójstw Nastia nagle wybierała jedno, które nie dawało jej spokoju, pozbawiało snu i apetytu. Zwykle potrafiła bliżej określić, dlaczego akurat to przestępstwo tak ją męczy, co w nim jest takiego szczególnego, niezwykłego i niebezpiecznego. Myślała jednak o nim bez przerwy, na niczym innym nie mogła się skupić. Zabójstwo Aliny Waznis było właśnie tego typu.

Koło siódmej odezwał się Charitonow.

- Milicja? - spytał nieszczęśliwym głosem. - Przekazano mi, żebym się skontaktował.

- Nazywam się Anastazja Pawłowna - uprzejmie odparła Nastia. - Pracuję w wydziale kryminalnym i zajmuję się zabójstwem Aliny Waznis. Mam do pana parę pytań, Nikołaju Stiepanowiczu.

- Czy mam gdzieś przyjechać? - mruknął zrezygnowany.

- Ależ skąd, możemy porozmawiać przez telefon. Chciałabym wiedzieć, jak była ubrana Waznis, kiedy otworzyła panu drzwi w piątek wieczorem?

- Jak była ubrana? - Charitonow wyraźnie się zmieształ. - Chyba miała na sobie spódnicę i bluzkę. Nie, nie bluzkę, T-shirt.

- Czy mógłby pan sobie przypomnieć jakieś szczegóły? Z jakiego materiału była spódnica, w jakim kolorze?

- No... Taka kwiecista, długa, luźna. Zdaje się, że zielona albo jakaś kolorowa, ale z przewagą zieleni.

- A T-shirt?

- To był zwyczajny biały bawełniany podkoszulek z krótkimi rękawami, z przodu zapinany na guziczki. W pierwszej chwili wydaje się, że to bluzka, dopiero jak się przyjrzeć, widać, że jednak T-shirt.

- Dobrze, Nikołaju Stiepanowiczu. Zadzwoił pan do drzwi, Alina panu otworzyła. Co było dalej?

- Przecież opowiadałem to już z dziesięć razy! - z irytacją zawołał Charitonow. - Czyżbyście nie notowali zeznań?

- Nikołaju Stiepanowiczu, niech się pan nie denerwuje. Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

- Wszedłem do przedpokoju, od razu wyjąłem z aktówki pieniądze w kopercie i podałem Alinie. Masz, mówię, przelicz. Sześć sześćset. Popatrzyła na mnie z takim zdziwieniem, jakbym jej przyniósł ruble zamiast dolarów. Sześć sześćset?, pyta. No, a ile ma być? Osiem miesięcy po piętnaście procent to sto dwadzieścia procent. Sto dwadzieścia procent z trzech tysięcy to trzy sześćset. Razem sześć sześćset. Wtedy się uśmiechnęła. Aha, mówi, no tak, oczywiście, nie pomyślałam. Wręczyłem jej kopertę, a ona odłożyła ją na szafkę w przedpokoju i patrzyła na mnie. Nie zamierzała zapraszać mnie na herbatę. Zresztą nawet nie chciałem. Podziękowałem Alinie za to, że mnie uratowała, pożegnałem się i wyszedłem. I to wszystko.

- Mówi pan, że Alina wzięła kopertę i odłożyła od razu na szafkę. Nie przeliczyła pieniędzy?

- Nie. Nawet nie zajrzała do koperty.

- Nie zdziwiło to pana? Czy może Alina była osobą nazbyt łatwowierną?

- Przecież wiadomo - Charitonowa aż zatkało z oburzenia - że nie jestem jakimś oszustem albo naciągaczem. Skoro powiedziałem, że w kopercie jest sześć tysięcy sześćset dolarów, nie ma potrzeby sprawdzać. W końcu pracujemy razem. Jeślibym ją oszukał, jak potem spojrzalbym jej w oczy?

Gniew Charitonowa wydawał się tak słuszny i szczerzy, że Nastia przez chwilę zapomniała nawet, jak Nikołaj Stiepanowicz, zaciągnąwszy u Aliny dług na cztery miesiące, nie oddawał go przez całe osiem, w dodatku zaczął jej też unikać. A przyniósł pieniądze tylko dlatego, że Smułow na prośbę Aliny odbył z nim dość ostrą rozmowę.

- Ile czasu spędził pan w mieszkaniu Waznis?

- Nie więcej niż dziesięć minut. Chyba koło pięciu.

- Stał pan tylko w przedpokoju?

- Tak. Alina nie zaprosiła mnie do środka. Zresztą ja też nie miałem na to ochoty.

- Nie odniósł pan wrażenia, że przez cały ten czas w mieszkaniu znajdował się ktoś jeszcze? Proszę sobie przypomnieć, Nikołaju Stiepanowiczu, czy Alina nie zachowywała się tak, jakby nie chciała, żeby pan wszedł do pokoju i kogoś zobaczył? Może była jakaś spięta? Starła się szybko pana pozbyć? Spoglądała na zegarek, bo na kogoś czekała i nie chciała, żebyście się spotkali?

- Tego bym raczej nie powiedział - stwierdził w zamyśleniu Charitonow. - Była zupełnie spokojna, jak zwykle. A że nie zaprosiła mnie do pokoju, no cóż, nie należała do osób szczególnie towarzyskich. Nigdy

nikogo do siebie nie zapraszała. Zdaje się, że sama też nikogo nie odwiedzała.

Odłożywszy słuchawkę, Nastia z satysfakcją pomyślała, że relacja Charitonowa pozwoli przynajmniej to i owo sprawdzić. Doskonale wiedziała, że najważniejszy jest początek, pierwszy krok, a potem, w miarę posuwania się naprzód, okaże się, czy przyjęty kierunek jest słuszny. Z punktu widzenia analizy i poznania wynik negatywny wcale nie musi być gorszy od pozytywnego. O tym Nastia Kamińska przekonała się już dawno, jeszcze w dzieciństwie.

STASOW

Przez całe popołudnie razem z Jurą Korotkowem prześwietlali życiorysy Kseni Mazurkiewicz i Zoi Siemencowej, wyjaśniając przy okazji, gdzie obie panie spędziły piątkowy wieczór i dlaczego kłamią jak najęte, opowiadając o tym wieczorze. Rezultat ich żmudnej i wyteżonej pracy okazał się oszałamiający i jednocześnie niesłychanie zabawny. Wyszło bowiem na jaw, że Ksenia i Zoja spędziły wieczór razem. I to gdzie! W jednym „łóżku”, przy czym funkcję „łóżka” pełniło siedzenie samochodu i podmoskiewski lasek.

Dopóki Zoja Siemencowa nie pojawiła się w Syriuszu, Ksenia rzeczywiście nigdy wcześniej jej nie spotkała. Po raz pierwszy zetknęły się już po tym, jak Zoja, zaliczywszy pobyt na odwyku, ponownie zaczęła zaglądać do butelki. Pewnego pięknego dnia Ksenia wpadła

przypadkiem na Zoję, kiedy polowała na kolejnego kierowcę. Do facetów, z którymi można się było zabawić, żona prezesa Syriusza miała nosa, odpowiednią twarz zauważała z odległości jakichś stu metrów. Tamtego dnia stała na ulicy Bolszaja Dmitrowka, dawniej Puszkina, kiedy dostrzegła Zoję, wytaczającą się z nędznego baru o wątpliwej reputacji. Siemiencowa była pijana i wyglądało na to, że mało co do niej dociera.

- Zoja! - zawołała ją Mazurkiewicz, którą raptem olśniła pewna myśl. - Siemiencowa!

Zoja odwróciła się na dźwięk głosu i chwiejnym krokiem ruszyła na spotkanie Kseni. Z jej twarzy można było wyczytać, że nijak nie może rozpoznać Kseni, choć rozpaczliwie stara się przypomnieć sobie, kim jest ta wymuskana damulka, która wydaje jej się znajoma.

- Dobry wieczór - uprzejmie przywitała się Zoja, próbując zachować resztki godności.

- Podwożę cię - od razu zaproponowała Ksenia. - Właśnie łapię łebka.

Kilka minut później Mazurkiewicz namierzyła „obiekt”. Facecik pod pięćdziesiątkę, łysiejący, nalany, o ruchliwych błyszczących oczkach, które od razu zdradzały dawnego pożeracza serc i donżuana średniego kalibru. Ksenia zawsze wybierała niedrogie samochody rodzimej produkcji. Wcale nie dlatego, że była patriotką i uznawała tylko wyroby rosyjskiego przemysłu. Całkiem rozsądnie kombinowała, że grubawy, łysiejący i brzydki facet może przebierać w długonogich młodych laskach o gładkiej skórze, jeśli ma dużo pieniędzy. Jeżeli natomiast jest niezamożny, o czym świadczy jego aparycja i marka samochodu, i dawno zostawił już za

sobą bujną erotyczną przeszłość, z której wspomnieniem nie potrafi się jednak rozstać, to... Takich właśnie klientów potrzebowała Ksenia.

Jak zwykle dokonała trafnego wyboru i już trzy minuty później siedziały z Zoją w żiguli. Ksenia naturalnie z przodu, obok kierowcy, Zoja z tyłu. W ciągu kolejnych dziesięciu minut wszystkie akcenty zostały rozstawione i kierowca ostro pruł w kierunku obwodnicy. Ksenia z trudem opanowywała rosnące podniecenie. Pomyśl, który zaświtał jej w głowie, wydawał się wspaniały. Już dawno miała problemy w dziedzinie seksu, niekontrolowane pożądanie wyganiało ją na ulice w poszukiwaniu przypadkowych kierowców, bo kręciło ją tylko jedno: kierowca, samochód, świadomość niewyobrażalnego niebezpieczeństwa, kiedy w każdej chwili mogą zjawić się niepożądani świadkowie. Ale ostatnio nawet ten scenariusz przestał ją zadowalać. Kierowca i samochód stanowili nieodzowne rekwizyty, bez tego Ksenia nie czuła się podniecona, potrzebowała jednak czegoś jeszcze... Jakiegoś dodatkowego elementu, który spełniałby rolę pejsza, katalizatora, stymulatora. Takim dodatkiem miała tym razem stać się Zoja Siemienkowa, w przeszłości zasłużona artystka, a obecnie zapijaczona trzeciorzędna komediantka.

- Do roboty, przyjacielu, zaczynaj od niej - poleciła Ksenia kierowcy, kiedy dojechali na miejsce. - A ja sobie popatrzę. Później, kiedy ci powiem, ją zostawisz, a zajmiesz się mną. Jasne?

- A ona? - zdziwił się kierowca, naraz postanowiwszy wykazać się szlachetnością. - Przecież ona też musi...

- Obejdzcie się - zimno przerwała mu Ksenia. - No dalej, zaczynaj, nie marnuj czasu. I włącz światło w kabinie.

Kierowca posłusznie rozłożył przednie siedzenia, zawczasu rozpiął spodnie i ruszył do Zoi, która cichutko drzemała, zwinąwszy się w kłębek na tylnym siedzeniu i zrzuciwszy pantofle na podłogę. Zoja najpierw protestowała i ani rusz nie mogła zrozumieć, dlaczego zamiast przed własnym domem zbudowano ją gdzieś w lesie i czego ten facet od niej chce. Jednakże potem, słysząc standardowy zestaw czułych słówek typu „ślicznotka”, „aniołek”, „cukiereczek” i „kotek”, odprężyła się i skwapliwie włączyła się do gry. W chwili gdy Zoja już miała zaznać niezbyt często przypadającej jej w udziale rozkoszy, Ksenia szturchnęła kierowcę w plecy.

- Wystarczy, przyjacielu, teraz moja kolej.

Bezceremonialnie wyciągnęła z samochodu delikatną i szczupłą Siemencowa, a sama, zadarłszy szeroką plisowaną spódnicę, pod którą bielizny, rzecz jasna, nie miała, ulokowała się na rozłożonych siedzeniach.

Wszystko poszło znakomicie! Dokładnie tak, jak chciała Ksenia Mazurkiewicz.

Z lekka oszołomiony, niemniej jednak całkowicie spełniony kierowca odwiózł swoje osobliwe partnerki do miasta. Nazajutrz Ksenia trochę się niepokoiła, spodziewając się telefonu od Zoi. Kto wie, jak się zachowa? A nuż wyskoczy z pretensjami? Zagrozi, że opowie ojcu Kseni? Zacznie żądać ról albo pieniędzy? Albo, co gorsza, zacznie jej się narzucać ze swoją przyjaźnią.

Minął jednak jeden dzień, drugi, trzeci, cały tydzień, a Zoja Siemencowa ani razu nie próbowała skontaktować

się z Ksenią, z którą połączyła ją ta pikantna i mówiąca bez ogródek, dość nieprzyzwoita przygoda. Ksenia najpierw się uspokoiła, ale potem ogarnęło ją zdziwienie. A później mąż zabrał ją do Centrum Filmowego na jakiś oscarowy film, zdaje się, że na *Nagi instynkt*, tam Ksenia zobaczyła Siemiencową, która minęła ją, uprzejmie skinąwszy głową prezesowi Syriusza i jego małżonce. Twarz Zoi nie wyrażała żadnych emocji - ani zakłopotania, ani wstydu, ani pogardy. Żadnych śladów wspomnień. Absolutnie nic. Wówczas Ksenia zrozumiała, że Zoja po prostu nic nie pamięta. Zwyczajna amnezja alkoholowa. Mniej więcej po miesiącu Ksenia spotkała Siemiencową w biurze Syriusza. Zoja była już na rauszu, ale jeszcze kontaktowała. Pod płaszczykiem uprzejmości i życzliwości Ksenia zaprowadziła Zoję do pobliskiej knajpki i pociągnęła za język. Okazało się, że Zoja co nieco jednak pamięta, na przykład, jak wyszła z baru, jak Ksenia ją zawołała i zaproponowała podwiezienie, jak wsiadły do samochodu. A potem Zoja zasnęła - i film jej się urwał. Ocknęła się dopiero rano u siebie w domu. Mazurkiewicz, działając pewnie, ale z rozwagą, oświeciła aktorkę, co się stało po tym, jak zmorzył ją sen. Oczywiście jej relacja znacznie odbiegała od prawdy, według niej inicjatywa leżała po stronie Zoi, która dogadała się z kierowcą i w ogóle zachowywała się jak erotomanka. Zoja umierała ze wstydu i słuchając Kseni, wychylała kieliszek za kieliszkiem. A potem Ksenia znowu wsadziła ją do samochodu i wywozła za miasto. Tym razem Zoja zachowała resztki świadomości i spodobało jej się to, co się z nią działo. Mimo że następnego dnia znowu nic nie pamiętała. To znaczy pamiętała, o czym rozmawiały z Ksenią, po co Ksenia

zatrzymywała samochód i dokąd razem pojechały. Ale co naprawdę się stało - nie, w tym miejscu miała kompletną pustkę w głowie.

Od tego czasu wypadły za miasto weszły im w nałóg. Przy ludziach udawały, że znają się tylko z widzenia. I regularnie, średnio raz w miesiącu, Ksenia upijała Zoję do nieprzytomności, pakowała do samochodu i wywoziła. Mazurkiewicz wykazała się twórczym podejściem do sytuacji i już nie tylko się przyglądała, jak przypadkowi kierowcy uprawiają z Zoją seks, ale aktywnie uczestniczyła w orgii, zajmując się na przemian mężczyzną, Zoją i sobą.

W piątek, 15 września, Ksenia Mazurkiewicz i Zoja Siemencowa znowu „ruszyły w tango”. Ksenia milczała z całkiem zrozumiałego powodu, a Zoja kłamała, gdzie była w piątek, bo po prostu zupełnie tego nie pamiętała. Gdyby się przyznała, że była zalana w pestkę i nie ma pojęcia, gdzie spędziła kilka godzin, podpisałaby na siebie wyrok, zresztą naprawdę nie przypominała sobie, gdzie była i strasznie się bała: a nuż poszła do Aliny? A jeśli ktoś ją tam widział? A może naprawdę ją...?

Na szczęście Zoja mieszkała w tym samym domu, gdzie mieściła się duża firma, ogromnie dbająca o swoje bezpieczeństwo. Do tego stopnia, że zainstalowała przy oknie specjalnego chłopaka z komputerem i poleciła mu notować numery rejestracyjne wszystkich aut zatrzymujących się przed domem. Miało to oczywiście swój sens: obserwowano, czy firmy nie odwiedzają ludzie, którzy nie mieli tu raczej czego szukać. W razie gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego, łącznie z morderstwem, numer samochodu wprowadzony był do

komputera, co stanowiło znacznie lepsze rozwiązanie niż szukanie przypadkowych świadków i proszenie ich, żeby sobie coś przypomnieli.

Korotkow szybko dogadał się z chłopakiem, pracującym w nocy z piątku na sobotę, otrzymał wydruk numerów rejestracyjnych aut, które podjeżdżały pod dom w oznaczonym czasie, i podkreślił kilka linijek. Obok godziny i numeru samochodu była tam uwaga: „wysadził kobietę i odjechał”. Dzięki temu dość szybko odnaleziono drogowego lowelasa, który wcale nie zamierzał wstydzić się tego, co zaszło, przeciwnie, można było odnieść wrażenie, że jest z siebie dumny, bo pomimo swego wieku potrafił zaspokoić dwie damy naraz. Dobrze pamiętał ich wygląd i adresy, pod które odwiózł swoje przypadkowe partnerki. Dalsze działania były kwestią psychologii, uporczywości i techniki. Przed jedenastą wieczorem, w poniedziałek, Ksenię Mazurkiewicz i Zoję Siemencową oczyszczono z podejrzeń. Bóg tylko jeden wie, ile pracy i wysiłku kosztowało to Jurija Korotkova i Władysława Stasowa.

- Zaraz zadzwonię do Aśki i lecę do domu - powiedział Korotkow, ziewając i słodko się przeciągając. - To był kompletnie zwariowany dzień, wydaje mi się, jakby od wczoraj rana minął co najmniej rok.

Obaj siedzieli w samochodzie Stasowa przed biurem Syriusza. Wcześniej postanowili, że ostatnią rozmowę z Ksenią przeprowadzą razem - uważali, że tak będzie słuszniej ze względów taktycznych - dla zaoszczędzenia benzyny pojechali do Mazurkiewicz jednym autem, a żiguli Korotkova zostawili przed willą, w której mieścił się Syriusz.

- Chodźmy do mego gabinetu - zaprosił Stasow. - Ty zadzwonisz, a ja w tym czasie uporządkuję bałagan w szafie.

Weszli na piętro i Stasow otworzył swoje obite wiśniową skórą drzwi. Korotkow od razu opadł na fotel obrotowy przy biurku i chwycił za słuchawkę telefonu.

- Asia? To ja. Możesz wykreślić nasze dziewczyny... Uhm, zabawiły się z przypadkowym znajomym w lesie... Oczywiście, że obie... Nie, nie, raptem, okazuje się, że była to ich rozrywka od jakichś trzech lat, i zawsze w piątki. Mówią, że w piątki kierowcy nigdzie się nie spieszą, nie muszą wstawać nazajutrz do pracy... Receptę? Pokazała. Jest cała i nieuszkodzona. Nosila ją w portfelu, w kieszonce na bilet miesięczny. Zamiast biletu miała włożony kalendarzyk, a pod nim była recepta. Mąż nie domyślił się, żeby tam zajrzeć... Jasne, że dziwki, nie da się zaprzeczyć. Ale nie morderczynie. Uhm... Uhm... Ale ona nic nie pamięta, biedactwo. Gdyby ktoś jej teraz powiedział, że zastrzeliła prezydenta USA, uwierzyłyby bez wahania. Alkohol, a co by innego... Dobra, Asieńko, szczegóły jutro, jadę się prześpać, bo oczy mi się kleją i język się płacze... Co takiego? O siódmej trzydzieści? Sadystka z ciebie, wiesz przecież, o której przyjdzie mi wstać. No dobrze... dobrze... Pa, całuję, do jutra.

Stasow jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie i porządkował furę teczek, które wyjął z szafy pancernejszej. Były to dokumenty pozostawione przez poprzedników i Stasow wiedział, że prędzej czy później będzie musiał je przejrzeć, by zorientować się w skali problemów związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa w wytwórni

filmowej Syriusz. Nie mógł tej paskudnej, ale niezbędnej roboty odkładać w nieskończoność.

W ostatnich dniach września planowany był wyjazd kilku osób z Syriusza na festiwal Szok Filmowy, toteż Stasow ograniczył swój wybór do trzech grubych teczek opatrzonych napisem *Wyjazd*. Dwie z nich nosiły podtytuł *Plener*, na trzeciej zaś, pod słowem *Wyjazd*, dopisano: *Festiwale*. Stasow doszedł do wniosku, że w przededniu wyjazdu pięciu osób na Szok Filmowy warto by przestudiować dokumenty, które mogą dostarczyć informacji, czego należy unikać w czasie pobytu na festiwalach filmowych i jakie środki przedsięwziąć w celu zapewnienia wszystkim ochrony.

Mężczyźni zeszli na dół, uścisnęli sobie ręce, wsiedli do swoich samochodów i rozjechali się do domów.

Otworzywszy drzwi swego mieszkania kilka minut po północy, Stasow z niezadowoleniem stwierdził, że Lila jeszcze nie śpi. Leżała w łóżku, pogryzała orzeszki arachidowe i czytała kolejny romans.

- Co to znaczy? - groźnie zapytał Stasow, podchodząc i zabierając jej książkę. - Jak mam to rozumieć?

- Jutro nie idę do szkoły - spokojnie oznajmiła Lila.

- Mogę poczytać dłużej.

- Niby czemu miałabyś nie iść do szkoły? - Stasow podejrzliwie przymrużył oczy, gotów usłyszeć coś w rodzaju „pani zachorowała” albo „ogłoszono zbiórkę złomu”.

- Bo mam anginę.

- Jak to? Dlaczego anginę? - Stasow wyraźnie się stropił.

Okropnie się niepokoił, kiedy Lila chorowała. Wydawało mu się, że na pewno zrobi coś nie tak, poda niewłaściwe lekarstwo, coś pokręci i w rezultacie dziecko

zamiast wyzdrowieć, poczuje się jeszcze gorzej.

- Boli mnie gardło, jest całe czerwone, obejrzałam w lusterku - rzeczowo wyjaśniła Lila. - Chyba widać nawet jakieś krostki. No i mam temperaturę, trzydzieści siedem i osiem.

- W takim razie trzeba coś robić. Nie pamiętasz, co mama dawała ci podczas anginy?

- Pamiętam. Nie denerwuj się tato, wszystko już zrobiłam. Płuczę gardło co godzinę, biorę panadol, jem cytrynę z cukrem.

Stasow uważnie przyjrzał się twarzy córki. Rzeczywiście wyglądała jakoś blado, oczy jej błyszczały niezdrowo, ręka była gorąca i lekko wilgotna.

- Ciekawe, czym płuczesz to gardło? Przecież w domu nic nie ma.

- Jodem z solą. Wstrętne, ale pomaga.

- A skąd wzięłaś panadol?

- Kupiłam w aptece. Gardło bolało mnie już rano, więc kiedy wracałam ze szkoły, kupiłam wszystko, co trzeba.

Stasow zwymyślał się w duchu. Jego córka przez cały dzień leży z temperaturą, a on ją zostawił na pastwę losu. Pewnie, że Lila już od wczesnego dzieciństwa przyzwyczała się zostawać w domu bez rodziców i wyrosła na całkiem samodzielną osobkę, ale wcale go to nie usprawiedliwia.

- Czemu do mnie nie zadzwoniłaś? - gniewnie zapytał Lilę. - Czemu od razu nie powiedziałaś, że jesteś chora?

- A po co?

Podniosła na ojca ogromne ciemnoszare oczy, w których widniało wyraźne zdziwienie.

- Przyjechałbym...

- Po co? - powtórzyła. - Nie ufasz mi? Myślisz, że nie wiem, jak się leczy anginę? Też mi coś! Wielkie rzeczy!

- Mimo to - nie ustępował Stasow - wezwałbym lekarza.

- Jakiego lekarza? - zdziwiła się Lila. - Jestem zameldowana u mamy, a nie u ciebie, więc moja przychodnia jest tam, w Sokolnikach. Lekarz z twojej rejonowej przychodni nie przyjdzie do mnie z wizytą.

Stasow skrzywił się z irytacją. Rzeczywiście, zupełnie zapomniał, że stąd, z Czeriomuszek, przychodnia nie wyśle lekarza do Lili, nie ma tu jej kartoteki.

- A co ze szkołą? Przecież potrzebne ci będzie zwolnienie, inaczej pomyślą, że urządziłaś sobie wagar.

- Wielkie rzeczy! - znowu stwierdziła Lila z czarującą dziecięcą nonszalancją. - Napiszesz mi usprawiedliwienie, że byłam chora, i to wystarczy. Jestem prymuską, wszyscy nauczyciele wiedzą, że nie opuszczam lekcji bez powodu.

Stasow podgrzał sobie kolację, zgasił światło w pokoju Lili i zabrał się do jedzenia, kartkując jednocześnie dokumenty znajdujące się w teczkach „wyjazdowych”. Co rusz natykał się na arkusze opatrzone zagadkowym tytułem *Zakaz wstępu*. Uważnie je przestudiował i wywnioskował, że są to listy osób, z którymi pracownicy Syriusza woleliby uniknąć spotkania. Tak, chyba o to chodzi. Mieszkając w hotelu, stajemy się bezbronni i łatwo dostępni. Każdy może wejść do budynku, wspiąć się po schodach na piętro i zastukać do naszych drzwi. W drzwiach nigdy nie ma wizjera, więc za każdym razem, gdy je otwieramy, nie wiemy, jaka

„niespodzianka” czeka za progiem. Drzwi mogą nawet wybuchnąć. Ktoś może czyhać na nas na piętrze, w holu, przy wejściu. Albo zadzwonić do pokoju o każdej porze dnia i nocy.

Z tego powodu aktorzy i reżyserzy, szczególnie ci znani, zawsze dostarczają służbie ochrony listę osób, których natarczywości się obawiają. Niektórzy postępują odwrotnie, sporządzają listę tych, z którymi muszą koniecznie się spotkać, i zaznaczają u dołu, żeby nikogo innego nie wpuszczać i nikomu innemu nie dawać numeru telefonu albo pokoju. Tym samym w ciągu siedmiu lat istnienia Syriusza zebrano sporo dokumentów zawierających informacje, przed kim ukrywały się albo z kim nie chciały się widzieć osoby pracujące u Mazurkiewicza.

Do grona takich niepożądanych osobników należeli nie tylko natrętni fani, a szczególnie fanki, lecz również znani ze swej złośliwości i niezyczliwości nachalni dziennikarze czy menedżerowie konkurencyjnych firm, pragnący przeprowadzić negocjacje w sprawie zawarcia kontraktu. Nie brakowało także aktorów marzących o otrzymaniu małego epizodu albo żądających głównych ról, które ich zdaniem z jakiegoś powodu im się należały. Jeśli w dodatku mamy do czynienia z festiwałem filmowym, a nie sesją w plenerze, imprezie towarzyszy zwykle gorączkowa bieganina wokół rady dyrektorów, sponsorów, reklamodawców i innych potentatów finansowych.

Stasow dokończył kotlety z kaszą, umył talerz i nalał sobie ogromny kubek wrzątku, do którego wrzucił dwie torebki herbaty Lipton oraz cztery kostki cukru, po czym zabrał się do szczegółowej analizy dokumentów.

Najpierw wyjął z teczek i porozkładał na oddzielne kupki listy osób, które miały „zakaz wstępu!”, oraz te, które powinno się zawsze wpuszczać. Potem każdy ze stosików ułożył chronologicznie. Dopiero wówczas zaczął porównywać nazwiska.

Praca okazała się ciekawa. Zresztą dla Stasowa, który odbył solidny staż w jednostkach do walki z przestępczością zorganizowaną i korupcją, analiza dokumentów nie była czymś nowym. Lubił to zajęcie, nigdy mu się nie nudziło i nie wyprowadzało z równowagi. Przeciwnie, uwielbiał owo błogie uczucie, które pojawiało się za każdym razem, gdy z oderwanych od siebie informacji i pojedynczych, lakonicznych dokumentów, z bilansów i not księgowych oraz kopii dyspozycji płatniczych wylaniał się nagle czytelny i wymowny obraz nadużyć i defraudacji, oszustw i łapówek. Przestępczość zorganizowana to oczywiście bandyci, trupy, wybuchy, broń, superszybkie samochody i najnowocześniejszy sprzęt, a walka z tą przestępczością to ryzyko, krew, pot, zasadzki, strzelanina, pościgi i śmierć. Stasow odniósł dwie rany - kłutą i postrzałową. Był w znakomitej kondycji fizycznej, szybko biegał, wysoko skakał, celnie strzelał. Ale żaden własnoręcznie zatrzymany przestępca nie wywoływał w nim takiego uczucia jak odtworzony na podstawie dokumentów obraz przestępstwa. Stasow wiedział, dlaczego tak się dzieje. W głębi duszy sam sobie wydawał się mało inteligentny, co właściwie znalazło odbicie w jednej z opinii służbowych na jego temat: „Zdyscyplinowany i obowiązkowy. Świetnie włada regulaminową bronią. Nieustannie doskonalili formę fizyczną, jest mistrzem sportu w lekkiej atletyce, narciarstwie i pływaniu. Do mankamentów

zaliczyć można brak twórczego podejścia do powierzonych sprawy. Kapitan w.n. Stasow (wtedy był jeszcze kapitanem) nie zawsze zdolny jest do podjęcia samodzielnej decyzji, wychodzącej za ramy postawionego uprzednio zadania. Wniosek: zajmuje stanowisko odpowiednie do posiadanych kompetencji”. Przeczytawszy taką ocenę, Stasow wpadł w przygnębienie. Dobitniej nie da się stwierdzić: silny fizycznie - rozum mu niepotrzebny. Zaczął wówczas udowadniać sam sobie, że jednak potrafi pracować głową. Odszedł z wydziału kryminalnego i kilka lat przepracował w OBChSS*, gdzie siła potrzebna bywa zwykle w drugiej kolejności. Podszkolił się w analizie danych, wgryzł się w sprawy gospodarcze, a jak tylko stworzono jednostkę do walki z przestępczością zorganizowaną, od razu się tam przeniósł.

OBChSS (*Otdiel po borbie s chiszczenijami socjalistycznej sobstwiennosti*) - Wydział do Walki z Defraudacją Mienia Socjalistycznego (przyp. tłum.).

Jego kariera rozwijała się powoli, ale zadowalająco, i przez cały ten czas, odnosząc sukcesy nie dzięki użyciu siły, lecz za sprawą pracy szarych komórek, Stasow doznawał niemal dziecięcego zachwytu: „Udało mi się! Zrobiłem to!”.

Teraz też, siedząc grubo po północy w kuchni swego kawalerskiego mieszkania i porównując dokumenty, cieszył się w duchu, kiedy zauważał, że którąś z osób przenoszono z grupy mile widzianych gości na „czarną listę” i polecano „nie wpuszczać”. Odnotowywał na karteczce okres, w ciągu którego następowała taka metamorfoza, żeby potem zapytać Mazurkiewicza albo kogoś innego, co było istotą konfliktu. Na oddzielnej

kartce zapisywał nazwiska tych, których jedni pracownicy Syriusza unikali, inni natomiast chętnie koło siebie widzieli. Osobna lista zawierała dane osób, pojawiających się w „miejscach niedozwolonych” najczęściej. Każdą z nich będzie musiał potem rozpracować, przyrzeć się jej uważniej, być może przeprowadzić też indywidualną rozmowę na temat dobrego wychowania i bezcelowości nachodzenia gwiazd.

W pewnej chwili wydało mu się, że usłyszał jęk Lili. Odsunął papiery i rzucił się do pokoju córki. Ale nie, Lila spała z buzią wtuloną w poduszkę. Oddech miała raczej ciężki, usta otwarte, widocznie męczył ją zatkaany nos. Stasow zapalił boczną lampkę, wziął ze stolika obok kanapy krople do nosa i ostrożnie zaaplikował Lili. Zgasił światło, powstał przy niej chwilę, nasłuchując. W końcu oddech się zmienił, dziewczynka pociągnęła kilka razy nosem przez sen i zaczęła oddychać równiej i spokojniej.

Stasow wrócił do kuchni i znowu zasiadł do pracy. Wystarczyło kilka minut nieobecności, żeby odzyskać świeże spojrzenie. W wykazie tych, którzy najczęściej figurowali wśród niepożądanych gości, rzucało się w oczy nazwisko Szalisko. Facet był wręcz mistrzem wśród natrętów, jego nazwisko pojawiło się już osiemnaście razy, podczas gdy pozostałych - od pięciu do ośmiu.

Stasow szybko przekartkował listy zatytułowane *Zakaz wstępu*. Obok każdego nazwiska nieproszonego gościa widniało nazwisko pracownika Syriusza, u którego ów gość mógł się zjawić. Obok nazwiska Szaliski stale widniało nazwisko Waznis. Osiemnaście razy z rzędu. Dokądkolwiek Alina wyjeżdżała, na zdjęcia w plenerze albo na festiwal filmowy, zawsze przekazywała

ochronie kartkę z kategorycznym zakazem wpuszczenia niejakiego Pawła Szaliski.

Stasow starannie włożył listy z powrotem do teczek, układając je w kolejności, która ułatwiała mu pracę. Nawet nie liczył na taki wynik. Na dzisiaj wystarczy, pora się kłaść, jutro rano skontaktuje się z Korotkowem albo z Anastazją i zajmą się tym tajemniczym Pawłem Szaliską, który ponad pięć lat nagabywał Alinę Waznis.

ALINA WAZNIS DWA LATA PRZED ŚMIERCIA

A jednak Smułow postawił na swoim. Udało mu się w końcu uwolnić Alinę od nieustannego strachu. Na dodatek mogła dzięki niemu artykułować swój lęk - głośno, bez wstydu i ukrywania się. Specjalnie dla niej Smułow nakręcił thriller, który tak właśnie nazwał: *Odwieczny strach*.

Alina rozkwitała w oczach. Podobnie jak jej romans z Andriejem Smułowem. Przestała brać tabletki, zrobiła się znacznie spokojniejsza, częściej się uśmiechała i rzadziej pogrążała w bezgranicznym smutku.

Odwieczny strach przyniósł Alinie prawdziwą sławę. Jej zdjęcia zagościły na okładkach czasopism i na rozkładówkach popularnych gazet, publikujących artykuły o sztuce filmowej. Telewizja zaczęła ją zapraszać na wywiady, do udziału w programach typu talk-show. Co prawda po dwóch, trzech podejściach dziennikarze porzucili ten pomysł: z Aliną Waznis najpierw należało sporo popracować, żeby jej odpowiedzi na pytania

brzmiały w miarę logicznie i zrozumiale. Była za to bardzo efektowna, gdy należało wyjść tylko na scenę i wręczyć nagrodę. Najlepiej nie odzywać się ani słowem. Publiczność witała ją gromkimi brawami, przy czym były one autentyczne, a nie odtwarzane z taśmy.

Aby uczcić całkowity powrót Aliny do zdrowia, oboje z Andriejem postanowili wybrać się do salonu samochodowego i kupić jej auto.

- Teraz, kiedy nie zażywam żadnych lekarstw, mogę śmiało usiąść za kierownicą - mówiła Alina, przytulając się do Smułowa i całując go w policzek. - Było mi przykro, że włożyłam tyle wysiłku w naukę przepisów, zdałam egzamin na prawo jazdy - i nie mogłam potem prowadzić samochodu.

Wybrawszy dla niej ciemnozielonego saaba, z entuzjazmem zabrali się do poszukiwań garażu i cieszyli się, kiedy udało im się znaleźć miejsce w strzeżonym garażu spółdzielczym, który miał ponadto własną myjnię i warsztat naprawczy. I co najważniejsze, garaż znajdował się w odległości zaledwie dwóch przystanków autobusowych od domu Aliny. Był to nieprawdopodobny sukces!

Alina stopniowo oswajała się z „normalnym” życiem, wolnym od ciągłego, doznawanego w każdej chwili strachu. Kochający ją całym sercem Smułow potrafił rozwiać jej dziecięce przekonanie o własnej niegodziwości, winie, o tym, że jest grzeszna i występna. Kosztowało go to wiele sił i czasu, ale w końcu dopiął swego. Alina zaczęła interesować się ładnymi strojami, podróżami, z przyjemnością zajęła się swoim

nowym mieszkaniem, robiąc w nim „europejski remont”. Przeprowadziła się już dawno, ale do tej pory nie miała ochoty na wprowadzanie jakichkolwiek zmian. Nie zauważała odklejających się w przedpokoju tapet, ciekącego kranu i odpadających kafelków w łazience.

Idąc za ciosem, Andriej wymyślił następny film, *Oblęd*. Sam napisał scenariusz, zakładając, że główną rolę będzie grała oczywiście Alina. Mazurkiewicz wycisnął ze sponsorów pieniądze „na dwie gwiazdy”, Alinę i Smułowa, zapewniając, że *Oblęd* będzie nie mniej dochodowy niż *Odwieczny strach*, a może nawet bardziej. Rozpoczęły się zdjęcia, tempo pracy było dobre, film rzeczywiście zapowiadał się wspaniale...

Rozdział 7

KOROTKOW

Korotkow ze zdziwieniem przypomniał sobie, jak wczoraj wieczorem nazwał Nastię sadystką za to, że przez nią znowu miał wstać przed świtem. Dzisiaj leżał w łóżku i nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie ten świt nadejdzie.

Kiedy Jura wrócił do domu wczoraj wieczorem, kolejny raz trafił na awanturę. Nie miał siły gniewać się na żonę, bo doskonale rozumiał, że nie jest jej lekko. Haruje nie mniej niż on. Życie w ciasnym mieszkanku, przesiąkniętym zapachem ciężko chorej, przykutej do łóżka osoby, też nie napawa optymizmem. Paraliż dotknął teściową rok po narodzinach ich synka. Była jeszcze stosunkowo młoda, serce miała jak dzwon, i wszyscy zdawali sobie sprawę, co to oznacza. Żona Jury nie uważała oczywiście, że mąż jest czemukolwiek winien. Z wyjątkiem jednego: jej zdaniem Korotkow już dawno powinien był rzucić pracę w milicji i pracować prywatnie. Choć Jura próbował jej wyjaśniać, że są rzeczy ważniejsze od pieniędzy, pozostawała nieugięta, odwoływała się do przykładów znajomych i nieznanomych osób i domagała się, żeby mąż zaczął w końcu zarabiać przyzwoite pieniądze i kupił duże mieszkanie. Syn dorastał i z każdym dniem było im coraz ciasniej w jednym czternastometrowym pokoju. Drugi, ośmiometrowy, niepodzielnie zajmowała matka żony.

Często po takich awanturach Korotkow obracał się na pięcie i nocował u swego przyjaciela i kolegi z pracy Koli Siełujanowa, który po rozwodzie mieszkał sam. Wczoraj wrócił jednak bardzo późno, w dodatku padał ze zmęczenia... Udało mu się zasnąć tylko na krótko. Mniej więcej od czwartej rano leżał cicho obok żony i czuł, że nawet pogrążona we śnie emituje fale wrogości i niezadowolenia.

Koło szóstej nie wytrzymał i ostrożnie wstał, przekradł się na palcach do kuchni, postawił czajnik na gazie i zaczął się zbierać. Musi jak najszybciej stąd wyjść, lepiej już sterczeć na ulicy, niż od samego rana prowadzić jałowe i bezsensowne, jak na jego gust, rozmowy.

Pod dom Aliny Waznis Korotkow zajechał jeszcze przed siódmą. Zaparkował samochód, włączył ogrzewanie, zapalił papierosa i zaczął w zamyśleniu kontemplować mżący na zewnątrz jesienny deszcz. W ciepłym wnętrzu auta od razu ogarnęła go senność, więc żeby oprzeć się pokusie, otworzył okno, wyciągnął rękę na deszcz, a kiedy dłoń zrobiła się wilgotna, przetarł twarz. Ulżyło mu.

Dwadzieścia minut po siódmej zauważył wlekącą się noga za nogą Kamieńską. Szła bez parasola, z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie. Na głowę narzuciła szeroki kaptur, który całkowicie zasłaniał jej twarz. Korotkow otworzył drzwi od strony pasażera i zawołał ją.

- Cześć - przywitała go zdziwiona Nastia. - Myślałam, że będę pierwsza. Coś ty się tak wcześniej zerwał? Nie mogłeś spać?

- „Duszno tu, nianiu; usnąć trudno - wesoło potwierdził Korotkow - uchyl tam okna, siądź koło mnie”*.

Fragment poematu Aleksandra Puszkina *Eugeniusz Oniegin* w przekładzie Adama Ważyka. PIW, Warszawa 1982 (przyp. tłum.).

- A niech cię!

Nastia zsunęła kaptur i wgramoliła się do środka.

- Niektórzy, nie będę pokazywać palcem, chcą się popisać erudycją. Jak dobrze tu u ciebie, ciepło, nady-mione. Raj.

Sięgnęła do torby, wyciągnęła paczkę papierosów mentolowych i z przyjemnością się zaciągnęła.

- Znowu się ze swoją popstrykałeś? - spytała współ-czująco, wypuszczając dym.

- Domyśliłaś się?

- Jasne. Stasow dzwonił do ciebie o wpół do siód-mej, ale byłeś już nieuchwytny.

- A czego chciał? Pożegnaliśmy się wczoraj o dwu-nastej, chyba wszystko omówiliśmy.

- Wszyscy troje cierpieliśmy tej nocy na bezsenność. Stasow namierzył niejakiego Pawła Szaliskę, który przez wiele lat nagabywał Alinę, ale zdaje się, że bez-skutecznie. Mamy więc równowagę, minus dwa, plus jeden.

- To znaczy? - zachmurzył się Jura.

- Dwie panie odrzuciliśmy, pojawił się natomiast nowy mężczyzna. Czyli że w sumie mamy czterech po-dejrzanych: Charitonowa, Imanta i Ingę Waznisów, a w perspektywie pechowego wielbiciela. Dam sobie głowę uciąć, że ten Szalisko też nie będzie miał alibi, znajdzie się za to i motyw, i okazja.

- Więc tak sprawy stoją...

Śledczy Gmyria pojawił się za dwadzieścia ósma, nie uznawszy nawet za stosowne przeprosić za spóźnienie.

- Chodźmy - rzucił przez zęby, mijając samochód Korotkowa.

Kiedy wjeżdżali już windą, nagle zapytał:

- A co ze świadkami?

- Po co nam świadkowie, Borisie Witaljewiczu? Nie szukamy przecież poszlaki, ale rzeczy należącej do ofiary. Nie ma żadnego znaczenia, gdzie znajdziemy dziennik, jeśli go w ogóle znajdziemy.

- No, uważaj - niejasno mruknął Gmyria.

Śledczy nie był zagorzałym zwolennikiem przestrzegania litery prawa i jeśli było można, skracał detale proceduralne do minimum.

Od soboty, po wyjściu milicjantów z mieszkania Ali-ny, nikt w nim nie sprzątał, więc teraz wszędzie pano-wał kompletny bałagan. Szczególnie nieprzyjemny był widok kanapy z obrysowanymi kredą konturami zwłok.

- Borisie Witaljewiczu, czy ojciec zamordowanej nie zwracał się do pana wczoraj w sprawie kluczy? - spytał Korotkow, dokładnie wycierając nogi w chodniczek leżący w przedpokoju. Chce zabrać rzeczy i przejąć mieszkanie.

- Nie, nie było go wczoraj. No to co, bierzemy się do pracy?

- Podzielmy się - zaproponowała Nastia. - Dwa pokoje i kuchnia to robota akurat dla trzech osób. Potem łazienka, toaleta i przedpokój.

Szukali długo i dokładnie, ale niestety bez rezultatu. Nie znaleźli żadnych dzienników. Oprócz dzienników szukali białej bawełnianej koszulki z guziczkami i zie-łonej kolorowej spódnicy. Koszulkę Nastia wyszperała

w pralce w stercie brudnej bielizny, a długa luźna spódnica z zielono-brązowego jedwabiu wisiała na haczyku na wewnętrznej stronie drzwi od łazienki, tam, gdzie znajdował się również ciepły frotowy szlafrok. Wyglądało na to, że podejrzenia pod adresem Charitonowa są grubo przesadzone. Żeby opisać ubranie, musiał widzieć Alinę, jak miała je na sobie. Gdyby ją zabił, kiedy była już w peniuarze, i chciał dorobić historyjkę o swojej wcześniejszej i telefonicznie zapowiedzianej wizycie, przypuszczalnie otworzyłyby szafę z ubraniami i wybrały do opisu to, co w niej wisiało. Mało prawdopodobne, że zajrzałyby do pralki. Ale dzienniki... Czyżby Nastia się pomyliła?

- Słuchaj, a pytałaś Smułowa? - cicho odezwał się Korotkow, starając się, żeby nie usłyszał ich śledczy.

- Pytałam - rzuciła z westchnieniem Nastia. - Mówi, że nigdy nie widział, żeby Alina prowadziła dziennik. Ale od razu zastrzegł, że mógł o tym nie wiedzieć. Ważnis była do tego stopnia skryta, że nawet przed nim nie otwierała się do końca.

- Biedak - pokiwał głową Jura. - Miał z nią pewnie trzy światy. Kochał ją, ale ciągle czuł, że jest... jakaś obca. Jej macocha też tak twierdzi.

- Borisie Witaljewiczu - zawołała Nastia - wezmę te kasety, dobrze?

- A po co ci one? - zainteresował się Gmyria, przeglądając półki we wnęce w przedpokoju.

- Są na nich filmy Smułowa, między innymi te, w których grała Alina. Spróbuję je obejrzeć, a nuż coś mi wpadnie do głowy.

- Ciekawe, co by to mogło być! - ironicznie skomentował śledczy. - Pewnie same głupstwa.

- Ale mogę je wziąć?

- Bierz, bierz, tylko potem oddaj Smułowskiemu albo krewnym Waznis. Ta rodzinka rodzoną matkę by sprzedała za parę groszy.

- Pan też to zauważył - włączył się Korotkow.

- A jak. Na twarzach mają wszystko wypisane, tylko ślepy by nie zauważył. Kiedy pierwszy raz przesłuchiwałem starego Waznisa, jeszcze w sobotę, nie pytał mnie o zabitą córkę, ale o to, kiedy zacznie działać prawo spadkowe. Próbował ze mnie wyciągnąć, czy u Aliny jest zameldowana jeszcze jakaś inna osoba, która mogłaby stanąć mu na drodze w przejęciu mieszkania. Chociaż właściwie nie powinniśmy go osądzać, ze swojej pensji utrzymywał trójkę dzieci, pewnie nieraz bieda zaglądała mu w oczy. No co, koledzy, kończymy? Magik był pijany i sztuczka się nie udała?

Korotkow odetchnął z ulgą. Śledczy nie gniewał się, że ściągnęli go z łóżka tak wcześnie, i jak się okazało, na próżno. Boris Witaljewicz w wieku czterdziestu sześciu lat wciąż pozostawał tolerancyjny, miał spore poczucie humoru i bardzo dobrze pamiętał te lata, kiedy sam pracował w wydziale kryminalnym. W zasadzie należał do osób, które prochu nie wymyślą, ale pracowało się z nim przyjemnie. Pod tym względem Gmyria był zupełnym przeciwieństwem starszego śledczego prokuratury Olszańskiego, z którym najbardziej lubiła pracować Nastia. Olszański miał nieznośny charakter, wywiadowcy i eksperci bali się go i po cichu nienawidzili, mimo że imponował im swoim wysokim profesjonalizmem.

Olszański był za to człowiekiem, po pierwsze, mądrym, po drugie, odważnym. Choć cechy te dość skutecznie skrywała powierzchowność niedbałego fajtlapy.

Ech, gdyby na miejscu Gmyri znalazł się teraz Olszański, pomyślał Korotkow, na całego uczepiłby się pomysłu Aśki, że taka zamknięta i samotna osoba jak Alina Waznis musiała mieć jakąś odskocznnię w rodzaju dziennika albo skrzętnie ukrywanej przyjaciółki. Albo nie mniej skrzętnie ukrywanego kochanka. Ale Olszański to jedno, a Gmyria drugie. Gmyria nie wierzy w psychologiczne wywody, żąda faktów: zeznań świadków, rzeczy, dokumentów, śladów. Tego, co można zobaczyć i usłyszeć, dotknąć i zarejestrować. Domysły bez pokrycia go nie obchodzą.

- Pojawił się jeszcze jeden figurant, Borisie Witaljewiczu - powiedziała Nastia, wciągając kurtkę i pakując do ogromnej sportowej torby z dziesięć kaset wideo. - Jeśli pan nigdzie się nie spieszy...

- Bardzo się spieszę. - Gmyria popatrzył na zegarek. - Jestem umówiony na dziesiątą trzydzieści. A o co chodzi?

- Myślałam, że podjedzie pan z nami do niego, jeśli oczywiście nie zwiął.

- Nawet mnie nie proś, czasu mam jak na lekarstwo. Załatwcie to sami, w razie potrzeby później się włączę.

- W takim razie proszę jeszcze chwilkę zaczekać, tylko zadzwonię.

Nastia zdjęła słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu.

- Kola? To ja. Co z Szaliską?.. Podaj, zapamiętam...

Tak... Tak... Gdzie to jest? Na Srietience?... Daleko od metra?.. Aha, dobra, dziękuję. Nie potrzebujesz czasem Korotkowa? Bo stoi tu przy mnie... Daję ci go.

Nastia wręczyła słuchawkę Korotkowi.

- Masz, wproś się na nocleg, zanim Kola nie zaplanuje sobie czegoś romantycznego na wieczór.

Jura chrząknął i mrugnął do Nastii:

- Mój ty aniele! Co ja bym bez ciebie zrobił.

Wszyscy razem zjechali na dół. Gmyria, wymachując aktówką, pognął w stronę metra, a Nastia z Korotkowem wsiedli do samochodu.

- Nasz Szalisko mieszka w Czertanowie, a pracuje w redakcji czasopisma „Kino”, gdzieś na Srietience. Domowego telefonu nikt nie odbiera, a w pracy powiedzieli, że powinien lada chwila się zjawić. Jedziemy?

- Zgoda - westchnął Korotkow. - Tylko może po drodze coś przekąsimy? Bo wyleciałem z domu o siódmej, zdążyłem wypić tylko kawę.

- Dobra - zgodziła się Nastia. - Rozglądaj się, a jak zobaczysz coś odpowiedniego, to się zatrzymamy.

Stanęli przy jakimś kiosku, wzięli po kawałku gorącej pizzy i znowu schowali się przed deszczem w samochodzie.

- Słuchaj - powiedziała nagle Nastia - zadzwońmy do Smułowa. Zapytamy go o tego Szaliskę. A nuż powie coś ciekawego?

Korotkow ze smutkiem spoglądał w okno. Deszcz się nasilił i nie mżył już, lecz na całego bębnił o chodnik. Co za parszywa robota, pomyślał, jak zwykle bez śladu gniewu. Nikogo nie interesuje, kiedy ostatni raz jadłeś, ile godzin spałeś przez ostatni miesiąc i czy pomagają ci tabletki od bólu głowy. A jeśli chorujesz na wrzody i od ciągłego napięcia i niewyspania nieustannie masz migrenę, nie pomagają już żadne dostępne w aptekach lekarstwa, to wyłącznie twój problem. Tak jak drożęjąca benzyna i wiecznie przemakające buty. Albo przesiąknięta zapachem moczu i choroby nora ze

wspólną łazienką i bez windy, którą górnolotnie nazywa się „dwupokojowym mieszkaniem w budynku wielkopłytowym”. To twoje problemy i nikt, ani państwo, ani twoi zwierzchnicy, nie zamierzają ich rozwiązywać.

Widocznie twarz Jury przybrała wielce wymowny wyraz, bo Nastia dodała:

- Wiesz co, posiedź tutaj, zadzwonię sama. O, tu jest automat, akurat mam przy sobie żeton.

Jura uśmiechnęła się z wdzięcznością. Nastia poszła zadzwonić i chyba zastała Smułowa, bo rozmawiała przez dłuższą chwilę. Korotkow zdążył się zdrzemnąć w ciepłym samochodzie, odchyliwszy się na wysokie oparcie siedzenia. Ocknął się dopiero, gdy Nastia trzasnęła drzwiami.

- Zabawna historia, Jurik. Smułow zna tego Szaliskę.

Okazuje się, że kiedyś pracował w Syriuszu jako asystent operatora światła i studiował zaocznie w szkole filmowej. Kochał się bez wzajemności w Alinie. Przez pewien czas nawet go tolerowała, ale później, kiedy zjawił się Smułow, dotychczasowy adorator poszedł w odstawkę.

Do biednego Szaliski nie docierało, że dostał kosza.

Przysyłał jej kwiaty, pisał bileciki, robił jakieś prezenty.

Nie dawał spokoju. Ciągle dzwonił, nawet kiedy wyjeżdżała z Moskwy. Czasem nawet jechał za nią. Smułow wie, że Alina zawsze przekazywała ochronie kartkę z nazwiskiem Szaliski, żeby nie podawano mu numeru jej telefonu. Nazywała go natarczywym wielbicielem. W każdym razie Smułow nie traktował go poważnie, o zazdrości nie było mowy. Aha, ten beznadziejnie zakochany facet już od trzech lat pracuje w redakcji

czasopisma „Kino”, ale od Aliny się nie odczepił. To ci dopiero miłość, co?

- Pewnie ten Szalisko to taki śmieszny okularnik - odezwał się Korotkow, skręcając na obwodnicę Sadowoje Kolco. - Wiesz, typowy pechowy amant: chudy jak patyk, przygarbiony i brzydki intelektualista. Nie sądzisz, że głupio takiego podejrzewać o zabójstwo?

- Nie sądzę - krótko ucięła Nastia. - Po pierwsze, nie zapominaj, że Alina najpierw traktowała go życzliwie, to znaczy dała mu nadzieję, w dodatku całkiem uzasadnioną. Facet nie jest pechowym amantem, ale odrzuconym wielbicielem, a to zupełnie co innego. No a po drugie, właśnie tacy patykowaci intelektualiści, w okularkach bardzo często okazują się najbardziej wyrafinowanymi przestępcami. Nie przegap zakrętu. Srietienka jest jednokierunkowa, musisz skręcić na światłach, dalej przemkniemy zaułkami.

- Siełujanow tak cię poinstruował? - uśmiechnął się Jura, hamując na skrzyżowaniu.

Redakcję znaleźli z łatwością, Kola Siełujanow rzeczywiście bardzo dokładnie im wszystko objaśnił i wymienił konkretne punkty orientacyjne. Na dole siedziała zgrzybiała staruszka, która wpuściła ich, nie zadając pytań i nie żądając dokumentów. Na piętrze szybko znaleźli pokój dwieście trzy, w którym, zgodnie z informacjami Siełujanowa, znajdowało się miejsce pracy Pawła Szaliski. W pokoju było tłoczno, panował harmider i unosił się gęsty papierosowy dym. Nastia trąciła w łokieć dziewczynę stojącą najbliżej drzwi.

- Przepraszam, szukamy Pawła Szaliski - powiedziała cicho.

- Pasza! - raptownie krzyknęła pannica tak głośno, że Nastia drgnęła. - Pawlik! Ktoś do ciebie!

Z chmury dymu wyłonił się mężczyzna i podszedł do nich.

- Państwo do mnie?

Korotkow drgnął, tknięty niedobrym przeczuciem. Chyba wszystko idzie nie tak, jak się oboje z Nastią spodziewali. Szalisko okazał się barczystym przystojniakiem o mocno zarysowanej szczęce i roześmianych oczach. Nie był wcale chudy ani przygarbiony. Jeśli to właśnie jest odtracony kochanek, całkiem możliwe, że udusił Alinę. Ale jaki miałby powód? Dla takich przystojniaków świat nie kończy się na jednej lali, łatwo pocieszają się po stracie i szybko znajdują sobie następną.

- Gdzie możemy porozmawiać w spokoju? - spytał oschle Korotkow, przedstawivszy się.

- Jeśli poczekać jakieś dziesięć minut, możemy porozmawiać tutaj. Akurat jesteśmy po kolegium redakcyjnym, zaraz wszyscy skończą palić, rozejdą się do swoich zadań i w pokoju będzie pusto.

Żadnych śladów zdenerwowania, strachu, napięcia. Wszystko to nie podobało się Korotkowowi. Ale Szalisko nie zwodził ich. Kilka minut później w pokoju zrobiło się luźniej i wkrótce zostali tylko we troje. Paweł od razu szeroko otworzył oba okna.

- Przewietrzę trochę, bo aż w oczy szczypie, tak nadyzione - wyjaśnił. - A teraz słucham. Chodzi państwu o Alinę?

Korotkow zajął miejsce przy czymś biurku obok fotela, w którym usadowił się Paweł. Nastia stała gdzieś za jego plecami. Korotkow domyślił się, że Siełujanow

dowiedział się nawet, które z ośmiu biurek należy do Szaliski, i dlatego Nastia trzyma się w jego pobliżu. Pewnie przeszukuje je wzrokiem, pomyślał Jura.

- Kiedy widział pan Alinę Waznis po raz ostatni?

- Dosyć dawno.

- A dokładniej?

- Bardzo dawno. Chyba jakieś pół roku temu.

- Czy rozmawiał pan z nią ostatnio telefonicznie?

- Muszę się zastanowić. - Szalisko zamyślił się. - Wyjeżdżała na zdjęcia w połowie lipca, dwa dni przed wyjazdem zadzwoniła do mnie i powiedziała, gdzie i w jakim hotelu będzie mieszkać.

- Po co?

- Jak to po co? - Szalisko nie zrozumiał.

- Po co to panu mówiła?

- Żeby tam zadzwonił.

- Po co miałby pan dzwonić do niej do hotelu?

- Ach, o to panu chodzi! - Szalisko uśmiechnął się. - To przecież tylko taka gra, tworzenie wizerunku. Sam pan na to nie wpadł?

- Niech pan sobie wyobrazi, że nie - zimno odparł Korotkow. - Czekam na pańskie wyjaśnienia, najlepiej prawdziwe.

Oczy Szaliski natychmiast zamieniły się w bryłki lodu, twarz mu stężała.

- Nie ma pan podstaw, żeby mnie o coś podejrzewać. Poza tym jeszcze ani razu pana nie oszukałem. Przynajmniej jak dotąd nie przyłapał mnie pan na kłamstwie. Więc bardzo proszę, żeby uważnie dobierał pan słowa.

Korotkow zrozumiał, że popełnił niewybaczalny błąd. Wybrał niewłaściwy ton i zniechęcił rozmówcę. Albo obudził jego czujność. Zmęczenie wzięło jednak górę, no i tak go rozboleła głowa...

- Najmocniej przepraszam - rzekł pojednawczo. - Ale pańskie wyjaśnienia są mimo wszystko potrzebne.

- W porządku. - Szalisko się rozchmurzył. - Miałem z Aliną romans, ale dawno temu, kiedy pracowała jeszcze w studiu muzycznym. To był taki romans, jak by to określić... Krótko mówiąc, niezbyt namiętny. Alina należała do kobiet raczej chłodnych emocjonalnie. Rozstaliśmy się w przyjaźni. A potem któregoś dnia Alina oznajmiła: „Pasza, coś mi się zdaje, że dużo straciłam, rezygnując ze spotkań z tobą”. Ktoś jej powiedział, że prawdziwa gwiazda powinna mieć stałych wielbicieli, którzy zabiegają o jej względy i obsypują kwiatami. A początkująca gwiazda czy, jak to się mówi: wschodząca musi mieć chociaż jednego. Ja natomiast bardzo ładnie ją adorowałem, były kwiaty, prezenty, westchnienia, romantyczne spotkania i inne tego typu rzeczy. Pośmialiśmy się wtedy oczywiście razem, po czym zaproponowałem, że z uwagi na łączące nas wcześniej uczucie pomogę jej budować wizerunek gwiazdy. Regularnie przychodziłem do studia, w którym odbywały się zdjęcia, z bukietem kwiatów. Zawsze wręczałem prezenty na urodziny i przy innych okazjach. A kiedy gdzieś wyjeżdżała, za każdym razem dzwoniłem do hotelu i żądałem podania numeru jej telefonu. Odprawiano mi, ma się rozumieć, nie darmo przecież Alina wpisywała mnie na „czarną listę”, za to wszyscy wiedzieli, że Paweł Szalisko usycha z nieodwzajemnionej miłości, a Alina Waznis ma dosyć jego amorów. I tyle.

- Może pan jakoś potwierdzić swoją historię?

- Niby jak? - Szalisko rozłożył ręce. - Mogę tylko powiedzieć, że moja żona wie o wszystkim. Znały się z Aliną. Chyba pan rozumie, w naszych czasach nic się nie robi tak po prostu. W interesie Aliny odgrywałem rolę natarczywego wielbiciela, a w zamian za to Alina podrzucała mojej żonie materiał prasowy. Plotki towarzyskie, nowinki z planu filmowego i tak dalej. Moja żona pracuje w gazecie „Wieczorny Klub”.

W dodatku jest żonaty, pomyślał przygnębiony Korotkow. Nie, Paweł Szalisko zupełnie nie nadawał się do roli nieszczęśliwego odrzuconego kochanka, zabijającego niewierną ukochaną. Jak powiedziałaaby Aśka, morderstwo pasuje do niego jak świni siodło. A taką mieli piękną hipotezę!

- Jura - usłyszał za plecami głos Kamieńskiej - pojejdź tu, proszę.

Korotkow podniósł się ciężko z krzesła i podszedł do niej. Jedna z szuflad biurka, przy którym stała Nastia, była wysunięta, i Jura zobaczył w środku gruby zeszyt w kratkę w ceratowej brązowej okładce. Szalisko w mgnieniu oka znalazł się obok nich.

- Czego pani szuka w moim biurku? - zapytał gniewnie.

- To pański zeszyt? - rzuciła Nastia.

- Nie. - Zamilkł zmieszany. - Pierwszy raz go widzę. Skąd się tu wziął?

Nie wyjmując zeszytu z szuflady, Nastia podważyła okładkę paznokciem i uniosła ją. Strona była zapisana dużym, okrągłym charakterem pisma, na górze widniała data 17 listopada.

- Poznaję pan?

- To pismo Aliny. Nic nie rozumiem... Pierwszy raz to widzę!

Nastia nagłym ruchem zamknęła szufladę i z przerażeniem popatrzyła na Korotkowa. Wpadli po same uszy! Idioci! Przecież jechali do Szaliski, podejrzewając go o zabójstwo, całkiem zapomnieli o tych przeklętych dziennikach! Jak teraz z tego wybrnąć? Nie ma ani śledczego, ani świadków. Potem Szalisko powie, że sama Kamińska podrzuciła mu dziennik, i będzie miał rację. Po tysiącokroć! Że też tak pechowo się wpakowali!

- Wezwij śledczego, Jura - cicho powiedziała Nastia.
- Dokonamy oficjalnego zajęcia. A pana - odwróciła się do Szaliski - proszę o dokładne przelanie na papier tego, co przed chwilą pan nam opowiedział. Proszę również napisać, jak został znaleziony zeszyt. Siedział pan przecież twarzą do mnie, prawda?

- Tak, widziałem panią - potwierdził Szalisko.

- No to niech pan napisze o wszystkim, co pan widział.

- Nie rozumiem...

- Widział pan na przykład, że wyjęłam ten zeszyt ze swojej torby i wsunęłam do pańskiego biurka?

- Nic podobnego. Pani torba stoi o tam, przy drzwiach, co pani robi ze mnie wariata! - oburzył się Paweł.

- No to świetnie - stwierdziła Nastia z uśmiechem. - Tak właśnie proszę napisać. A przy okazji, nie wie pan przypadkiem, jak zeszyt znalazł się w pańskim biurku?

- Już mówiłem przecież, że pierwszy raz go na oczy widzę.

- O tym też niech pan napisze.

Korotkow podszedł do telefonu, żeby zadzwonić do Gmyri, i ze smutkiem pomyślał, że dzisiejszy pechowy

dzień zaczął się już wczoraj wieczorem. Jedna rzecz jest pocieszająca: Gmyria pracował kiedyś jako wywiadowca, więc nie podniesie rabanu. Jeśli jednak podejrzenia pod adresem Szaliski się potwierdzą, adwokat da im popalić za samowolę Aški! Żeby tylko udało im się jakoś wykaraskać z tej opresji.

KAMIENSKA

Wieczorem, po zjedzonej w pośpiechu kolacji, Nastia zabrała się do przeglądania kaset z filmami Smułowa. Najwyraźniej Alina Waznis przechowywała u siebie wszystkie dzieła swego ukochanego, co świadczyło o niewątpliwym podziwieniu, który żywiła dla jego talentu. Zresztą miała również wszystkie filmy, w których grała główną rolę, zanim spotkała Andrieja Lwowicza. Łącznie kaset było dwanaście: pięć filmów Smułowa, w których Alina jeszcze nie występowała, cztery adaptacje oper, a także trzy thrillery, które Smułow robił już razem z Aliną.

Miniony dzień pozostawił w Nastii uczucie goryczy i świadomość własnej winy. Jak mogła zaliczyć taką wpadkę! To po prostu niewybaczalne. Oczywiście Gmyria nic nie powiedział, widocznie sam nieraz był w takich opałach. Pokiwał tylko głową z wyrzutem. Zeszyt wyjęto z szuflady i odesłano do ekspertyzy, a Szaliskę zawieziono na Pietrowkę. Nastia, rzecz jasna, od razu pobiegła do eksperta Olega Zubowa i bijąc się w piersi, przyznała się do wszystkiego.

- Oleżka, ale dałam plamę! Możesz zmieszać mnie z błotem, ale uwiń się z tą ekspertyzą raz-dwa, dobrze? Dopóki maglują tego Szaliskę. Jeśli na zeszyty są ślady

jego palców, to kamień z serca, niech go zamykają. Jeśli jednak ich nie ma, trzeba na gwałt myśleć, co to oznacza. Wtedy Gmyria wypuści go za poręczeniem. Rozumiesz, jeśli się okaże, że nie ruszał tego zeszytu, nie będzie podstaw, by posłać go za kratki.

- Coś ty taka w gorącej wodzie kąpana! - odparł naburmuszony Zubow, studiując uważnie dziennik. - Też mi problem. Mało to ludzi najpierw się wsadza do aresztu, a potem wypuszcza? Grunt to spokój, jak mówił Karlsson. Nie ty pierwsza, nie ostatnia. Jak facet posiedzi w celi przez parę dni i zastanowi się nad marnością tego świata, to mu nie zaszkodzi. Co się tak trzęsiesz ze strachu, Nastazjo? Czyżbyś się bała prokuratora?

- Jego też - przyznała Nastia. - Ale najbardziej boję się oczywiście Pączka. Wstyd mi przed nim.

- O! To słuszną postawą - z aprobatą chrząknął ekspert. - Bać się nie wypada. Natomiast wstyd przynosi pożytek. Oczyszcza duszę. A teraz nie stój nade mną jak kat nad dobrą duszą, Kamińska, tylko idź do siebie.

- No pewnie. Jak tylko zamknę się za mną drzwi, odłożysz pracę na bok, już ja cię znam. Oleżenka, każda minuta jest dla mnie na wagę złota.

- Nie nudź. Przecież powiedziałem, że swoje zrobię. Ruszaj stąd, nie stój jak słup soli.

W tej sytuacji Nastia wróciła do siebie. Z niepokojem przysłuchiwała się krokom na korytarzu i drżała za każdym razem, gdy trzaskały drzwi sąsiedniego pokoju, w którym Gmyria razem z Korotkowem wyciągali zeznania z Pawła Szaliski. Wreszcie koło siódmej wieczorem zjawił się wykończony Jura.

- Koniec - sapnął, siadając na krześle przy oknie i chwytając się za skronie. - Wypuszczony za poręczeniem. Nie ma tam jego odcisków palców. Okładkę starannie wytarto, a w środku są tylko odciski Waznis. Licho wie, co to wszystko znaczy.

- Ale wytarta okładka nie dowodzi, że Szalisko nie brał dziennika. Według mnie, odwrotnie - ostrożnie powiedziała Nastia.

- Według ciebie, według ciebie - przedrzeźniał ją Korotkow. - A według mnie ten, kto ukradł dziennik, wiedział, że jest tam coś niepoehlebnego na jego temat. Żeby się tego dowiedzieć, musiał ten dziennik przynajmniej raz przeczytać. Jeśli Szalisko go czytał, na kartkach powinny być odciski jego palców. Ale ich nie ma.

- No tak - przyznała w zamyśleniu Nastia. - A co, jeśli podczas czytania był tak ostrożny, że starał się nie narobić śladów i nawet nie dotykał ceratowej okładki gołymi rękami? Dobra, to tylko domysły. Musimy po prostu przeczytać ten dziennik, i wszystko się wyjaśni. A wiecie, gdzie on teraz jest?

- Gmyria zabrał go ze sobą. Powiedział, że poczyta przed snem zamiast bajek. Tylko zauważ, Aśka, że ten Szalisko nie wygląda na zabójcę. Wścieka się, denerwuje, oburza, ale się nie boi. Albo jest wielkim aktorem, albo naprawdę uważa, że zaszło nieporozumienie.

- No cóż, może jest aktorem - westchnęła Nastia. - Może nawet wielkim...

Siedząc wieczorem w domu i obserwując Alinę Waznis na ekranie, Nastia nieustannie powracała myślami do jej dziennika i do Pawła Szaliski.

Na pierwszej kasecie, wybranej na chybił trafił, znalazł się wspomniany już *Trubadur*. Nastia dobrze pamiętała notatki Aliny, dotyczące roli starej Cyganki Azuceny, i z ciekawością obserwowała, jaki kształt sceniczny przybrały jej przemyślenia. Tak, Waznis była uparta, ani na jotę nie zmieniła swego stanowiska opisanego w „wypracowaniu” dla Diegtiara. Za każdym razem, kiedy stara Cyganka wspominała o tym, jak zamierzała pomścić śmierć matki, na twarzy aktorki pojawiał się marzycielski, graniczący z lubieżnym, wyraz. A kiedy Azucena opowiadała o fatalnym błędzie, który popełniła, w jej oczach nie było przerażenia i rozpacz, lecz szczerą złość. Nastia omijała sceny, w których Azucena nie występowała, więc uwinęła się z *Trubadurem* dość szybko.

Następny był film, który reżyserował Smułow. Należał do zgrabnie skonstruowanych kryminałów z elementami mistyki, choć pod koniec wszystkie rzeczy nadprzyrodzone znajdowały całkiem logiczne wyjaśnienie. Zdaniem Nasti film był niezły i nawet się zdziwiła, dlaczego Smułow uważał, że się zawodowo wypalił. Jedna scena przyciągnęła jej uwagę. „Kochasz mnie?”, pyta jeden z bohaterów swoją narzeczoną, a ta w odpowiedzi wybucha śmiechem: „Ależ z ciebie dowcipniś! Lepiej dałbyś mi trochę pieniędzy, nie mam płaszcza na zimę”. Nastia kilka razy słuchała zapisu magnetofonowego rozmowy Korotkowa z Andriejem Lwowiczem i doskonale pamiętała, jak reżyser opowiadał o niewrażliwości i emocjonalnej oziębłości Aliny. Widocznie ta historia tak mocno go dotknęła, że dawna uraza znalazła ujście w scenariuszu, i Smułow, jak powiedzieliby psycholodzy, podświadomie dokonał jej projekcji.

Kiedy jednak Nastia zaczęła oglądać następny film Smułowa, zrozumiała, w czym tkwił problem. Film był bardzo podobny do tego, który dopiero co obejrzała. To samo rozłożenie akcentów, te same postacie: ponury tajemniczy przystojniak, na którego od razu padała podejrzenie i który na końcu okazuje się aż do obrzydzenia przyzwoity, i wesoły, szczery, lubiany przez wszystkich chłopak, który aktywnie pomaga w śledztwie, a w rezultacie okazuje się zabójcą. I znowu motyw nieodwzajemnionego duchowego uniesienia: „Powiedz mi coś miłego”. „A dajże spokój... Na czułości mu się zebrało, mazgaj jeden”. Nastia skrzywiła się. Wszystko jasne, Andriej Lwowicz powtarzał się z filmu na film.

W chwili gdy Nastia miała już wyjąć kasetę i puścić kolejną, z thrillerem *Odwieczny strach*, przyszła jej do głowy nieoczekiwana myśl. Przewinęła taśmę i włączyła odtwarzanie, trafiając akurat na napisy. Film nakręcony został w 1990 roku. Ciekawe. W 1990 roku Smułow nie znał Aliny Waznis i co za tym idzie, nie było jeszcze tej przykrew dlań rozmowy. A w obu filmach ten motyw brzmi bardzo wyraźnie. Co by to mogło być? Intuicja, podszeptująca utalentowanemu artyście, że jeśli nawet znajdzie się kobieta, która go pokocha, będzie właśnie taka, niedelikatna i mało wrażliwa? Genialne przeczucie? Albo...

Albo. Nastia gorączkowo wyszarpnęła kasetę z odtwarzacza i włożyła następną. Zgadza się. Znowu ci sami bohaterowie i ta sama sytuacja: „Tęskniłaś za mną?”. „Myślisz, że nie mam nic innego do roboty, jak tylko usyschać z tęsknoty za tobą”. I wciąż nowi podejrzani,

zaskakujące zwroty akcji i takie samo zaskakujące rozwiązanie. Tak, wszystko to już było, powracało w kolejnych filmach i wywoływało zarzuty krytyków. Ale działo się tak nie tylko w filmach. Było gdzieś jeszcze. Tylko gdzie?

O drugiej w nocy Nastia zrozumiała, że wszystko, co zobaczyła w pięciu filmach Andrieja Smułowa, nakręconych przed poznaniem Aliny Waznis, i jeszcze w dwóch obrazach, zrobionych już z Aliną w roli głównej, że wszystko to było jej znane. Doświadczyła tego sama w ciągu czterech ostatnich dni. Wszystko powtarzało się z dokładnością do najmniejszego szczegółu.

O żadnym genialnym przecuciu nie mogło być mowy. Cała sytuacja z zabójstwem Aliny i śledztwem została wymyślona i wyreżyserowana tą samą ręką. Przez tego samego mistrza, Andrieja Lwowicza Smułowa. Ale po co? Po co?!

Usunąć aktorkę, kiedy do zakończenia wspaniałego filmu pozostało raptem kilka ujęć? Filmu, który z pewnością podbiły świat i otrzymał prestiżowe nagrody. Usunąć aktorkę, bez której nigdy już nie zrealizuje się nic prawdziwego? Postawić krzyżyk na swojej reżyserskiej karierze? W głowie się nie mieści.

Musi być jakiś powód. Bardzo poważny powód. Ale gdzie go szukać? Nastia Kamińska nawet się nie domyślała.

ALINA WAZNIS DZIESIĘĆ DNI PRZED ŚMIERCIĄ

Początek września na wybrzeżu był ciepły i słoneczny, zaczynała się złota jesień. Praca nad filmem miała

się ku końcowi. Zapowiadał się niezwykle udany obraz, wszyscy mówili, że będzie nawet lepszy niż *Odwieczny strach*, więc Alina codziennie wychodziła na plan ożywiona, pełna ochoczej werwy do pracy.

Tego dnia kręcono scenę na plaży i plan zdjęciowy oblegała zwarta grupa ciekawskich wczasowiczów. Andriej pracował szybko, zawsze przywiązywał dużą wagę do prób, żeby do minimum ograniczyć liczbę dubli. Pierwszy dubel wyszedł całkiem przyzwoicie.

- Dziesięć minut przerwy i powtarzamy - wesoło rzucił Smułow, otwierając butelkę fenty i nalewając pomarańczowy, pieniący się płyn do plastikowego kubeczka.

Alina podeszła do niego i usiadła na piasku, z rozkoszą wyciągając nogi.

- No i jak było? W porządku?

- Cudownie, moja ty mądrało. W najbardziej ekscytującej chwili zaciśnij rękę w pięść, powiem Żeni, żeby zrobił zbliżenie, kiedy będziesz otwierała dłoń, pokaże wtedy odciśnięte ślady paznokci. Wyjdzie znakomicie.

- Dobrze, tak zrobię.

Dziesięć minut później Alina znowu stanęła na planie, kamera ruszyła. Zgodnie ze scenariuszem Waznis miała powoli przesunąć wzrokiem po twarzach statystów występujących w scenie zbiorowej. I nagle Alina zobaczyła go. Świra. Nie mogła się mylić, była to ta sama twarz z wstrętną brodawką na policzku, te same okropne oczy, te same cienkie, mokre usta. Ale to przecież niemożliwe! Niemożliwe! Nie było go prawie dwa lata. On nie żyje.

Alina na chwilę zapomniała, że trwają zdjęcia. Znowu opanował ją strach, który wrócił po dwóch latach...

- Genialnie! - usłyszała głos Andrieja.

Natychmiast przyłączyły się inne głosy.

- Wstrząsające!

- Coś niesamowitego!

- Alina, jesteś fenomenalna!

Z trudem otrząsnęła się z odrętwienia. Za wcześnie się cieszyła, widocznie choroba posunęła się zbyt daleko. Nie da się przez całe lata bezkarnie przyjmować psychotropów. Wydawało jej się, że wyzdrowiała, ale koszmar znowu powrócił, tym razem w formie halucynacji. Co się z nią stanie? Boże, co teraz będzie? Zamkną ją w szpitalu psychiatrycznym? Dostanie rentę? Będzie wzbudzała litość? Wszyscy jej gratulują, myśląc, że tak genialnie zagrała strach, ale co będzie, kiedy dowiedzą się, że żadna z niej aktorka, tylko zwykła wariatka, cierpiąca na halucynacje, ogarnięta ostrą psychozą?

Alina spróbowała wziąć się w garść i nie pokazywać po sobie rozpacz. Najbardziej zależało jej na tym, żeby Andriej niczego nie zauważył. Tak długo męczył się z nią, uwalniając od strachu, nie może dowiedzieć się teraz, że jego wysiłki i czas poszły na marne. Nie przeżyje takiego ciosu!

W drodze do hotelu Alinie udało się zachować twarz przed Andriejem i asystentką reżysera, Leną Albikową. Resztką sił trzymała nerwy na wodzy podczas obiadu, ale później, pod pozorem zmęczenia, zamknęła się u siebie w pokoju. Nie mogła płakać. Trzęsła się jak w

gorączce, ręce jej drżały, zęby szczękały. Pozostawało tylko jedno wyjście: tabletki, które ciągle ze sobą wozila. Nie żeby brała je specjalnie, po prostu leżały w jej podróźnej apteczce jeszcze od czasu, kiedy zażywała je regularnie. Leżały razem z aspiryną, środkami na ból głowy i przeziębienie, wodą utlenioną i plastrem.

Wsunęła pod język trzy tabletki fenazepamu i po dwudziestu minutach zaczęła się rozluźniać. Położyła się, przykryła dwoma kocami, mimo że na dworze było dwadzieścia pięć stopni, spróbowała się odprężyć i zasnąć. Wieczorem zdołała nawet pójść na kolację i pospacerować ze Smułowem po nabrzeżu. Milczenie Aliny nie zaniepokoiło go, ten stan był dla niej czymś normalnym. Nazajutrz czekały ich zdjęcia, więc Andriej nie został u Aliny na noc. Rano znowu wzięła lekarstwo i wyszła na plan. Udało jej się grać tak, że nikt nic nie zauważył i tylko ona wiedziała, ile wysiłku ją to kosztowało. Dobrze, że był to już ostatni dzień zdjęciowy. Wrócili do Moskwy.

W Moskwie zaczęła się stopniowo uspokajać. Atak nie powtórzył się więcej, halucynacja nie powracała, dzięki czemu Alina poczuła się pewniej. A potem odbył się roboczy pokaz materiału zdjęciowego. Puszczono taśmę ze sceną na plaży, najpierw pierwszy dubel, potem drugi. I raz jeszcze na całym ekranie pojawiła się odrażająca twarz z brodawką i straszliwymi oczami. Alina zacisnęła zęby, żeby powstrzymać jęk. Znowu! Znowu to samo!

Była jednak zbyt silna i trzeźwo myśląca, żeby się poddać bez walki. Powoli rozejrzała się po sali. Tak, nic się nie dzieje, wszyscy siedzą na tych samych miejscach, nikomu nie wyrosły dwie głowy albo pięć rąk.

Czyli że nie jest chora, to nie halucynacja. Świr rzeczywiście tam był, na plaży. I znalazł się w kadrze.

Postanowiła przeprowadzić na sobie test. Nigdy nie ulegała panice i zawsze walczyła do końca. Poprosiła operatora, żeby powtórzył drugi dubel. Andriej obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem, ale nie miał nic przeciwko temu, na szczęście pozostałe osoby na sali również nie protestowały.

- Oczywiście, obejrzymy jeszcze raz! To niewiarygodne! Ta scena wejdzie do historii światowej kinematografii!

Ekran znowu się rozjaśnił. Tym razem Alina starała się panować nad emocjami i nie tracić zimnej krwi. Znowu zobaczyła Świra. Zaledwie mignął na krótką chwilę w szeregu twarzy, ale rozpoznała go bez wahania. Zbyt dobrze znała tę twarz, żeby nie rozpoznać jej nawet po upływie tysiąca lat.

Wróciwszy do domu, Alina spróbowała spokojnie wszystko przemyśleć. Późnym wieczorem zadzwoniła do Smułowa.

Rozdział 8

STASOW

Stasow przyjechał do Kamieńskiej koło ósmej rano, Korotkowa jeszcze nie było. Nastia otworzyła mu drzwi w dżinsach i cienkim sweterku, rześka i pełna energii. Jedyne podkrążone oczy i zapadnięte policzki zdradzały bezsenłą noc. Stasow wyteżył pamięć, próbując przypomnieć sobie, ile właściwie Nastia ma lat. Zdaje się, że dawno stuknęła jej trzydziestka. No tak, oczywiście, skoro jest majorem.

- Skąd ten pośpiech, pali się? - spytał, zdejmując kurtkę.

Nastia zadzwoniła do niego o wpół do siódmej rano i jakimś dziwnym głosem poprosiła, żeby jak najprędzej do niej przyjechał. Nic więcej nie wyjaśniła. Powiedziała tylko, że Korotkow również przyjedzie.

- To nie pośpiech, raczej cichy obłąd. - Uśmiechnęła się lekko. - Zaraz wam coś opowiem, a waszym zadaniem będzie przemówić mi do rozumu i udowodnić czarno na białym, że jestem głupią kłamczucha.

- Genialnie pomyślane! - burknął z niezadowoleniem Stasow. - Jakbyś nie wiedziała, to mam w domu chore dziecko. Chciałem rano skoczyć do sklepu, kupić jej mleko, żeby wypić z miodem, i coś smacznego, a ty wyciągasz mnie z domu. I po co? Żeby wysłuchiwał jakichś głupstw, a potem tłumaczył ci, że to rzeczywiście głupstwa? Świetny pomysł, Anastazjo, pogratulować! Nastia zmieszana się, oczy błysnęły jej gniewem.

- Przepraszam - powiedziała sucho. - Mogłeś powiedzieć mi o tym od razu, jak tylko zadzwoniłam. Nie należałabym.

Stasow poczuł się niezręcznie. Nastia ma rację, przecież nie mogła wiedzieć, że Lila złapała anginę. Po co jej teraz robi wyrzuty? W końcu nawet gdyby kupił to głupie mleko, Lila i tak by go nie wypila, bo nie znosi nabiału. Woli płukać gardło ohydny roztworem wody z jodem i solą, niż przełknąć choćby łyk mleka czy kefiru.

Stasow chciał jakoś załagodzić swój wybuch i zaczął szukać pojednawczych słów, ale akurat przyszedł Korotkow i problem rozwiązał się sam. Jura zjawił się wesoły i pełen sił, cmoknął Nastię w policzek, zrzucił buty i poczłapał w skarpetkach do kuchni. Najwyraźniej był tutaj częstym gościem i dobrze znał zwyczaje gospodyni, która wypijała rano hektolitry kawy, koniecznie w ukochanej kuchni.

- No co, Nastazjo? Wymyśliłaś kolejną historyjkę? - zapytał Korotkow, wyjmując filiżankę i nalewając sobie herbaty. - Wał, chętnie się pośmieję.

Usiedli dokoła stołu zastawionego filiżankami i talerzami. Kamieńska w oczekiwaniu na gości przewyciężyła swoje legendarne lenistwo i przygotowała obfite śniadanie. Korotkow z aprobatą obrzucił wzrokiem apetyczne grzanki, żółto-czerwono-zieloną jajecnicę z pomidorami i cebulą, dużą miskę płatków kukurydzianych i wysoki karton mleka.

- O, to mi się podoba. Zaraz widać, że wyszłaś za mąż i wreszcie nabrałaś rozumu - stwierdził z przekąsem.

- Jeszcze jedno słowo i cię palnę - spokojnie przyobiegała Nastia. - Czyli tak, ja opowiadam, a wy uważnie słuchacie. Tylko nie krzyczcie, że jestem idiotką, ale poszukajcie kontrargumentów, dobrze? Sama wiem, że to czysty absurd, ale dopóki się z nim nie rozprawię, o niczym innym nie będę mogła myśleć. Umowa stoi?

- Brzmi wielce obiecująco - mruknął Stasow. - No to zaczynaj, nie dręcz nas dłużej.

- Dobra, a wy sobie jedzcie. A zatem, co wiemy o Alinie Waznis? Że była bardzo skryta i nawet najbliższa jej osoba, Andriej Lwowicz Smułow, przyznaje, że przez cztery lata nie zdołał Aliny poznać, rozszyfrować jej charakteru i zajrzeć w głąb duszy. Zgadza się? No to jadę dalej. Wiemy, że dziewczyna niezbyt ładnie postąpiła w stosunku do Zoi Siemiencowej, kiedy nagłośniła prawdziwe powody, którymi kierował się Smułow, zamierzając obsadzić Zoję w jakiejś drugoplanowej roli. W dodatku, mówiąc delikatnie, wystawiła również Smułowa. Pracownicy Syriusza twierdzą, że Andriej Lwowicz był bardzo poruszony nietaktownym, a nawet bezdusznym zachowaniem Aliny. Co jeszcze? Wiemy, że wołała działać skrycie. Nie zareagowała impulsywnie na zniewagę, wyrządzoną jej przez żonę Mazurkiewicza, lecz zaczęła szukać sposobu skontaktowania się z ojcem Kseni, bankierem Kozyriowem, który uzależnił swoje wsparcie finansowe dla Syriusza od tego, czy Mazurkiewicz poskromi rozbestwioną, puszczałską żonę i przywoła ją do porządku. To znaczy zmusi do przyzwoitego zachowania. Na razie wszystko się zgadza?

- Co do joty - kiwnął głową Korotkow, z apetytem zajadając jajecznicę i przegryzając ją grzankami.

- Wiemy, że Alina nie wyróżniała się wrażliwością czy serdecznością, sam Smułow skarżył się nam na to. Wiemy, że miała stalowe nerwy i nigdy nie zażywała trankwilizatorów czy innych środków oddziałujących na psychikę. O tym też mówił Smułow. Wiemy jeszcze, że zażądała od Nikołaja Stiepanowicza Charitonowa pilnego zwrotu długu, w dodatku sporego. Nic nie przeczyłam?

- Chyba nie - odezwał się Stasow, który w żaden sposób nie mógł pojąć celu ich spotkania. Po co było zrywać się wcześniej rano i pędzić tu na złamanie karku, jeśli Kamińska zamierza po prostu podsumować zebrane informacje? Nie widział w tym nic pilnego. Powiedziała, że to „czysty absurd”, ale na razie streszczała tylko fakty.

- A teraz spójrzmy na to z innej strony - ciągnęła Nastia, jakby słysząc myśli Stasowa. - Skąd wiadomo, że Alina szukała telefonu do Kozyriowa? Od Smułowa. I jeszcze od kilku osób, które z kolei dowiedziały się o tym również od niego. Skąd wiemy, że Alina urządziła awanturę z powodu przyznania roli Siemienkowej? Od Smułowa. Nikt tej awantury nie widział, ale wszyscy pamiętają, jak Andriej Lwowicz chodził zdenerwowany i opowiadał wszystkim, jaka ta Alina jest bezlitosna. On chciał wziąć Siemienkową do epizodu, ale ona strasznie krzyczała, że nie może tego zrobić, bo Siemienkową jest pijaczką i złodziejką. O tym incydencie zrobiło się głośno od plotek i sprawa dotarła do uszu niejakiego Zarubina, który zabronił wydawać pieniądze na niewiarygodną Siemienkową. Źródłem informacji był jednak znowu Smułow. Udało mu się urobić opinię społeczną, dowiedziała się o tym Zoja i zanim wkroczyliśmy na

scenę, jej nienawiść sięgnęła apogeum. Co sprawiło, że zaczęliśmy ją podejrzewać. Dalej. Kto zadzwonił do Charitonowa, żądając pilnego zwrotu długu tego samego dnia? Smułow. Facet powołuje się na prośbę Aliny, która podobno nie była na tyle twarda, żeby zmusić Charitonowa do oddania pieniędzy. A pamiętacie, co opowiadał sam Charitonow? Że kiedy wręczał Alinie kopertę z pieniędzmi, wymienił kwotę, na którą opiewał pierwotny dług: trzy tysiące dolarów plus sto dwadzieścia procent. Alina się wówczas zdziwiła. Proszę, byście zwrócili na to uwagę. Zdziwiła się! Dopiero później, kiedy Charitonow policzył przy niej głośno, że dług wynosi równo sześć tysięcy sześćset, przyjęła pieniądze. A teraz dobrze się zastanówcie. Jeżeli niepokoi was, że ktoś przez dłuższy czas nie zwraca wam długu, przede wszystkim podliczacie, ile dłużnik jest wam winien. Bezwzględnie. Nie będziecie szacować na oko, że powinniście dostać z powrotem trzy tysiące plus jeszcze jakieś tam procenty. Zanim Alina zdecydowała się poprosić Smułowa, aby rozprawił się z Charitonowem, musiała chociaż raz podliczyć wysokość długu w danej chwili. Dlaczego więc tak się zdziwiła, kiedy Charitonow wymienił kwotę? Ano właśnie dlatego, że nie przyszło jej do głowy, żeby ją obliczyć. Bo wcale nie prosiła Smułowa, żeby zadzwonił. Zrobił to z własnej inicjatywy. Rozumiem, że okłamał Charitonowa, powołując się na Alinę, to całkiem oczywiste. Ale po okłamał nas wszystkich, możecie mi to wyjaśnić?

- Do diabła, jak to się stało, że tego nie zauważyłem? - mruknął Korotkow. - Przecież ty, dziewczyno, masz rację. Mów dalej.

- Smułow opowiedział ci, Jura, rozdzierającą historię o tym, jak w ciężkiej dla niego chwili zadzwonił do Aliny i zapytał ją: „Kochasz mnie?”, a ona zbyła go, narzekając, że obudził ją z powodu takiego głupstwa. Opowiadał?

- No tak.

- Otóż podejrzewam, że minął się z prawdą. Nic takiego się nie zdarzyło. W każdym razie nie z Aliną Waznis. Przytrafiło mu się to znacznie wcześniej z kim innym. I zraniło go tak dotkliwie, że bezwiednie wstawał podobną scenę do każdego filmu. Jeśli mi nie wierzycie, mogę wam pokazać. Do samego rana oglądałam nieśmiertelne dzieła Andrieja Lwowicza. Po co mu było to kłamstwo? Możecie znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie?

- Coś mi się zdaje, że już sama je znalazłaś - zauważył Stasow. - Mam rację?

- Owszem - przytaknęła Nastia. - Smułow tworzył obraz pośmiertny Aliny. Tworzył go specjalnie dla nas i tak go kształtował, żeby o zabójstwo podejrzana była jak największa liczba osób. On sam podsunął nam Siemencową, Ksenię i Charitonowa. To on, a nie kto inny, twierdził, że starszy brat Aliny domagał się swojej części brylantów matki. Przecież, jeśli dobrze pamiętam, Inga Waznis tego nie potwierdziła. Tak, był niezadowolony z decyzji starego Waznisa, ale żadnych pretensji i żądań głośno nie artykułował. W każdym razie nie mamy na to dowodów oprócz zeznań Smułowa. I jeszcze jedno. Szalisko. Są dwie możliwości: albo Paweł Szalisko kłamie, albo mówi prawdę. Jeśli kłamie,

rzeczywiście zakochał się w Alinie i nie dawał jej spokoju, Smułow nie mógł pozostać obojętny i nie być zazdrosny. To zupełnie oczywiste. A co mówi nam Smułow? Że Alina przez cztery lata nie dała mu najmniejszego powodu do zazdrości. Coś tu się nie zgadza. Druga możliwość: Szalisko nie kłamie. Wobec tego Smułow nie mógł nie wiedzieć, że całe te umizgi, kwiaty i telefony były tylko grą i udawaniem, niewinną zabawą w celu podtrzymania wizerunku gwiazdy i oddanego jej wielbiciela. Dlaczego więc nie powiedział nam o tym? Wygląda na to, że w jednym i drugim przypadku Andriej Lwowicz mówił nieprawdę. Po co? Żeby podsunąć nam jeszcze jednego podejrzanego, Pawła Szaliskę.

- Zaczekaj, a dziennik? - rzucił zdziwiony Korotkow.
- Znaleźliśmy go przecież u Szaliski.

- No i co z tego? Mało to rzeczy razem znaleźliśmy? Weszliśmy do budynku redakcji, bez trudu odszukaliśmy pokój, gdzie stoi biurko Szaliski, i gdybyśmy nie zaczęli się o niego wypytywać, naszej obecności nikt by w ogóle nie zauważył. Specjalnie o to pytałam, pokój zamykany jest tylko na noc, kiedy wszyscy idą do domu. A biurko, jak pamiętasz, stoi przy samych drzwiach. Można wejść, zostawić coś albo zabrać i nikt się nie odezwie. Drzwi przez cały czas stoją otworem, nawet gdy w pokoju nikogo nie ma.

- Chcesz tym samym powiedzieć, że dziennik podrzucił Smułow? - zapytał Stasow, któremu wszystko, co opowiadała Nastia, zaczynało wydawać się naprawdę absurdalne.

- Chcę powiedzieć, że Szalisko może nie mieć z tym dziennikiem nic wspólnego. Powiem więcej: ponieważ

jestem osobą upartą, szczególnie kiedy sytuacja jest podbramkowa, tak jak dzisiaj, zdążyłam już rano zadzwonić do Gmyri i zapytać go, o czym Alina pisała w dzienniku. Niektóre zdania nawet mi podyktował. Na przykład taki fragment: „Pasza to jednak wyjątkowo miły człowiek. Za każdym razem rzucam się, żeby oddać mu pieniądze za te wspaniałe róże, które przynosi mi do studia i wręcza przy wszystkich, a on ciągle odmawia. Czuję się niezręcznie, że się tak wykosztowuje, ale on się tylko śmieje. Mówiłam o tym Andriuszy i zgodził się ze mną, że to nieładnie żerować na Pawliku dla własnej korzyści, przecież wszystko to potrzebne jest mnie, a nie jemu. Andriusza powiedział, że następnym razem sam odda mu pieniądze za kwiaty, co powinno załatwić sprawę, i przestanę mieć wyrzuty sumienia”. No i co wy na to, kochani? Zdaje się, że Andriej Lwowicz doskonale wiedział, że żaden Szalisko nie płonął nieszczęśliwą miłością do Aliny, nie nagabywał jej, nie narzucał się i nie nękał telefonami. W dzienniku nie ma nic, co mogłoby zainteresować Pawła i sprawić, że wykradłby go Alinie i ukrył w pracy. Zobaczcie, co z tego wynika: w sprawie pojawia się sześcioro podejrzanych. Sześcioro! I wszyscy są podejrzani dlatego, że podsunął nam ich Smułow. To tyle. Nic więcej nie mam do powiedzenia. A teraz przekonajcie mnie, że nie zwariowałam, wtedy spokojnie przystąpię do dalszej pracy. No dalej, chłopcy, dołóżcie mi.

Przy stole zapanowało milczenie. Stasow dopijał stygnącą kawę i myślał, że trudno będzie znaleźć argumenty podważające to, co przed chwilą usłyszeli. Muszą je jednak koniecznie znaleźć, bo inaczej... Co inaczej? Pozostanie pogodzić się z czymś, nie do pojęcia?

Smułow nie mógł zabić Aliny Waznis. To tak, jakby podpisał na siebie wyrok, zniszczył swój najlepszy film, przekreślił reżyserskie dokonania. Po co miałyby zabijać Alinę? Po co?

- Po co? - wyrwało mu się na głos mimo woli.

Korotkow powtórzył za nim jak echo:

- Po co? Asieńko, po co Smułow miałyby zabijać Alinę? Widzisz jakiś powód?

- Nie - pokręciła głową. - Nie widzę. I dlatego boję się, że to czysty absurd. Pozostaje dziennik. Może zawiera coś ważnego, choćby jakąś aluzję czy wzmiankę. Przejadę się do Gmyri, wezmę ten dziennik i będę go czytać dopóty, dopóki nie nauczę się tekstu na pamięć. Ale czuję przez skórę, że to nic nie da. Gdyby tam było coś demaskującego przestępcę, nie podrzuciliby dziennika Szalisce. Przecież zdawał sobie sprawę, że jeśli dotrzemy do Szaliski, znajdziemy również dziennik i przeczytamy go. Poza tym Gmyria powiedział, że zapiski prowadzone były od listopada 1993 roku do marca 1995 roku. Jeśli przyczyna zabójstwa pojawiła się później, to w dzienniku nie znajdziemy na ten temat ani słowa. Cała nadzieja w tym, że jest tam jakiś drobiazg, który pomoże przynajmniej cokolwiek zrozumieć. Przede wszystkim samą Alinę, prawdziwą, a nie tę namalowaną ręką genialnego artysty. Wiecie, czego jeszcze dowiedziałam się z filmów Smułowa? Że ma nas wszystkich za nic. Uważa, że jesteście głupcami.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Stasow uniósł brwi.

- Czy gdzieś się to pojawiło?

- W życiu codziennym Smułowa niczego nie dostrzegłam, ale w filmach wszystkie przestępstwa rozwiązują zamiast wywiadowców osoby zaangażowane w

sprawę. Małżonkowie zamordowanych, dzieci, bracia, przyjaciele. Wszyscy, tylko nie wywiadowcy i nie śledczy. Widocznie Smułow uważa milicjantów za ograniczonych i głupawych, a skoro tak, to pewnie gdzieś się pomylił, czegoś nie dopatrzył, zakładając, że i tak nie zagłębimy się w szczegóły. Każdy twórca dokonuje projekcji w swoich utworach, czy tego chce, czy nie, ale obdarza bohaterów swoimi emocjami. Przez to filmy Smułowa były do siebie tak podobne. Poruszały jeden i ten sam problem, który wciąż go dręczył. Co prawda tylko do *Odwiecznego strachu*. Potem nastąpił przełom. W Syriuszu uważają, że był on wynikiem rozkwitu miłości do Aliny, bo przecież od tego czasu również ona zaczęła grać o wiele lepiej. Może to tutaj powinniśmy poszukać?

- Wątpię - z pochmurną miną rzekł Korotkow. - Dwa lata to trochę dużo, żeby znaleźć przyczynę morderstwa. Przecież wszyscy twierdzą, że przez ostatnie dwa lata układało im się wspaniale. Myślisz, że cały ten czas udawali, ukrywając przed wszystkimi narastający powoli konflikt? Nie, to niemożliwe.

- Niemożliwe - przyznała Nastia. - Zaproponuj inny kierunek poszukiwań, zgodzę się na wszystko.

- Jasne, jak pojawiają się trudności, to od razu ja mam decydować - obruszył się Korotkow. - Spryciara z ciebie. Teraz nic nie wymyślę, zbiłaś mnie z tropu swoim wywodem. Wiesz, co proponuję? Zróbmy sobie przerwę. Ty jedź do Gmyri, weź od niego dziennik Aliny i przeczytaj go, a ja zajmę się dzisiaj innymi sprawami. Oprócz naszej gwiazdy filmowej na głowie mam jeszcze cztery inne zabójstwa. No właśnie, jeśli nie

chcemy się spóźnić do pracy, to musimy się zbierać, już kwadrans po dziewiątej.

- Tak, tak, Jurik, zaraz pojedziemy. No a ty, Sława? Czemu ciągle milczysz? Powiedz coś.

Stasow złapał się na tym, że słuchając Nasti, myśli o Tatianie. Ależ są podobne! Nie, oczywiście, różniły się. Kamieńska była szczupła i blada, a Tania postawna i przy kości, krew z mlekiem. Kamieńska pracuje jako detektyw, a Tatiana jako śledcza. Anastazja niedawno pierwszy raz wyszła za mąż, a Tatiana już dwukrotnie była mężatką i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wkrótce znowu stanie na ślubnym kobiercu z nim, Stasowem. Są zupełnie różne, a jednocześnie podobne do siebie w pewien nieuchwytny sposób. Może łączy je pasja, z jaką obie podchodzą do pracy? Tyle że Kamieńską pochłaniają sprawy zawodowe dzień i noc, a Tatianie robota śledczej już dawno obrzydła, ciągnie ją tylko ze względu na milicyjną emeryturę, a prawdziwą przyjemność czerpie z twórczości, pisze książki. Strasznie się za nią stęsknił...

- Co ja mogę powiedzieć? - odparł ze smutkiem. - Jeśli oczekujesz kontrargumentów podważających twoją teorię, mogę spróbować je zebrać. Porozmawiam dzisiaj jeszcze raz ze wszystkimi i dowiem się, kto tak naprawdę zaczął rozpowszechniać informację o Siemencowej i próbach nawiązania kontaktu z Kozyriowem. I w ogóle kto, co i kiedy słyszał od Smułowa o Alinie Waznis. Wtedy twoje domysły albo się potwierdzą, albo nie. Nic innego nie potrafię wymyślić.

Nastia łagodnie się uśmiechnęła.

- Bardzo ci dziękuję.

KAMIENSKA

Przez cały dzień Nastia czytała dziennik Aliny, zamknawszy się w swoim gabinecie, Gmyria miał rację, zapiski nie obejmowały ostatniego okresu. Zaczynały się 17 listopada 1993 roku, a kończyły 26 marca 1995. Żadnych wzmianek o konflikcie ze Smułowem. Wręcz przeciwnie, jeśli Alina wspomniała o nim, każde słowo przepelnione było bezgranicznym szacunkiem i wdzięcznością.

Sądząc z notatek, Alina często odczuwała gwałtowny spadek nastroju, ogarniał ją nieprzewidywany smutek, wpadała w chandrę. Czasami miewała powtarzający się nieprzyjemny sen, po którym długo nie mogła dojść do siebie. Na przykład 8 grudnia 1993 roku pisała tak:

Znowu przyszedł do mnie we śnie. Ta sama twarz z dużą brodawką, te same oczy, te same cienkie usta. Dziwne, że przez tyle lat zupełnie się nie zmienił. Wydaje mi się, że jego twarz wygląda ciągle tak jak wiele lat temu, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy. Jak to dobrze, że nie muszę już dłużej się bać...

O dręczącym ją śnie Alina napomykała 2 stycznia 1994 roku, 15 lutego, 7 maja, 20 września, a potem dopiero 2 marca 1995. Widocznie koszmar senny prześladował ją coraz rzadziej.

Od czasu do czasu pojawiały się uwagi na temat Pawła Szaliski, przeważnie o tym, „jaki z tego Paszy fajny gość, nie zapomniał zadzwonić do hotelu”. Ale konkretnych informacji czy, jak to się mówi, faktografii było w dzienniku tyle co nic. Alina nie po to prowadziła

dziennik, żeby opowiadać w nim o codziennych wydarzeniach ze swego życia. Był jej potrzebny, by mogła myśleć, analizować i dzielić się przeżyciami. Na przykład, aż dwanaście stron poświęciła staremu francuskiemu filmowi *Dwaj ludzie z miasta* z Jeanem Gabinem i Alainem Delonem:

Już drugi miesiąc chodzę nieprzytomna po tym filmie. Chciałabym wiedzieć, co w nim takiego jest, że nie mogę znaleźć sobie miejsca. Chciałabym pojąć, co zrobił Jean Gabin, jak to zrobił? Codziennie oglądam Dwóch ludzi z miasta i odkrywam coraz to nowe od-cienie jego gry, nowe niuanse, gesty... A może to wy-nik połączenia reżyserii i muzyki? Muszę to zrozu-mieć, nie uspokoję się, dopóki nie zrozumiem, dlacze-go jestem uzależniona od tego filmu.

I dalej na dwunastu stronach szczegółowa analiza filmu kadr po kadrze. Całość przypominała te zapiski, które Nastia otrzymała od Leonida Siergiejewicza Diegtiara.

Im dłużej Nastia czytała dziennik Aliny, tym więk-szego nabierała przekonania, że dla zabójcy nie przed-stawiał on żadnej wartości. Nawet jeśli założyć, że ja-kimś cudem się pomyliła i że Alinę zabił jednak Szalisko, nie miał on powodu, by kraść ten brązowy zeszyt. Nie było w nim nic, co mogłoby stanowić dlań zagrożenie.

W tym miejscu pojawiało się inne pytanie. Czyżby Alina Waznis prowadziła dziennik tylko w okresie między listopadem 1993 roku a marcem 1995 roku? Wykluczone. Musiała to robić przez wiele lat, może przez całe życie. Gdzie więc podziały się pozostałe zeszyty? Jeśli Nastia właściwie oceniła charakter aktorki, Alina

najprawdopodobniej nie przechowywała dzienników. Kiedy zeszyt się skończył, wyrzucała go. Lektura półtorarocznych zapisków pozwoliła Nasti zyskać niezbitą pewność, że Alina Waznis nie cierpiała na manię wielkości. Nie sądziła zatem, że jej dzienniki będą przedstawiały jakąś wartość dla przyszłych pokoleń, jak na przykład dzienniki Dostojewskiego czy Charlesa Chaplina. Robiła notatki wyłącznie dla siebie, dyskutowała niejako z niewidzialnym rozmówcą, wysuwała argumenty, stawiała pytania i szukała na nie odpowiedzi. Odkrywała duszę - i to wszystko. Jakby szeptała do studni. Wykorzystywała dziennik tylko do tego. Zresztą zeszyt, który leżał teraz przed Nastią, wymownie świadczył o tym, że nie był wielokrotnie czytany. Kartki miał czyste i niezniszczone, nie otwierał się sam w określonych miejscach, jak bywa podczas częstego wertowania. Przecież żadnej rozsądnej osobie nie przyjdzie do głowy, by nagrywać swoje rozmowy z bliskimi przyjaciółmi, a potem słuchać ich na okrągło. To niedorzeczne!

Jeśli jednak nawyk prowadzenia dziennika towarzyszył Alinie przez wiele lat, trudno uwierzyć, że ni z tego, ni z owego porzuciła to zajęcie. Wobec tego musiał gdzieś być zeszyt z późniejszymi notatkami. Tylko gdzie?

Odpowiedź nasuwała się sama: u Smułowa. Podobnie jak brylanty Aliny. I pieniądze, które przyniósł Charitonow.

Stop. Nastia się zagalopowała. Brednie. Podejrzanie padło na Smułowa tuż po odkryciu zwłok, zabójstwo kochanki z zazdrości to najbardziej oczywista hipoteza, którą sprawdza się w pierwszej kolejności, zwłaszcza że Smułow miał klucze do mieszkania Aliny. Jego

mieszkanie zostało natychmiast przeszukane, Nastia świetnie to pamiętała. Żadnych brylantów nie znaleziono. Ani sześciu tysięcy dolarów w pięćdziesięciodolarowych banknotach. Nie jest to wprawdzie dowód, ponieważ pieniądze i brylanty mogą być ukryte poza domem. Tak jak ostatni zeszyt z notatkami. Jeśli nie w domu, to gdzie?

A właściwie, czy jest w ogóle sens ich szukać? Jeśli Smułow rzeczywiście wszystko zaplanował, to bez względu na miejsce znalezienia pieniędzy i biżuterii nie będzie podstaw, by go o coś oskarżyć. Na pewno zadbał o to, żeby nie zostawić żadnych śladów czy „wskazówek”. Poza tym teraz Nastia była już całkiem pewna, że brylanty i koperta z pieniędzmi zostały komuś podrzucone, żeby skierować podejrzania na jeszcze jedną osobę, tak jak dziennik Aliny podrzucony został Pawłowi Szalisce. Jeśli Alinę zabił Smułow, nie zrobił tego dla korzyści, to nie ulega wątpliwości. Sukces *Oblędu*, gdyby film ukończono, przyniósłby reżyserowi o wiele większe pieniądze niż te, które ukradziono Alinie. Nastia sprawdziła, jakie honoraria otrzymywała Waznis, i odkryła, że nie wystarczyłyby jej na kupno mieszkania i samochodu z garażem. Z pewnością część biżuterii, i to spora, została sprzedana. Czy warto było z tego powodu zabijać aktorkę, z którą droga na szczyty sławy została jasno wytyczona? Sławy oznaczającej wielkie pieniądze? Nonsens.

A zatem można oczywiście szukać skradzionych kosztowności, ale tylko po to, żeby zwrócić je prawowitym spadkobiercom. Śledztwo nic na tym nie zyska. Pojawi się nowy podejrzany, jego zdemaskowanie pochłonie mnóstwo sił i czasu, a wszystko i tak okaże się

daremne. Jeśli Alinę Waznis zabił Smułow, nie zrobił tego dla pieniędzy. Co go więc popchnęło do morderstwa? Jaki miał w tym cel?!

Nastia postanowiła pojechać do Waznisów. Co prawda jutro jest pogrzeb Aliny, nie w głowie im rozmowy, ale mimo to... W końcu chodzi o morderstwo. Trzeba ich przydusić, żeby przypomnieli sobie wszystko, co wiedzą o ostatnich dwóch latach życia Aliny. Każdy drobiazg, każde słowo.

Nastia nie miała szczęścia. Drzwi zastała zamknięte, a od sąsiadki dowiedziała się, że cała rodzina pojechała na cmentarz, żeby dopilnować przygotowań do jutrzejszej ceremonii. Alina miała zostać pochowana w jednym grobie razem z matką. - Wie pani, trzeba zdemonstrować pomnik i ogrodzenie, żeby nic się nie zniszczyło, Ci grabarze to takie pijusy, że ktoś musi im ciągle patrzeć na ręce - tłumaczyła sąsiadka, znacząco przewracając oczami.

Nastia postanowiła zaczekać. Nieopodal domu Waznisów znalazła sympatyczny skwer zarośnięty krzewami i drzewami. Przysiadła na ławce, wyjęła papierosa, zapaliła i znowu pogrążyła się w lekturze dziennika Aliny. Może czytała go niezbyt uważnie i coś przegapiła?

Z zamyślenia wyrwał ją znajomy głos.

- Aśka? A co ty tutaj robisz? Ciebie też Pączek tu wyekspediował?

Z krzaków wyłonił się nie kto inny, tylko Kola Siełujanow.

- Cześć - rzuciła zdziwiona Nastia. - Gdzie miał mnie Pączek wyekspediować? Nie wiem, o czym mówisz.

- Jak to o czym? O zabójstwie Wołoszyna. Omawialiśmy je dzisiaj na odprawie. To tutaj, w sąsiednim domu. Myślałem, że dostałaś tę sprawę, i już się ucieszyłem.

- Nie, Koleńka, mam inne zadanie. Zajmuję się aktorką filmową.

- Ach, tą - odparł rozdrażniony Siełujanow, przeciągając słowa. - Jurka opowiadał mi wczoraj, gdy go raczyłem skromniutką kolacją. A co, mieszkała gdzieś w pobliżu?

- Dawno temu. Zostawiła tu rodzinę. Chciałam z nimi porozmawiać, ale nie ma ich w domu. No to czekam.

- W takim razie dotrzymam ci towarzystwa.

Nikołaj ulokował się obok, wyciągnął nogi i odchylił się na twarde, niewygodne oparcie.

- Ależ się dzisiaj nalatałem. Ten Wołoszyn nigdzie nie pracował, mieszkał z matką. Matka jest na emeryturze, w piątek pojechała do starszej córki na dachę, a gdy wróciła wczoraj wieczorem, znalazła syna martwego. Zaczęło już od niego zalatywać. Leżał prawdopodobnie jakieś trzy dni.

- Jak go zabito? - obojętnie zapytała Nastia tylko po to, żeby Kola się nie obraził i żeby podtrzymać rozmowę. Zupełnie nie interesował jej jakiś Wołoszyn, który leżał martwy od trzech dni...

- Dostał czymś ciężkim po głowie. Eksperci przyjrzą się temu dokładniej. Zobacz, jak oberwał.

Nikołaj wyjął kilka zdjęć i podał Nastii. Kamińska obrzuciła je przelotnym spojrzeniem i już miała zwrócić Koli, gdy nagle... Duża brodawka na policzku. Cienkie usta. Gdzieś widziała tę twarz. Ale gdzie?

- Kola, kim jest ten Wołoszyn? Wydaje mi się, jakbym go gdzieś widziała. Może mamy go w kartotece?

- Raczej nie. - Sielujanow wzruszył ramionami. - Złożyłem zapytanie, ale nie był karany ani zatrzymywany.

- Może występował w charakterze świadka?

- Masz ci los... - Kola wymownie rozłożył ręce. - Żądasz rzeczy niemożliwej, Anastazjo Pawłowno. Wątpię, żebyś go spotkała, to nie twój asortyment. O, zobacz. - Wyjął z kieszeni notes. - Pracował dorywczo. Tragarz, bezrobotny, rozładowywacz w sklepie nabiałowym, potem znowu bezrobotny i znowu tragarz. Później wyjechał gdzieś na dwa lata, matka mówi, że na Syberię, niedawno wrócił. Zwróciłem się tam o bliższe informacje, ciekawe, czym się zajmował przez dwa lata.

- Tak - odrzekła Nastia zmienionym głosem - to rzeczywiście ciekawe.

Dwa lata! Dwa lata... No oczywiście, to tę twarz z brodawką o cienkich ustach, opisała w swoim dzienniku Alina Waznis. Ta twarz jej się śniła i akurat dwa lata temu napisała, że dłużej już nie musi się bać. Dwa lata temu wszyscy zauważyli, że Alina zaczęła lepiej grać. I dwa lata temu ten Wołozyn, mężczyzna z brodawką, o cienkich ustach, mieszkający w sąsiedztwie domu, w którym się wychowała, wyjechał gdzieś na Syberię. A potem oboje, Alina i Wołozyn, zostali zabici niemal równocześnie. Czy to tylko zbieg okoliczności?

SIELUJANOW

Nazajutrz Nikołaj poleciał do Krasnojarska, skąd przedpotopowym „antkiem” tłukł się jeszcze dwie godziny do miasta rejonowego, potem milicyjnym łazikiem na miejsce, gdzie trwała budowa jakiegoś obiektu

Gazpromu. Właśnie na tej budowie pracował przez dwa lata jako niewykwalifikowany robotnik Wiktor Wołoszyn, zabity kilka dni temu w Moskwie.

Zaraz po przyjeździe Sielujanow odszukał dom, w którym mieszkał Wołoszyn. Okazało się, że dom należał do młodej, hożej niewiasty, która przyjechała gdzieś spod Tiumienia, pracowała na budowie i kupiła go po całkiem przystępnej cenie od jakichś starszych ludzi, którzy przeprowadzali się do dzieci w Krasnojarsku. Zaprosiła uprzejmie Nikołaja do środka, ale kiedy usłyszała nazwisko Wołoszyna, od razu przestała się uśmiechać.

- Coś mu się stało? - zapytała wystraszona, wpatrując się w Nikołaja zbyt mocno wymalowanymi oczami.

Potem długo płakała, przeplatając łkania urywanymi uwagami w stylu: „Czy mu tu źle było...”, „Pojechał na swoją zgubę”. W końcu się wyplakała i w miarę składnie opowiedziała historię znajomości z Wołoszynem.

Początkowo Wiktor mieszkał w hotelu robotniczym wraz z innymi, potem poznał ją, Raisę, i przeprowadził się do niej. Był trochę dziwny, jakiś taki dziki. Stale chodził do lasu, mówił, że las go uspokaja. W ogóle lubił naturę. Tłumaczył, że właśnie dlatego rzucił Moskwę, żeby mieszkać blisko tajgi. W sumie porządny był z niego facet, od alkoholu stronił, nie imprezował. Tylko dziwny.

Zamierzali się z Raisą pobrać, zaczęli nawet kupować rzeczy do domu - drogi telewizor, wideo, bo jakie tu, w tajdze, mogą być inne rozrywki. Kilka razy pojechali razem do Krasnojarska. Raisę ubrali od stóp do

głów, jemu też wybrali to i owo. Powoli zaczęli gromadzić wódkę na wesele.

Pewnego dnia na początku czerwca Wołoszyn znalazł Raisie, że musi wyjechać. Miał jakąś sprawę w Moskwie. Nie chciał słyszeć o żadnym ślubie, dopóki jej nie załatwi. A tak go prosiła, żeby nie jechał, tak płakała - wszystko na nic. Jak powiedział, tak zrobił. Spakował się i wyjechał.

- Zabrał ze sobą wszystkie rzeczy? - zapytał Siełujanow.

- Skąd znowu, gdzieżby tam wszystkie. Tylko to, co potrzebne na drogę. Ma przecież matkę w Moskwie, i siostrę, nie musiał szukać noclegu. Zresztą wybierał się najwyżej na dwa tygodnie. Obiecał, że dłużej tam nie zostanie. Wyszło jednak inaczej...

Znowu wybuchnęła płaczem, ale Kola szybko odwrócił jej uwagę, zadając kolejne pytanie:

- Niech pani powie, Rajeczko, dużo zarabiacie na budowie?

- Nie narzekamy. - Kobieta otarła oczy i pociągnęła nosem. - Jestem brygadzistką na odcinku, więc dostawałam oczywiście większą pensję niż Witia. On przecież nie miał kwalifikacji.

- I nie przeszkadzało mu, że właściwie siedział u pani na garnuszku? Za czyje pieniądze kupowaliście wszystkie te drogie rzeczy?

- Ależ za jego!

Rajeczka tak się zdziwiła przypuszczeniem Koli, że ktoś mógłby siedzieć jej na głowie, że nawet przestała płakać.

- Jak to: za jego? Z pensji zwykłego robotnika?

- A gdzie tam! Raz na trzy miesiące dostawał z Moskwy duże pieniądze. Witia opowiadał, że pożyczyl koledze pokaźną sumę na kilka lat i facet co trzy miesiące spłacał mu raty. Witia regularnie dostawał przekazy.

- Duże były te raty?

- Wie pan, przekazy zawsze opiewały na różne kwoty. Witia mówił, że kolega oddaje mu po pięćset dolarów przeliczonych na ruble po kursie obowiązującym w dniu nadania przekazu.

- A to ci dopiero - rzucił rozbawiony Siełujanow. - Też bym chciał mieć takiego przyjaciela, który by mi raz na trzy miesiące przysyłał pięćset dolarów. Rajeczko, a nie zachowała pani czasem odcinków?

- Owszem - westchnęła kobieta. - Witia chciał je wyrzucić, ale mu nie pozwoliłam.

- Dlaczego? Po co było zaśmiecać dom?

- No wie pan! - szczerze obruszyła się Raisa. - To przecież dług. Kto by zapamiętał, ile razy przyszły pieniądze? Jak by się potem do końca rozliczył? Co to, to nie.

- W sumie ma pani rację - przyznał Siełujanow. - Wezmę te odcinki, zobaczymy, co za przyjaciela miał ten pan Wiktor.

- Myśli pan, że mógł go?... Żeby nie zwracać długu?

- Czemu nie? W życiu wszystko się może zdarzyć - filozoficznie zauważył Nikołaj. - Niech mi pani od razu pokaże też jego rzeczy.

Raisa zniknęła w sąsiednim pokoju i wróciła po chwili, trzymając w rękach sześć odcinków przekazów pocztowych. I rzeczywiście, na każdym była inna kwota. Kola szybko przeliczył w pamięci, że za każdym

razem wychodziło istotnie pięćset dolarów. Nieźle się urządził ten Wołoszyn, zwłaszcza że nie mógł nikomu pożyczyć tyle pieniędzy, za mało zarabiał, kiedy mieszkał w Moskwie. Chyba że ukradł... Trzeba będzie sprawdzić wszystkie niewyjaśnione kradzieże, rabunki i rozboje w okresie poprzedzającym jego pospieszną ucieczkę ze stolicy. Może tajemnica zabójstwa kryje się w tym, że oszukał współnika? Natomiast aktorka Aśki nie ma tu nic do rzeczy?

Nikołaj otworzył szafę z ubraniami i zaczął przeglądać wiszące na wieszakach rzeczy Wołoszyna - garnitur, półkożuszek, kozuch, drogi angielski płaszcz, dwie pary nowych dżinsów, a także kilka dobrych koszul. Na wszelki wypadek sprawdził też kieszenie, ale nic w nich nie znalazł, żadnych kartek z zapiskami, zapomnianych listów czy telegramów.

- Rajeczko, a może Wiktor czytał książki?

- Czytał, a jakże. Nie mamy tu biblioteki, więc jeździł do rejonu i kupował. Stoją tu wszystkie.

Raisa wskazała półkę z książkami, wiszącą nad wezłowiec szerokiego dwuosobowego łóżka. Nikołaj zaczął wyjmować książki jedna po drugiej i niespiesznie kartkować.

- Czego pan szuka? - nie wytrzymała Raisa. - Niech pan powie, może wiem, gdzie to leży.

- Trudno powiedzieć, Rajeczko - otwarcie wyznał Siełujanow. - Szukam tak po prostu, może akurat na coś trafię.

- Jak pan chce - odparła cierpko, zacisnąwszy usta.

- Zaprosiłabym pana na obiad, ale nie wiem, co pan na to.

- A ja na to jak na lato - wesoło mrugnął Kola. Zorientował się, że niechcący obraził tę kobietę, odrzuciwszy jej pomoc, a ona przecież tak chciała się przydać w poszukiwaniach zabójcy jej niedoszłego męża.

Z zachowania Raisy Nikołaj wywnioskował, że zdążyła dobrze poznać gatunek zwierząt zwany facetami. Kiedy Wołoszyn nie wrócił ani po dwóch, ani po czterech, ani po sześciu tygodniach i nie dawał żadnego znaku życia, Raisa szybko domyśliła się, że i tym razem została na lodzie. Wołoszyn wyjechał w środku czerwca, od tej pory minęły już trzy miesiące i nie tracąca ducha Rajeczka dawno już wykreśliła dziwnego i nieco dzikiego Wiktora ze swego życia. Przestała na niego czekać i zapomniała o wyznaczonym ślubie. Takich „ślubów” miała pewnie w życiu sporo, więc przyzwyczała się traktować je lekko i nie wpadała przez nie w histerię. Toteż informacja o śmierci Wiktora nie oznaczała dla niej tragedii rujnującej życie. Raisa zwyczajnie popłakała sobie, po babsku litując się nad dobrym facetem, który mieszkał z nią przez półtora roku i zainvestował w jej gospodarstwo trzy tysiące zielonych.

Siełhjanow otworzył kolejną książkę pod tytułem *1001 pytań o „tym”* i na podłogę wpadła kartka. Schylił się i podniósł ją. Była to złożona we czworo połowa okładki czasopisma „TV Park” z 1 czerwca 1995 roku ze zdjęciem Aliny Waznis.

- Nie wie pani, czemu Wiktor to przechowywał? - zapytał krzątającą się w kuchni Raisę.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyła silnymi, okrągłymi ramionami. - Nigdy tego przedtem nie widziałam.

KAMIENSKA

Znowu nadszedł poniedziałek. Zabójstwo Aliny Waznis powoli odsunęło się na dalszy plan: w Moskwie popełnione zostały nowe zabójstwa, w tym bankierów, polityków, dziennikarzy, znanych adwokatów - pracownicy wydziału kryminalnego gorączkowo miotali się od jednego przestępstwa do drugiego, podejmując niezbędne działania, z niczym nie nadążali i szybko zapominali o tym, co zdarzyło się tydzień wcześniej.

W sobotę wrócił Kola Siełujanow, przywożąc ze sobą nowe informacje o Wiktorze Wołoszynie, sześć odcinków przekazów pieniężnych i złożoną we czworostronę okładki ze zdjęciem gwiazdy filmowej. Przekazy wysyłano z różnych urzędów pocztowych Moskwy i trzeba było niemal na kolanach błagać sześciu naczelników, żeby polecili swoim podwładnym zjawić się w niedzielę w pracy i przewertować teczki z kwitami.

Siełujanow zadzwonił do Nasti późnym wieczorem. Nic, ani głód, ani zmęczenie, ani bezsenność, nie było w stanie pokonać wrodzonego poczucia humoru detektywa.

- Mamy sytuację, jak w tym świńskim dowcipie z historycznym tłem: „mocz jest księcia Orleanu, a charakter pisma królowej”*.

- A prościej nie możesz?

Puenta dowcipu o Ludwiku XIV: pewnego dnia król wyrzwał rano przez okno i zobaczył, że na śniegu ktoś napisał moczem: „Król jest rogaczem”. Od razu kazał przeprowadzić śledztwo. Wkrótce sekretarz oznajmił mu wynik dochodzenia: „Mamy pewien problem, Wasza Wysokość. Mocz jest księcia Orleanu, a charakter pisma królowej” (przyp. tłum.).

- Jasne, że mogę. Adres i nazwisko nadawcy wszędzie inne i wszędzie lipne, natomiast charakter pisma jest ten sam.

- Czyj?

- No, kochana, teraz przesadziłaś. - Roześmiał się wesoło. - Najpierw daj mi próbki do porównania, a potem możesz pytać.

W poniedziałek rano Nastia rozłożyła na swoim biurku odcinki przekazów i dziennik Aliny. Jej hipoteza runęła w mgnieniu oka. To nie Alina wysyłała pieniądze Wołoszynowi. A hipoteza Nasti była tak obiecująca! Wołoszyn szantażował czymś Alinę, więc dziewczyna postanowiła się wykupić. Zawarli układ, że on wyjedzie, a ona będzie wysyłała mu pieniądze. Potem coś mu się nie spodobało, może kwota okazała się za mała, i wrócił... Całkiem prawdopodobne, że zabił Alinę. Słowem, gdyby się okazało, że to ona wysyłała pieniądze, można by spokojnie odrzucić niedorzeczną teorię dotyczącą Smułowa. Nastia odetchnęłaby wówczas swobodniej. Ciągłe nie pojmowała, co mogło popchnąć reżysera do morderstwa, i z tego powodu sama sobie wydawała się głupią fantastką.

Korotkow zastał ją wpatrującą się tępo w odcinki przekazów pieniężnych.

- Czym się tak martwisz, staruszko? Znowu kłapa?

- Na całej linii - potwierdziła ze smutkiem Nastia. - Wiesz, w głębi duszy miałam chyba nadzieję, że moje domysły na temat Smułowa okażą się fałszywe. Inaczej aż strach pomyśleć... Nie wiem nawet, jak to wyrazić. Utalentowany. Przystojny. No i brak motywu zabójstwa. Ja w każdym razie go nie widzę.

- A co on ci tu napisał?

- Gdzie?

- No tu.

Korotkow zrobił kilka kroków w stronę biurka i nachylił się, by dojrzeć prostokątne kartoniki.

- Przecież to jego pismo. Co to za karteczki?

- Odcinki przekazów do Wołoszyna. Kola Siełujanow przywiózł je z Krasnojarska. Zaczekaj, Juroczka, jesteś pewien, że to ręka Smułowa?

- Tak mi się wydaje.

Korotkow podniósł dwa odcinki i przysunął je sobie do oczu.

- Tak mi się wydaje - powtórzył w zamyśleniu. - Przyjmowałem od niego wyjaśnienie tamtego dnia, kiedy znaleziono zwłoki Waznis. Leży w aktach sprawy u Gmyri, można zlecić ekspertom porównanie. Na oko nie da się oczywiście kategorycznie stwierdzić, ale ten ogonek w kształcie pętelki przy literach „g” i „y” jest bardzo charakterystyczny, zwróciłem na niego uwagę.

Nastia szybko wystukała numer Gmyri. Śledczy obiecał wydać postanowienie o przeprowadzeniu ekspertyzy i razem z próbką tekstu, napisaną ręką Smułowa, przysłać przez gońca na Pietrowkę.

- Włóż swoje karteczki do koperty i zanieś Swietce Kasjanowej, zadzwonię do niej, żeby się z tym pospieszyła. Nie zapomnij też włożyć dziennika, poproszę ekspertów, niech przyjrzą się też pismu Waznis. Trzeba dmuchać na zimne. Może to ona jednak wysyłała przekazy, za każdym razem zmieniając charakter pisma.

- I upodobniała go do pisma Smułowa? - z niedowierzaniem spytała Nastia.

- Od razu widać, że nie masz dzieci - zaśmiał się do słuchawki śledczy. - Zasada życiowa, wiesz jaka? Kogo kochamy, tego naśladowujemy. Szczególnie, jeśli nie tylko kochamy, ale i podziwiamy.

Nastia odłożyła słuchawkę i włączyła grzałkę.

- Słuchaj, a Gmyria ma dzieci? - zapytała Korotkova.

- Pięcioro. Jest zaprawionym w boju ojcem. A co, nie wiedziałaś? Dlatego odszedł z wydziału kryminalnego. Mówił, że jeśli coś mu się stanie, żona nie utrzyma sama pięciorga dzieci.

Do końca dnia Nastia odwaliła niezły kawał roboty, pomagając kolegom przeanalizować zebrane materiały w sprawach różnych zabójstw, budując schematy i weryfikując hipotezy. Z przerażeniem myślała, że minął już dwudziesty, a ona ciągle nie przedstawiła szefowi comiesięcznego raportu o popełnionych w Moskwie zabójstwach i gwałtach. Sporządzanie takich raportów już od kilku lat było jej obowiązkiem, więc teraz na każdy dźwięk wewnętrznego telefonu czuła przyspieszone bicie serca: a nuż Gordiejew przypomniał sobie o niej i zaraz zażąda dokumentu?

Kopertę od Gmyri dostała koło piątej i od razu pojechała do ekspertów, aby odszukać Kasjanową. Gmyria po przyjacielsku nazwał ją Swietką, ale naprawdę Kasjanową była okazała damą w średnim wieku, która nie próbowała ukrywać pod farbą swoich siwych włosów, a do twarzy przyłgnał jej, zdawać by się mogło, że na zawsze, wyraz niechęci i niezadowolenia. Na szczęście powierzchowność okazała się złudna: Swietłana Michajłowna czarująco się uśmiechała i zanosila donosnym śmiechem.

- Ach, ten Borka! - mruzczała, szybko czytając postanowienie. - Będąc ojcem pięciorga dzieci, zachowuje się tak, jakby wszystkie rozумы pozjadał. Uważa, że jeśli ktoś ma tylko dwoje, to jest wolny jak ptak. No dobra, może się pani nie obawiać, w przeciwieństwie do Borki ja mam już dzieci dorosłe i nie muszę ich pilnować, nawiasem mówiąc, jestem już babcią. Poczekaj pani czy wytrzyma do jutra?

- Poczekam, jak długo trzeba - gorąco podziękowała Nastia. - I tak mam jeszcze mnóstwo pracy.

Wróciła do siebie i zabrała się do raportu, nie przestając rozmyślać nad dziwnym związkiem pomiędzy Aliną Waznis a niewykwalifikowanym robotnikiem Wiktorem Wołoszynem. Wygląda na to, że Alina знаła Wołoszyna od dawna, a znajomość nie należała do szczególnie przyjemnych. Wołoszyn pojawiał się w koszmarach sennych Aliny, po których dziewczyna wpadała w depresję. Potem, dwa lata temu, Wołoszyn wyjeżdża na Syberię, Alina musi o tym wiedzieć, bo oddycha z ulgą i sądzi, że może już się nie bać. Nie bać się... Dlaczego tak się go bała? Groził jej? Szantażował? Ale przecież skoro jeśli znali się tyle lat, jeszcze od czasu, kiedy mieszkali na sąsiednich ulicach, to dlaczego krewni Aliny nic o tym nie wiedzą? Bo przecież nie wiedzą. Korotkow odwiedził ich po pogrzebie Aliny, wymienił nazwisko Wołoszyna, pokazywał zdjęcie. Nie znali go i nigdy nie widzieli, w każdym razie nie pamiętali jego twarzy.

W ciągu dwóch lat pobytu na Syberii Wołoszyn regularnie otrzymuje spore przekazy pieniężne z Moskwy. A potem wraca. Trzy miesiące po jego powrocie

ginie tragicznie Alina Waznis, a później - on sam. Co się wydarzyło? I jaki związek ma z tym reżyser Andriej Lwowicz Smułow?

Bo nie ulega wątpliwości, że jest w to zamieszany. Stasow spełnił obietnicę i już w sobotę Nastia wiedziała, że „fala informacyjna” o brzydkich, bezdusznych i nietaktownych postępkach Aliny rozeszła się jednego dnia, 15 września. Smułow twierdzi, że tego dnia, w piątek, Alina pracowała poniżej możliwości, tłumacząc swój stan niespodziewanym sukcesem roboczego pokazu i bezsennością, którą wywołało radosne podniecenie. O pierwszej zakończyły się zdjęcia w wynajętym atelier i Smułow rzekomo poradził jej, żeby wróciła do domu, uspokoiła się i wyspała. W sobotę rano musiała być w dobrej formie, bo tego dnia znowu czekały ich zdjęcia od siódmej do pierwszej po południu. W piątek natomiast, jeszcze w czasie zdjęć, na horyzoncie pojawiły się pierwsze chmury - rozeszły się pogłoski, które miały wzbudzić negatywny stosunek do Aliny. Podczas przerw Smułow ciągle do kogoś dzwonił, ale nikt nie słyszał, o czym rozmawiał, bo mówił półgłosem. Kiedy zdjęcia się skończyły i Alina pojechała do domu, drobny kapuśniaczek przerodził się w prawdziwą ulewę. Widać więc wyraźnie, że Smułow przygotowywał zabójstwo Aliny. Ale dopóki nie wyjaśni się, dlaczego to uknuł, dopóki nie będzie przekonujących dowodów, że miał motyw zabójstwa, dopóty próby zdemaskowania go nie dadzą rezultatu. Nie ma żadnego bezpośredniego dowodu, są tylko poszlaki. A to oznacza, że trzeba za wszelką cenę zmusić Smułowa do wyznania prawdy. Zrobić to można tylko w jeden sposób: zmiażdżyć go znajomością szczegółów i prawdziwych wydarzeń.

Czas mijał niepostrzeżenie i Nastia bardzo się zdziwiła, gdy spojrzała na zegarek i zobaczyła, że była już prawie dziewiąta. O dziesiątej zadzwoniła wreszcie Kasjanowa.

- Adresy na przekazach pocztowych napisane zostały tą samą ręką co wyjaśnienie podpisane przez Smułowa - oznajmiła.

- Dziękuję pani, Swietłano Michajłowno. Jakie cukierki pani lubi?

- Od swoich nie biorę. - W słuchawce rozległ się gromki śmiech ekspertki. - Cukierków nie jadam, i tak mam nadwagę, a dobre wino wydębuję od Borki.

Czyli że jednak Smułow. Ale dlaczego?

Rozdział 9

KOROTKOW

Aśka ma rację, coś musiało się stać w przeddzień 14 września, żeby następnego dnia Smułow zaczął tworzyć opinię na temat Aliny Waznis i kształtować jej pośmiertny obraz. Kola Sielujanow zajął się „przymierzaniem” Smułowa do zabójstwa Wiktora Wołoszyna, a Jura od nowa przesłuchiwał pracowników Syriusza, odtwarzając godziną po godzinie czynności Aliny czternastego w czwartek. Od siódmej rano do pierwszej po południu trwały zdjęcia w dawnym studiu im. Gorkiego, tak było przez cały tydzień. Potem Alina pojechała razem ze Smułowem gdzieś na obiad. Następnie prawdopodobnie wpadła do domu, aby zmienić ubranie, bo obecna na pokazie roboczym asystentka reżysera Albikowa zauważyła, że na pokazie Alina zjawiała się w ładnym kanadyjskim kostiumie, podczas gdy na poranne zdjęcia przyjechała jak zwykle w spodniach i swetrze - i tak miała się przecież przebrać.

Pokaz roboczy rozpoczął się o piątej po południu i trwał do siódmej. Po jego zakończeniu Alina pożegnała się i odjechała. Wygląda na to, że wróciła do domu, ponieważ kilkoro jej znajomych zeznało, że dzwoniли do niej między dwudziestą a dwudziestą trzecią. W tym czasie była w domu. O ile na pokazie Waznis zjawiała się w znakomitym humorze, o tyle wieczorem była podeenerwowana, co zauważyli ci, którzy rozmawiali z nią przez telefon. Najwyraźniej nie miała ochoty na

pogawędki i starała się jak najszybciej zakończyć rozmowę, narzekając na ból głowy i zmęczenie.

A zatem jeśli coś się wydarzyło, to między piątą a ósmą wieczorem. Ten przedział czasowy należało gruntownie zbadać, minuta po minucie, sekunda po sekundzie. Jednakże okazało się, że właściwie nie było co badać. Od piątej do siódmej, a raczej do za dziesięć siódma, Alina razem ze Smułowem znajdowała się w sali projekcyjnej, a potem od razu wsiadła do samochodu i wróciła do domu. Smułow został w Syriuszu i do wpół do dziewiątej przygotowywał się z Eleną Albikową do zdjęć, które miały nastąpić następnego dnia. Korotkow nie sprawdzał dalszych ruchów reżysera, ponieważ do tego czasu Alina zdążyła już zademonstrować przez telefon swoje podenerwowanie i poruszenie. To znaczy, że coś musiało się wydarzyć przed wpół do dziewiątej. Tylko gdzie? W drodze do domu? Nie sposób teraz tego ustalić. Odpowiedzi udzielić mogła jedynie sama Alina. Pozostawało tylko szukać w przedziale pomiędzy piątą a siódmą. Ale czego szukać, skoro Alina siedziała wówczas w sali projekcyjnej i razem ze wszystkimi oglądała sfilmowany w plenerze materiał.

Korotkow ciężko westchnął i ruszył na poszukiwanie Stasowa. Dwadzieścia minut później siedzieli obaj w sali, a operator Wołodia puszczał im po kolei taśmy. Korotkow przypomniał sobie, że Kamińska poprosiła go, aby zwrócił szczególną uwagę na to ujęcie, które wywołało tyle dyskusji i szczerych, pełnych zachwytu pochwał.

- Diabli wiedzą, Jurik - zastanawiała się - może Waznis nie była wcale taką rewelacyjną aktorką, lecz po prostu strasznie się czegoś przestraszyła. Rozumiesz? Naprawdę się przestraszyła, a nie na potrzeby scenariusza. Stąd ta nagła bladość, zszarzałe usta i zapadnięte oczy. Przyjrzyj się dokładnie, a nuż zauważysz coś w kadrze.

Jura postanowił więc zacząć od tej sceny. Twarz aktorki zafascynowała go, tak wyraźnie odmalowywało się na niej narastające przerażenie, że Korotkow zupełnie zapomniał w tym momencie o prośbie Nasti i wpatrywał się wyłącznie w Alinę. Ekran zgasł i dopiero wtedy Jura się opamiętał.

- Proszę puścić jeszcze raz - odezwał się ze skrucą.

- Coś nie tak? - spytał zdziwiony Stasow. - Co za sens oglądać znowu to samo?

- Kompletnie zapomniałem, na co mam patrzeć - z irytacją stwierdził Korotkow. - Zagapiłem się na Alinę i wszystkie myśli uleciały mi z głowy.

Epizod zaczął się od początku. Tym razem Jura starał się nie zwracać uwagi na aktorkę, uważnie śledząc wszystko, co pojawiała się w kadrze.

- Stop! - zawołał. - Jest!

Przestraszony operator wyskoczył ze swego kantorka.

- Co się stało?

- Nic - odparł Korotkow już spokojnie. - Zatrzymaj projektor, wystarczy. I zapakuj taśmę do pudła, zabieram ją.

Wołodzia wzruszył ramionami i ruszył z powrotem do kantorka.

- No, co tam? - spyta! Stasow, zżerany ciekawością.
- Zobaczyła Wołoszyna. Ciekawe tylko, czemu tak się go przestraszyła?

SIEŁUJANOW

Matka zabitego Wiktora Wołoszyna nie potrafiła powiedzieć nic nowego. Nikołaja interesowała przede wszystkim odpowiedź na pytanie, czemu dwa lata temu Wiktor z takim pośpiechem wyjechał na Syberię, ale matka nic na ten temat nie wiedziała.

- Boże, tak się cieszyłam, że jedzie - mówiła przez łyżę. - Przecież tutaj, w Moskwie, nie robił nic sensownego. Średnią szkołę ledwie skończył, uczyć się nie chciał, fachu żadnego w rękach nie miał. Tragarz albo niewykwalifikowany robotnik. Czy to według pana zajęcie dla mężczyzny? Bywało, że wcale nie pracował. Nie mogę, mówi, mam, iść do pracy, głowa mnie boli. Aż mi ręce opadały. A wtedy spakował się w godzinę, pojadę, mówi, zarobię pieniądze, jakoś sobie poukładam życie. Ucieszyłam się, myślałam, że wreszcie poszedł po rozum do głowy. Wyjechał akurat w listopadowe święta. W wolne dni zebraliśmy się wszyscy razem, przyjechała córka z mężem i dziećmi, posiedzieliśmy, porozmawialiśmy, no i odprowadziliśmy Witę.

- A jak wrócił, co powiedział? Wyjaśnił jakoś, po co przyjechał?

- Nic nie wyjaśniał. Powiedział, że przyjechał w odwiedziny, bo się stęsknił. Miał ze sobą pieniądze, przez trzy miesiące nie wziął ode mnie ani kopiejki. Pomyślałam nawet, że zaczął tam, na Syberii, dobrze zarabiać.

- I czym się tu zajmował? Spotykał się z kimś? Czy spał całymi dniami?

- Ciągle gdzieś się włóczył, znikał rano i wracał dopiero wieczorem. Z każdym dniem robił się coraz bardziej zły. Zaraz po przyjeździe był normalny, wesoły, a potem zaczął chodzić jak struty. Po dwóch miesiącach prawie zupełnie przestał się do mnie odzywać. Później gdzieś wyjechał, nie było go tydzień. Może trochę dłużej, z dziesięć dni. Wrócił jakiś cichy, jakby spokojniejszy, znowu zaczął ze mną rozmawiać. Przez kilka dni wszystko było dobrze. W piątek rano wyszedł jak zwykle, a gdy wrócił koło czwartej, oczy mu błyszczały, ręce się trzęsły, jakby go ktoś podmienił. Wybierałam się pociągiem o szóstej do córki na daczę, namawiałam go, żeby się do mnie przyłączył. Jedźmy, mówię, Witiusza, będziesz miał tam spokój, świeże powietrze, pospace-rujesz sobie, zobaczysz się z siostrzeńcami. Odmówił. Nawdychałem się świeżego powietrza w tajdze, mówi, wystarczy mi do końca życia. No to pojechałam sama. Więcej nie zobaczyłam go żywego...

- Czy Wiktor nigdy nie opowiadał pani o osobie związanej z filmem?

- O kim? - Kobieta nie kryła zdziwienia.

- No, na przykład o reżyserze Smułowie.

- Nie - pokręciła głową. - O nikim takim nie wspominał.

- A o Alinie Waznis?

- Nie, nigdy.

- A pani sama o niej słyszała?

- No oczywiście, widziałam ją w telewizji. Ładna dziewczyna.

- A wie pani, że przez dwadzieścia lat mieszkała na sąsiedniej ulicy?

- Co też pan mówi! - Matka Wołoszyna klasnęła w dłonie. - Coś podobnego! Nie miałam pojęcia. A właściwie czemu pan o nią pyta? Czyżby mój Witusza ją znał?

- Nie wiem - westchnął Siełujanow. - Może znał. W tym sęk, że chcę się tego dowiedzieć, ale nikt nie potrafi mi pomóc.

Nie ma co się dziwić, myślał Nikołaj, opuszczając dom, w którym mieszkał i został zamordowany Wołoszyn. Często nie znamy sąsiadów ze swojej klatki schodowej, a co dopiero mówić o ludziach z sąsiedniej ulicy. Sławetna anonimowość życia w dużym mieście z jego blokowiskami, gdzie wszyscy zajęci są wyłącznie swoimi sprawami i nikogo nie obchodzą cudze problemy.

Postanowił spróbować podejść do tematu z drugiej strony i podążył tam, gdzie znany reżyser Andriej Lwowicz Smułow spędził dzieciństwo. Może uda się znaleźć jakichś jego starych przyjaciół i pociągnąć ich za język. Nikołaj nie umiał potem powiedzieć, jak wpadł na pomysł, żeby wziąć pod lupę dzieciństwo Smułowa. Czy ogarnęło go jakieś olśnienie, czy głos wewnętrzny mu to odpowiedział, a może stało się tak za sprawą profesjonalnego wycucia. Jakkolwiek było, pojechał tam, a po co - sam dobrze nie wiedział. Tak czy inaczej, pojechał. Tym właśnie różnił się od Kamieńskiej. Anastazja, zanim gdzieś pobiegła, długo się zastanawiała, kalkulowała, gdzie można się czegoś dowiedzieć, jak to zrobić i w jaki sposób wykorzystać zdobyte informacje. Nikołaj zazwyczaj w ogóle nie

przewidywał sytuacji nawet pół kroku naprzód, kierował się intuicją, a czasami zdawał się po prostu na los szczęścia, zwłaszcza kiedy nie wiedział, co dalej robić.

Starym zwyczajem zaczął od komisariatu milicji. Długie lata pracy w wydziale kryminalnym sprawiły, że Siełujanow prawie w każdym komisariacie miał jakiegoś znajomego. Znalazł go również i tutaj, w dzielnicy Zamoskworieczje, w komisariacie, którego rejon obejmował ulicę, gdzie kiedyś mieszkał Andriusza Smułow ze swoją mamą.

Fortuna, która tak długo odwracała się doń plecami, wreszcie przestała grymasić i ukazała Koli Siełujanowowi swoje jasne, piękne oblicze. Przyjaciel był na miejscu, okazało się, że Kolę pamięta, humor też mu dopisywał, w każdym razie chętnie odłożył swoje sprawy i zajął się gościem. Wyciągnął nawet z sejfu butelkę czegoś mocniejszego. Nazywano go Żyrafą. W dowodzie osobistym i legitymacji milicyjnej figurował jako Rafik Żygariewski, ale jego długa cienka szyja, płynnie przechodząca w chudy tułów, rodziła nieodpartą pokusę, by wykorzystać pierwsze litery nazwiska i imienia niezgodnie z ich przeznaczeniem.

- Smułow? - skrzywił się, wypijając duszkiem jedną trzecią szklanki wódki. - Ten reżyser? Wstrętny facet. Ale babę ma pierwsza klasa. Oko by ci zbiełało.

Siełujanow pociągnął duży łyk, ale nie dopił do końca. Poczul rozchodzące się w klatce piersiowej ciepło. Działo się tak zawsze, kiedy po długich i bezowocnych poszukiwaniach widział w końcu jakieś światełko. Żeby tylko teraz tego światełka nie stracić z oczu.

- Znasz go?

- Poniekąd... - Żyrafa śmiesznie potrząsnął długą szyją. - Przesłuchiwałem go kiedyś, będzie ze dwa lata. W sprawie zwłok.

- Rafik, postawię ci butelkę, tylko nie kręć - błagalnie odezwał się Siehujanow.

Wiedział, że Żyrafa nie lubi swego przezwiska, i w najważniejszych chwilach, kiedy zależało mu na przychylności przyjaciela, zwracał się do niego po imieniu.

- Co mam kręcić, aleś wymyślił. Na moim terenie pojawiają się zwłoki niejakiego Tatosowa. Sprawdzamy najbliższe otoczenie, ma się rozumieć. Bez rezultatu. Zaczynamy zataczać kręgi, sam wiesz. Przechodzimy do dalszych znajomych. Znowu nic. Facet jest powszechnie lubiany, kobiety za nim szaleją, mimo że, możesz mi wierzyć, nie ma się czym zachwycać. Gość nieatrakcyjny, niepozorny. Ale baby szaleją. W ogóle nikt o nim złego słowa nie powie. Co mamy robić? Przechodzimy do następnego kręgu: koledzy z uczelni. Potem bierzemy na tapetę kolegów z klasy. Okazało się, że żona kumpla ze szkoły rzuciła męża i odeszła do Tatosowa. Co prawda nie byli długo razem, dość szybko się rozstali, no i wydarzyło się to wszystko z dziesięć lat przed zabójstwem, ale dla porządku, sam rozumiesz, szukamy tego kolegi i pytamy go, gdzie szanowny pan był tego a tego dnia, o tej i o tej godzinie. Kolega ma alibi. Mówi, że był u swojej przyjaciółki, że można ją spytać, ona to potwierdzi.

Gnamy do tej przyjaciółki, ona przyznaje, że owszem, cały wieczór spędził u niej. Pytaliśmy właściwie bardziej z obowiązku, facet, rzecz jasna, nie miał motywu. Oto i cała historia.

- Jak to cała? - zniecierpliwił się Siełujanow. - A Smułow? Co on ma z tym wspólnego?

- Czego się wydierasz? - obruszył się Żyrafa. - Lepiej pij. Smułow był właśnie tym kumplem, którego rzuciła żona. Nawet go poważnie nie podejrzewaliśmy. Sam rusz swoim łysym łbem, żona odeszła dziesięć lat temu, a po kilku miesiącach rzuciła również Tatosowa. Żadni z nich rywale, na dobrą sprawę można by ich nazwać towarzyszami niedoli. To po pierwsze. Po drugie, minęło jednak dziesięć lat. A po trzecie, kiedy masz taką wystrzałową kochankę, jaką miał wtedy Smułow, nie w głowie ci zazdrość. A zwłaszcza sprzed dziesięciu lat.

- Nie pamiętasz nazwiska kochanki? - spytał Nikołaj z nadzieją.

- Daruj sobie te podchody, Kolanycz - mruknął Żyrafa. - My też nie wypadliśmy sroce spod ogona. Jej nazwisko zawierały wszystkie komunikaty. Waznis, aktorka. To z jej powodu przywlokłeś się tutaj, chyba nie zaprzeczysz?

- Szczerze mówiąc, przywlokłem się tutaj nie tyle przez nią, ile przez pewną bardzo dziwną i funta kłaków niewartą osobę. Nic ci nie mówi nazwisko Wiktor Wołoszyn?

- Nie. A co to za jeden?

- To facet, który znał Waznis i który został zabity dzień po tym, jak ją zamordowano.

- Ożeż - pokręcił głową Żyrafa, całym swoim wyglądem wyrażając współczucie. - Paskudna sprawa. Pomieszanie z poplątaniem. A od nas czego chciałeś się dowiedzieć?

- Czegokolwiek. Sam nie wiem. Może powinienem porozmawiać z kimś, kto dobrze znał Smułowa?

- To kiepski pomysł. Pamiętam jeszcze ze sprawy Tatosowa, że wszyscy przyjaciele z dzieciństwa się rozjechali. Nasza dzielnica jest stara i wszyscy przenieśli się do nowych domów. Niektórzy na podstawie wyroków sądowych, inni pozakładali rodziny, jeszcze inni zamienili mieszkania... Wszyscy są teraz koło czterdziestki, szkołę skończyli ćwierć wieku temu. Co oni mogą ciekawego powiedzieć? Aha, mieszka tu matka Smułowa. Podrzucić ci adres?

- Jasne. A kto zabił twojego Tatosowa?

- A licho wie. - Żyrafa znowu potrząsnął szyją i stał się zadziwiająco podobny do miłego tropikalnego zwierzęcia.

- Czyli że nie wiadomo?

- Nie wiadomo. A ty, Kola, wcale nie pijesz? Nalałem ci przecież tyle, co kot napłakał, a ty nawet tego nie chlapanąłeś.

- Piję, Rafik, piję - ze smutkiem powiedział Sielujanow. - Właśnie na tym polega mój problem, że piję. Ale tylko wieczorem, w domu. W ciągu dnia staram się trzymać fason. Gdybym tylko sobie pofolgował, nie dam rady pracować.

KAMIENSKA

Obraz zyskiwał coraz więcej nowych elementów, ale zamiast się klarować, jeszcze bardziej się gmatwał. Nastia ciągle miała wrażenie, że zasłona opadnie lada chwila, wszystko się poukłada, stanie się proste i

zrozumiały. Ale mgła wciąż gęstniała, skutecznie skrywając odpowiedź na tak proste pytanie: dlaczego reżyser Andriej Smułow zabił aktorkę Alinę Waznis.

Nastia utartym zwyczajem rysowała schematy, tak jej się lepiej myślało. 9 listopada 1993 roku zabity został niejaki Michaił Tatosow, zatrudniony na słabo opłacanej posadzie lekarza okulisty w przychodni rejonowej. 8 listopada, to znaczy w dniu poprzedzającym zabójstwo Tatosowa, Wiktor Wołoszyn wsiadł do samolotu i poleciał do Krasnojarska. 24 listopada funkcjonariusze milicji, rozwiązujący sprawę zabójstwa Tatosowa, przesłuchali jego dawnego kolegę ze szkoły Andrieja Smułowa i ustalili, że w dniu zabójstwa Smułow był najpierw na planie zdjęciowym, a później u swojej przyjaciółki, Aliny Waznis.

Wiktor Wołoszyn prawie dwa lata spędził na Syberii, w tym czasie raz na trzy miesiące otrzymywał z Moskwy od Smułowa pieniądze w kwocie równej pięciuset dolarom USA. 18 czerwca 1995 roku Wołoszyn wraca do Moskwy, a od 31 sierpnia do 9 września przebywa w Soczi, gdzie trwają zdjęcia do filmu *Oblęd* i gdzie spostrzega go Alina. Z jakiegoś powodu Alina wpada w panikę.

14 września podczas roboczego pokazu Alina znowu widzi na ekranie twarz Wołoszyna, wskutek czego raptownie traci humor. Dziwne. Przecież idąc na pokaz, wiedziała, że go zobaczy, a świadkowie twierdzą, że była w doskonałym nastroju.

To znaczy, że nie spodziewała się ujrzeć Wołoszyna w kadrze? No i co z tego, że kamera go sfilmowała? Skąd to zdenerwowanie i przerażenie?

15 września Smułow wychodzi ze skóry, żeby nastawić pracowników Syriusza negatywnie do Aliny. Późnym wieczorem tego samego dnia ktoś (dla zachowania czystości eksperymentu będziemy tak na razie określać mordercę) zabija Alinę. 18 września znowu ktoś (ten sam czy inny?) zabija Wiktora Wołoszyna.

Co za płątanina. Nic się nie układa. Smułowa nie można jeszcze ruszać, nie ma podstaw do zatrzymania, a podczas zwykłej rozmowy facet wykręci się sianem albo wywinie jakiś numer. Mistrz gatunku, niech go licho porwie...

Nastia siedziała z podwiniętymi nogami na małej kanapce, stojącej pod oknem w kuchni, rozłożywszy przed sobą na stole arkusze papieru ze zrozumiałymi tylko dla niej schematami. W pokoju Aleksiej oglądał telewizję, przyciszywszy dźwięk. Było już całkiem późno, ale nie kładł się spać, czekał na nią.

- Loszyk! - zawołała. - Może byśmy coś zjedli?

Losza zjawił się w kuchni, ogromny, niezgrabny, z niesfornymi rudymi kosmykami, które sprawiały, że wyglądał jakoś niepoważnie, zupełnie nie przypominał doktora nauk i profesora, którym był naprawdę.

- Jesteś głodna?

- Tak sobie, ale mózg odmówił mi posłuszeństwa. Muszę się odprężyć. Zostało nam coś z kolacji?

- Kura z ziemniakami. Zjesz?

- Pewnie.

Nastia szybko poskładała arkusze i zabrała się do krojenia chleba i nakrywania do stołu, podczas gdy Loszka odgrzewał resztkę pieczeni. Nastia zupełnie nie

miała apetytu, ale gorący posiłek stanowił znakomitą chwilę relaksu.

- Loszyk, jak myślisz, czego normalni ludzie mogą się najbardziej bać?

- Śmierci - odparł prędko. - Tego w pierwszej kolejności.

- A w drugiej?

- Upiorów.

- Żarty się ciebie trzymają, pytam poważnie.

- A ja ci poważnie odpowiadam. Kiedy na przykład jesteś sama w mieszkaniu i nagle słyszysz dziwny dźwięk, który rozlega się gdzieś obok, nie cierpnie ci skóra ze strachu?

- Jasne, że cierpnie.

- No właśnie. A teraz się zastanów: wiesz przecież, że w mieszkaniu jesteś sama, że nikogo innego w nim nie ma. Więc czego się boisz?

- W sumie może jest w tym trochę racji... - Nastia w zamyśleniu obróciła w rękach butelkę z keczupem, zastanawiając się, czy dodać go do pieczenia, czy nie. - W gruncie rzeczy ludzie boją się rzeczy niewytłumaczalnych, tego, co wykracza poza granice ich pojmowania. Między innymi upiorów.

Alina zna Wołoszyna od wielu lat i boi się go. Potem Wołoszyn wyjeżdża. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Alina o tym wie, bo pisze w swoim dzienniku, że nie musi się go dłużej bać. Prawdopodobnie Smułow zapłacił Wołoszynowi, żeby wyjechał i zostawił Alinę w spokoju. Na razie wszystko pasuje... Wołoszyn wraca i staje twarzą w twarz z Aliną. Nieprzypadkowo. Jedzie tam, gdzie w danej chwili trwają zdjęcia. Szuka jej. Po

co? Dobra, to później. Alina widzi go i... Jest tak wystraszona, jakby zobaczyła upiora. Nie mężczyznę, który jest jej niemiły i którego się boi, ale zjawę. Na jej twarzy maluje się wyraz tak autentycznego przerażenia, że wydaje się, jakby była na skraju obłądu. A czym jest zjawą? To obraz zmarłej osoby. Alina sądziła, że Wołoszyn nie żyje, właśnie dlatego była przekonana, że nie musi się go więcej bać. Przecież gdyby po prostu wyjechał, to w każdej chwili mógłby wrócić. W dzienniku nie było jednak na ten temat ani słowa. Ani razu, opisując koszmar senny, Alina nie wspomina, że mężczyzna o cienkich ustach, z brodawką na policzku, może pojawić się znowu. Nie, za każdym razem pisze z przekonaniem: „Jak to dobrze, że nie muszę dłużej się bać”.

- Wszystko rozumiem - rzekła Nastia, kierując słowa gdzieś w przestrzeń.

- Co rozumiesz?

- Wszystko- powtórzyła, bezmyślnie się uśmiechając. - Teraz wszystko rozumiem. Loszka, kura jest pyszna. Dołóż mi jeszcze kawałek, proszę.

KOROTKOW

Do Smułowa pojechali we troje: Gmyria, Anastazja i on, Korotkow. Przez cały dzień przygotowywali się do rozmowy, ustalając kolejność pytań i pułapek, odrzucając jedną wersję za drugą, wpadając w rozpacz i od nowa zabierając się do pracy.

Gmyria był zwolennikiem frontального ataku.

- Uważam, że trzeba go spytać prosto z mostu, najlepiej jeszcze w drzwiach. Z miejsca się pogubi.

- Ależ skąd, Borisie Witaljewiczu, wprost przeciwnie, jak tylko nas zobaczy, od razu stanie się czujny i nieufny. Musimy najpierw odwrócić jego uwagę, sprawić, żeby się rozluźnił i uspokoił - gorączkowała się Nastia. - Smułow jest osobą o nieprzeciętnym umyśle, utalentowaną i niezwykłą. Jeśli za pierwszym razem nie trafimy w dziesiątkę, nieraz nas jeszcze zaskoczy.

- A dlaczego sądzisz, że nie trafimy? - zdziwił się śledczy. - Czyżbyś nie wierzyła w nasze snajperskie umiejętności?

- Żarty pan sobie stroi, a ja po prostu czuję przez skórę, że trzeba wymyślić coś takiego...

Ale co konkretnie, nie potrafiła wytłumaczyć.

Smułowa znaleźli w Syriuszu, dorwali go na korytarzu i z miłym uśmiechem na ustach zapytali, gdzie mogliby z nim porozmawiać. Tylko chwilę, ale żeby koniecznie był stół, bo trzeba sporządzić protokół. Andriej Lwowicz sam ułatwił im zadanie, proponując gabinet Stasowa. Sława, jak wcześniej uzgodnili, był na miejscu, czekał.

- Mam wyjść? - spytał uprzejmie.

- Skądże znowu, Władisławie Nikołajewiczu, my do słownie na pięć minut, nie mamy żadnych tajemnic. Nie chcemy panu przeszkadzać. - Nastia rozplęwała się w uprzejmościach.

Rozlokowali się wygodnie. Gmyria usiadł przy biurku i przystąpił do pisania protokołu. Smułow i Korotkow opadli na fotele dla interesantów, a Nastia razem

ze Stasowem przycupnęli w kąciку, gdzie stały dwa dodatkowe wygodne i miękkie fotele. Śledczy zaczął wypełniać blankiet, przepisując z poprzednich protokołów dane osobowe Smułowa.

- Andrieju Lwowiczu, bardzo obraził się pan na swoją mamę, kiedy na pańskie pytanie, czy pana kocha, roześmiała się w odpowiedzi?

Smułow gwałtownie drgnął i odwrócił się do Nasti.

- O co pani chodzi? - zapytał wzburzony.

- O nic - odparła spokojnie. - Po prostu przejrzałam pańskie filmy i zobaczyłam, że ten motyw występuje we wszystkich obrazach. Również w tych, które nakręcił pan przed poznaniem Aliny. No a później nasz funkcjonariusz porozmawiał z pańską mamą. Tak więc to ona, a nie Alina, tak pana zraniła. Czemu pan nas oszukał?

- Nie oszukałem. Niestety Alina podobnie mnie dotknęła. A o tamtym dziecięcym epizodzie już dawno zapomniałem.

Smułow uśmiechnął się i spróbował usiąść swobodnie, zakładając nogę na nogę. Ręce, leżące do tej pory luźno na kolanach, skrzyżował na piersiach, co Korotkow odebrał jako sygnał, że reżyser zrobił się ostrożny, że „zamknął się”, choć do tej chwili nie wyczuwał żadnego niebezpieczeństwa w rozmowie.

- Coś chyba pamięć panu szwankuje - włączył się Gmyria, nie podnosząc głowy znad protokołu. - Nie dalej jak dwa miesiące temu był pan u matki i wygarnął jej pan znowu, że nigdy pana nie kochała. I przypomniał pan ten epizod.

- Ale co ma do tego moja matka? Czego chcecie dowieść?

- Niczego nie chcemy dowieść - łagodnym tonem odezwała się Nastia ze swego kącika. - Po prostu zależy nam na tym, aby zrozumieć, dlaczego przez cały czas mówi pan nieprawdę. Zamierzamy teraz zadać panu kilka pytań i obawiamy się, to chyba oczywiste, że znowu zacznie pan nas oszukiwać.

- Dlaczego sądzicie, że mówię nieprawdę? Proszę wyrażać się jaśniej.

- Do diabła, przecież ciągle pan kłamie! - wybuchnął Korotkow zgodnie z rolą przewidzianą dla niego w scenariuszu. - To pan oszukał Alinę, powiedział jej, że zabił pan Wołoszyna, a w rzeczywistości sprowokował go do wyjazdu i wysyłał mu pieniądze, żeby jak najdłużej nie wracał. To pan nam powiedział, że Alina miała mocne nerwy i nigdy nie zażywała silnych środków uspokajających, tylko walerianę albo serdecznik. Przecież pan bez przerwy kłamie.

W tym miejscu ich plan przewidywał szereg pytań zupełnie niezwiązanych z tematem. Podczas odpowiedzi w głowie Smułowa będzie kołatała się myśl, że wywiadowcy wiedzą o Wołoszynie. To zmusi go do szybkiego podjęcia decyzji, czy zareagować na tę prowokację, czy udać, że nie zwrócił uwagi, nie usłyszał albo nie zrozumiał. A oni nie będą do tego wracali, póki facet nie „dojrzeje”. Nie mogą mu pozwolić, żeby się uspokoił i odprężył, bo gdy będzie spokojny, z godnością przyjmie niespodziewane uderzenie, zdoła się szybko opanować i nie straci pewności siebie. Natomiast myśl o Wołoszynie wytrąci go z równowagi, będzie się denerwował, zastanawiając się jednocześnie nad niebezpieczną, rzuconą mimochodem przez Korotkova uwagą

i nad pytaniami, którymi zarzuci go Gmyria. I dopiero wtedy, kiedy się zmęczy i osłabnie, będą mogli zadać mu ostateczny cios. Zupełnie z innej strony, niż Andriej Lwowicz się spodziewał.

- Proszę powiedzieć, za czyje pieniądze kupione zostało mieszkanie Aliny Waznis?...

- Za czyje pieniądze kupiony został samochód?...

- Garaż?...

- Czy Alina nie sprzedała czasem części biżuterii matki?...

- Co konkretnie sprzedała? Kiedy? Komu? Za ile?

- Jakie honoraria otrzymywała Waznis za udział w pańskich filmach?

- Kto sporządzał kontrakty? Jakie sumy w nich figurowały? Od jakich sum Alina płaciła podatki?

- W jakim banku Alina trzymała swoje oszczędności? Dlaczego właśnie w tym banku? Kto jej poradził właśnie ten typ rachunku?

- Dlaczego zabił pan Tatosowa?

ANDRIEJ SMUŁOW I ALINA WAZNIS

Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze nienawidził Miszki Tatosowa.

Andriusza Smułow przez całe dziesięć lat spędzonych w szkole był prymusem. Zdolny i utalentowany chłopiec, nie miał żadnych problemów z nauką. Nauczyciele ciągle stawiali go innym za przykład, Andriej wygrywał międzyszkolne i miejskie olimpiady z literatury i historii.

Miszka Tatosow balansował między trójkami a celówkami z tych przedmiotów, które go nie interesowały, celujące oceny otrzymywał tylko z chemii i biologii, no i jeszcze z fizyki, ale wyłącznie w tym krótkim okresie, kiedy przerabiali optykę. Pozostałych działów fizyki nie znał i nie chciał znać. Andriuszę Smułowa nauczyciele chwalili, ale Miskę uwielbiali, rozpieszczali i wybaczaali mu wszystko, nawet szczerą niechęć do uczenia się ich przedmiotu.

Andriusza Smułow był najładniejszym chłopcem w trzech równoległych klasach, dziewczyny biegały za nim, piwały doń liściki, drżały w oczekiwaniu na odpowiedź. Andriej zawsze miał możliwość szerokiego wyboru, ale kiedy jego spojrzenie zatrzymywało się na jednej z kandydatek, niespodziewanie i niewiarygodnie szybko wszystko kończyło się. Zapraszał dziewczynę łaskawie do kina, a w starszych klasach na dyskotekę, lecz po jakichś dwóch dniach panna przestawała go zauważać i nawet zaczynała jakby unikać.

Miszka Tatosow był najnikczemniejszej postury w klasie, najbrzydszy i piegowaty. Nikt za nim, rzecz jasna, nie biegał i nie podrzucał mu liścików. Jeśli jednak Miszce spodobała się jakaś dziewczyna, natychmiast wkraczał do akcji. Nikt nie wiedział, czym ją sobie zjednywał, ale po kilku dniach dziewczyna chodziła za Miszką jak cień i trwało to do tej pory, póki sam jej nie rzucił, wybrawszy nowy obiekt do amorów.

Na urodzinach Miszki zbierała się cała klasa. Pewnego roku Andriej również postanowił urządzać urodziny klasowe, zaprosił wszystkich i każdego z osobna,

poprosił matkę, aby przygotowała poczęstunek. Długo potem przewracał się z boku na bok, zaciskając pięści i połykając łzy. Przyszły tylko dwie koleżanki z klasy, jedna akurat kochała się w nim skrycie, a druga była nowa.

Przez wszystkie te lata Andrieja dręczyło tylko jedno jedyne pytanie: dlaczego? Dlaczego brzydkiego, niepozornego trójkowicza, Miskę Tatosowa, wszyscy ubóstwiają, a jego, ładnego i niewątpliwie zdolnego, unikają? Dlaczego? Andriej zazdrościł mu i nienawidził go za tę zazdrość. Dlaczego tak się dzieje, że on, wybitna i niepospolita jednostka, musi zazdrościć jakiemuś prymitywnemu typowi!

W dziewiątej klasie Andriej złamał rękę i dopóki nie zdjęto mu gipsu, nie wychodził z domu. Odwiedzała go tylko jedna osoba - Miszka Tatosow. Andriejem miotały sprzeczne uczucia - nienawiść do Miszy i wdzięczność za to, że go odwiedzał. Któregoś razu Miszka przyszedł wieczorem, kiedy matka Andrieja była w domu. Przez grzeczność zajrzała do pokoju chłopców, przyniosła herbatę i paszteciki, wymieniła z Miszką parę nic nieznaczących zdań i... została z nimi. Przesiedziała w pokoju Andriusza bite dwie godziny, wesoło gawędząc z Miszą, śmiejąc się z jego żartów, od czasu do czasu sama coś opowiadała, patrząc przy tym na Miszę, a nie na syna.

Kiedy gość się pożegnał, odprowadziła go, zamknęła za nim drzwi i wróciła do Andrieja.

- Jaki sympatyczny chłopak - powiedziała. - Czemu tak rzadko nas odwiedza? Powiedz mu, żeby wpadał częściej.

Andriem aż szarpnęło.

- Ze mną nigdy nie siedzisz godzinami - stwierdził z wyrzutem. - I nigdy mi nic nie opowiadasz. W czym Miszka jest lepszy ode mnie?

- To taka ciepła osoba. Prawdziwie ciepła i dobra. Było mi dobrze w jego towarzystwie.

- A ze mną jest ci źle?

- Synku, ty przecież nikogo nie słuchasz. Nie interesuje cię nikt poza tobą samym.

Od tego czasu nienawiść do Miszki stała się stokroć silniejsza. Andriem uważał, że Miszka Tatosow ukradł mu miłość matki. Ojciec zostawił ich dawno, matka była ładną młodą kobietą i oczywiście spotykała się z mężczyznami. Niektórzy odwiedzali ich w domu, ale Andriem nigdy nie był o nich zazdrosny. Dorosła kobieta musiała mieć dorosłego mężczyznę, to nie ulegało wątpliwości. Ale zachwyty Miszka to była całkiem inna sprawa. Dla matki powinien istnieć tylko jeden chłopiec na świecie - on, jej syn. A już na pewno nie Miszka Tatosow.

Po skończeniu szkoły podjęli studia. Andriem w szkole filmowej, a Michaił w akademii medycznej. Jak dawniej mieszkali w tej samej dzielnicy i często się spotykali, to na ulicy, to w sklepie. W wieku dwudziestu sześciu lat Smułow ożenił się z dziewczyną, w której był szalenie zakochany, i podczas jednego z takich przypadkowych spotkań poznał ją z Tatosowem. Miszka, jego rówieśnik, do tego czasu zaczął jużłysieć i ze swoim niziutkim wzrostem oraz głębokimi mimicznymi zmarszczkami przypominał staruszkę. Ale oczy błyszczały mu ciągle wesoło, a głos był aksamitny i wibrujący.

Półtora roku po ślubie żona oznajmiła Andriejowi, że odchodzi do Tatosowa.

- Ale dlaczego? - krzyczał Smułow, z trudem powstrzymując łzy wściekłości. - Co ci się we mnie nie podoba? W czym Miszka jest lepszy ode mnie?

- We wszystkim - ze znużeniem odpowiadała Galina. - Ty jesteś zimnym egoistą, a od innych chcesz tylko jednego, żeby cię podziwiali, zachwycali się twoją urodą i talentem. Tylko po to ich potrzebujesz. Wykorzystujesz ludzi do tego, żeby przeglądać się w nich jak w lustrze i zachwycać się swoją doskonałością. Chcesz, by cię traktowali jak wyrocznie, a ty byś nimi pomiatał. Chcesz, żeby cię kochano i wielbiono, ale w zamian nic nie potrafisz oferować.

- A co on takiego daje w zamian?

- Wszystko. Całego siebie. Słucha ludzi, współczuje im, pociesza, pomaga, nawet jeśli są dla niego zupełnie obcy. Jest pełen wewnętrznego ciepła, rozumiesz? W jego towarzystwie każdy czuje się lekko i dobrze. Życie z tobą jest natomiast zimne i nieciekawe. Skostniałam przy tobie. Potrafisz to pojąć?

Nie potrafił. Rozpaczliwie pragnął, żeby otaczali go ludzie, którzy by go kochali i garnęli się do niego. Chciał być w centrum uwagi. Otaczała go jednak pustka.

Galina odeszła do Tatosowa, a po kilku miesiącach Michaił ją rzucił. Jej miejsce zajęła nowa wybranka, jeszcze piękniejsza od Galiny. Smułow myślał, że Galina do niego wróci. Początkowo zamierzał ją upokorzyć, dać jej porządną nauczkę, a później okazać szlachetność i otworzyć ramiona. Jak to dobrze, że nie wzięli rozwodu, myślał. Ale z jakiegoś powodu Galina nie wróciła.

Smułow sam pojechał do jej rodziców, zawiązał kwiaty i cukierki i zaproponował żonie powrót.

- Nie. - Pokręciła głową.

- Ale dlaczego?

- Będę czekała. Może Miszka zmieni decyzję.

- Nie zmieni! Ma już nową babę, a po niej będzie następna.

- To bez znaczenia. Wrócę do niego, jeśli tylko zechce. A do ciebie nie wrócę.

Miłość do Galiny minęła dość szybko. Nienawiść do Tatosowa żyła w nim dalej, zapuszczając korzenie coraz głębiej, rozkwitając i rozrastając się. Smułow zabrał się do swego pierwszego filmu, włożywszy w obraz cały swój ból. Dwaj główni bohaterowie byli zadziwiająco podobni do niego i do Miszy Tatosowa. Ponury przystojniak, którego nikt nie rozumie i wszyscy podejrzewają o popełnienie zabójstwa, i wesoły, dobroduszny, uwielbiany przez wszystkich brzydal, który na końcu filmu okazuje się prawdziwym zabójcą, okrutnym i głęboko amoralnym.

Film odniósł sukces i przyniósł Andriejowi popularność. Ale w duszy Smułowa nic się nie zmieniło. Nadal nie rozumiał, dlaczego nikt go nie kocha, dlaczego kobiety tak szybko i lekko się z nim rozstają, dlaczego otacza go kompletna pustka. Tak przecież pragnął być kochany...

W wieku trzydziestu sześciu lat poznał Alinę. Początkowo widział w niej wyłącznie piękną kobietę. Jej wewnętrzny świat zaczął go interesować dopiero wtedy, gdy zapragnął skłonić ją, żeby zagrała przed kamerą tak, jak to sobie zaplanował. Tymczasem całkiem niespodziewanie spotkał się z zachwytem i wdzięcznością

z jej strony. Alina dała Smułowowi to, czego nigdy nie udawało mu się odnaleźć w kobietach. Był szczęśliwy.

Opowiedziała mu, co prawda nie od razu, o swoim strachu, o mężczyźnie, który prześladowa ją od wczesnego dzieciństwa i którego boi się tak bardzo, że traci zdolność normalnego funkcjonowania. Andriej już wiedział, że Alina Waznis to „jego” aktorka, i zrobił wszystko, co było w jego mocy, żeby pomóc jej odzyskać wewnętrzny spokój. Kochał ją, bo ona kochała jego. Wielbiła. Patrzyła jak w tęczę, chwytając każde słowo. Doceniała jego talent i wierzyła, że jest najlepszy. Ale strach wciąż jej nie opuszczał. Smułow powoli zaczął tracić nadzieję.

Pewnego dnia Alina z goryczą wyznała:

- Tak wiele dla mnie robisz i tak mi przykro, że wszystko na nic. Czeka nas absolutna klęska.

- Ależ skąd, kochanie - przekonywał ją Smułow. - Przecież cały czas jestem z tobą, a dopóki masz mnie przy sobie, ten człowiek się do ciebie nie zbliży.

- Nie możesz być przy mnie zawsze. A dopóki on żyje, ja nie zaznam spokoju.

Smułow długo rozpamiętywał tę rozmowę. Wreszcie zrozumiał, że dopóki żyje Miszka Tatosow, on, Andriej Smułow, nie zazna spokoju. Nienawiść i zazdrość gnębią go, zżerają od środka, nie pozwalają oddychać, zaślepiają. Wszyscy mówią, że się wypalił, że Smułow to „reżyser jednego filmu”. Dzieje się tak dlatego, że nienawiść do Michaiła zmusza go do nieustannego wylewania żalu w swoich filmach. Pytanie: dlaczego? Poszukiwania odpowiedzi nie przynoszą rezultatu. Andriej odetchnie z ulgą dopiero wtedy, kiedy pozbędzie się Tatosowa.

Kiedy nie będzie miał komu zazdrościć i kogo nie-
nawidzić.

Alina kilkakrotnie pokazywała mu tego mężczyznę,
który ją prześladował:

- To on, zobacz. Znowu za mną chodzi.

- Zgłośmy to na milicję - proponował Andriej. - Za-
raz go złapię i zaprowadzę do komisariatu. Napiszesz
doniesienie i wsadzą go do aresztu.

- Za co? Nie ma do tego podstaw.

- Bzdura, zawsze można zarzucić mu chuligaństwo.
Dostanie nauczkę.

- A co mam napisać w doniesieniu?

- Jak to co? Wszystko po kolei.

- Nie - trzęsa się ze strachu Alina. - Nie jestem w
stanie im tego opowiedzieć. Pali mnie wstyd.

Smułow dobrze zapamiętał twarz mężczyzny. Wie-
dział, że mieszka gdzieś w sąsiedztwie rodziców Aliny,
więc z łatwością go wytropił.

- Słuchaj, gnojku - powiedział cicho i groźnie. -
Dam ci pieniądze, tylko wyjedź stąd na zawsze. Rozu-
miesz? Mogę cię raz, dwa posłać za kratki, ale szkoda
mi Aliny. Wykończyłeś ją, okaleczyłeś psychicznie. Ile
chcesz za to, żebyśmy ani ona, ani ja nigdy więcej się
nie zobaczyli?

Rozmawiali niezbyt długo. Wołoszyn wymienił kwo-
tę, która była w zasięgu Smułowa.

- Masz tu pieniądze na bilet - powiedział Andriej,
wyjmując portfel. - Wyjedź natychmiast, jak najdalej
stąd. Jutro znowu się tu spotkamy, pokażesz mi bilet.

Wołoszyn kupił bilet do Krasnojarska na 8 listopa-
da. Wówczas Smułow zaczął obmyślać swój plan. Był 31
października.

8 listopada Smułow przyjechał na lotnisko, przekonał się, że Wołoszyn odleciał, a nazajutrz wybrał się do dzielnicy Zamoskworieczje, gdzie upłynęło jego dzieciństwo gdzie do tej pory mieszkał Michaił Tatosow.

Smułow gotów był podjąć kilka prób, zanim nadarzą się sprzyjające okoliczności. Miał jednak szczęście. Okoliczności ułożyły się pomyślnie już pierwszego dnia. Smułow stał na klatce schodowej, wcisnąwszy się w głąb nieoświetlonej wnęki pomiędzy zewnętrznymi a wewnętrznymi drzwiami wejściowymi. Czekał, kiedy Tatosow będzie wracał z pracy. Michaił pojawił się sam, na klatce schodowej nikogo w tym momencie nie było. Smułow rozplątał mu czaszkę jednym uderzeniem kamienia. Michaił był od niego o wiele niższy, więc bez Problemu wymierzył mu cios.

Zaraz potem pojechał do Aliny.

- Zabiłem go - powiedział, osuwając się na kanapę I zakrywając twarz rękami. - Ta kanalia nie będzie cię więcej straszyć. Możesz teraz prowadzić normalne życie. Tylko proszę cię, kochanie, jeśli przyjdzie milicja I zapyta cię, gdzie dzisiaj byłem, powiedz, że prosto ze zdjęć przyjechałem tutaj i spędziłem u ciebie noc. Dobrze?

- Oczywiście - drżącymi wargami wyszeptala Alina. - Boże, Andriusza, obciążyles swoje sumienie takim grzechem! Przecież zabiłeś człowieka.

- Nie człowieka, ale bydlaka, który zatruł ci życie. Bóg mi wybaczy, zrobiłem to dla ciebie, dla kobiety, którą kocham.

Oddanie Aliny było bezgraniczne. Andriej poświęcił się dla niej. Teraz jest jego dłużniczką do końca swoich dni.

Po jakichś dwóch tygodniach rzeczywiście zjawił się milicjant, śmieszny, o długiej, chudej szyi.

- Proszę sobie przypomnieć, czy Andriej Lwowicz nie wspominał pani, że był w konflikcie z mężczyzną, który się nazywał Michaił Tatosow?

- Nie - stanowczo odparła Alina. - Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

- A gdzie był Smułow 9 listopada?

- Cały dzień spędziliśmy razem. Najpierw na zdjęciach, później przyjechaliśmy tutaj. Został u mnie na noc, a rano znowu pojechaliśmy na zdjęcia.

Alina postąpiła tak, jak prosił Andriej. Myślała, że to zaledwie mała część tego, co powinna dla niego zrobić w ramach wdzięczności za uwolnienie od wiecznego strachu.

Odtąd wszystko się zmieniło. Ich miłość rozkwitła, sementowana tajemnicą cudzego życia i śmierci. Alina, pozbywszy się krępujących ją więzów, zaczęła wreszcie grać bez zahamowań. Smułow zrobił film, który przyniósł im sławę, i od razu zabrał się do następnego, zapowiadającego się jeszcze lepiej...

Wszystko runęło w jednej chwili. 14 września 1995 roku późnym wieczorem Smułow odebrał od Aliny telefon.

- Chcę wiedzieć, kogo naprawdę zabiłeś - wycodziła przez zęby, z trudem opanowując rwący się z gardła histeryczny krzyk.

- O czym ty mówisz? - osłupiał Smułow, czując na plecach nieprzyjemny dreszcz.

- On żyje. Nie zabiłeś go. Ale przecież milicja przychodziła i pytała, gdzie byłeś. Potrzebowałeś alibi. To znaczy, że kogoś jednak zabiłeś. Chcę wiedzieć, kogo.

- Zaczekaj chwileczkę...

Ziemia usuwała mu się spod nóg szybciej, niż sobie uświadamiał, co się dzieje.

- Mylisz się, kochanie. On nie może być żywy. Zabiłem go. Wszystko ci wyjaśnię, obiecuję, tylko nie przez telefon. Jeszcze ktoś nas usłyszy. Kładź się spać i o niczym nie myśl, to tylko nerwy, wierz mi. Rano będziesz spokojniejsza.

Rano Alina przyjechała do studia blada, twarz miała wymizerowaną, a pod oczami cienie. Grała beznadziejnie. Na planie ciągle było pełno ludzi, co pozwalało Smułowskiemu uniknąć bezpośredniej rozmowy. W przerwach uciekał przed nią, telefonował, rozmawiał z członkami ekipy filmowej. Decyzję podjął nocą. Musi pozbyć się Aliny. Zabójstwo Tatosowa pozostało nierozwiązane i teraz Alina jest jedyną osobą, z wyjątkiem jego samego, która zna prawdę. Jak tylko usłyszał wczoraj jej głos przez telefon, natychmiast zrozumiał, że Alina nie uspokoi się i nie będzie go kryła. Był jej bożyszczem, dlatego że popełnił ciężki grzech, by ją ratować. A skoro tak nie jest, po jej miłości i zachwycie nie zostało śladu. Dziewczyna wyda go bez zmruczenia oka.

Kiedy zdjęcia dobiegły końca, Smułow w towarzystwie kilku osób (celowo, żeby uniknąć wyjaśnień) podszedł do Aliny.

- Jesteś dzisiaj w nie najlepszej formie. Zostały nam tylko dwa dni w atelier więc nie możemy pozwolić sobie na niekończące się duple. Jedź do domu, kochanie, weź coś na uspokojenie i połóż się do łóżka. Musisz się wyspać, jak należy.

Nachylił się, pocałował ją w policzek i cicho szepnął:

- Wpadnę wieczorem, to porozmawiamy o wszystkim. Niczym się nie denerwuj, wszystko w porządku, zapewniam cię. To było tylko przywidzenie.

Wieczorem, koło jedenastej, zjawił się u Aliny. Sytuacja okazała się znacznie gorsza, niż przypuszczał.

- Nie waż się wmawiać mi, że zwariowałam! - krzyczała Alina. - Nie waż się mówić, że miałam przywidzenie. Byłam tam dzisiaj, widziałam go, rozmawiałam z nim. Opowiedział mi, jak namawiałeś go, żeby wyjechał, jak wysyłałeś mu pieniądze. A naprawdę zabiłeś kogo innego, jakiegoś Tatosowa. Ja przecież nawet nazwiska tego świra nie znałam. Milicjanci pytali o Tatosowa, a ja, głupia, myślałam, że pytają o niego. Kryłam cię! Zrobiłeś ze mnie współpracowniczkę! Jesteś łajdakiem, zimnym i bez serca! Po prostu posłużyłeś się mną, wykorzystałeś mnie, moją wdzięczność i moje oddanie!

Zaraz po wejściu do mieszkania Smułow zauważył, że Alina jest pod wpływem leków. Jej ruchy były ociężałe i powolne, co chwila język jej się plątał. Im dłużej Smułow słuchał Aliny, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nie ma odwrotu. Musi ją zabić.

- Nienawidzę cię - mamrotała, zmęczona długą wypowiedzią. - Boże, jak ja cię nienawidzę. Jesteś wstrętny. Widziałam w tobie wcielenie piękna, myślałam, że zrobiłeś to dla mnie. A ty... Znosiłam cię przez wszystkie te lata, bo spłacałam dług. Okazało się jednak, że nic nie jestem ci winna. A ty wciągnąłeś mnie w zabójstwo...

To było ponad jego siły. Przyciskał poduszkę do jej twarzy, dopóki nie znieruchomiała, szarpnąwszy się po raz ostatni.

Potem wziął głęboki oddech, starając się odzyskać równowagę. Rozejrzał się. Pierwsze, co zrobił, to odszukał dzienniki, dobrze wiedział, gdzie leżą. Włożył skórkowe rękawiczki, które wziął ze sobą, przewertował dwa zeszyty, szybko przeglądając tekst, napisany dużym, okrągłym charakterem pisma, szukał wzmianki o śmierci Świra. Jeden zeszyt był starszy, zapiski kończyły się w marcu, Smułow nie znalazł w nim dla siebie nic niebezpiecznego. Drugi zeszyt zaczynał się w połowie kwietnia, w nim Alina zrobiła wpisy wczoraj i dzisiaj. To akurat się nie nadaje. Było tam wszystko. No cóż, ostatni zeszyt zniszczy, a poprzedni zabierze, później mu się przyda.

Smułow dokładnie przejrzał wszystkie miejsca, gdzie Alina przechowywała lekarstwa, wyjął stamtąd leki uspokajające i przełożył je do kieszeni. Bez trudu odnalazł kopertę z pieniędzmi, którą przyniósł Charitonow. Biżuterii Alina nigdy nie chowała, nie bała się złodziei. W ogóle niczego się nie bała, prócz tego, co w taki czy inny sposób wiązało się z Wołoszynem. Przetarł niektóre rzeczy, w tym klamki i przycisk dzwonka. Starannie wymył dwie filiżanki, które wyjął na chybił trafił z szafki. Zdaje się, że to wszystko. Pełna iluzja, że w mieszkaniu był ktoś obcy i zacierał ślady swojej obecności. Obcy, a nie Smułow, który odwiedzał Alinę regularnie, właściwie mieszkał u niej. Odciski jego palców w całym mieszkaniu nikogo nie powinny dziwić. O tym, że Ksenia Mazurkiewicz faszeruje się ogromnymi dawkami leków, wiedzą wszyscy. Niech na nią padnie podejrzenie. I na Charitonowa. I na innych. Tylko nie na niego, Andrieja Smułowa.

Po powrocie do domu spalił nowy dziennik Aliny, popiół wrzucił do muszli klozetowej. Stary dziennik w poniedziałek podrzuci Paszy Szalisce. Jeśli do Paszki wywiadowcy sami nie dotrą, zawsze może im podsunąć jego kandydaturę. Co zrobić z pieniędzmi i brylantami, zdecyduje później, na razie niech sobie leżą w jakimś sprytnym miejscu. Zobaczy, jak będzie przebiegało śledztwo, może komuś je podłoży. Bizuterii było niedużo, znaczną jej część Alina sprzedała, kiedy kupowała mieszkanie, no i potem, kiedy robiła remont. Ale po co wywiadowcy mieli o tym wiedzieć? Jeśli poproszą, opíše biżuterię od a do z, niech myślą, że zabójca polaszczył się na ogromne kosztowności.

W sobotę i niedzielę grał rolę przybitego smutkiem kochanka. Naprawdę przeżywał dramat, przecież kochał Alinę, a jej słowa, że jedynie tolerowała go, spłacając swój dług, odzywały się w nim ostrym bólem. Okazało się, że wszystko było niepotrzebne, wszystko na nic. Tatosow nie żyje, a on, Smułow, do tej pory nie pojął, na czym polegał jego sekret rozkochiwania w sobie innych. Wciąż nie rozumiał, dlaczego jego, Smułowa, nikt nie kocha. Nawet Alina... A on tak jej wierzył...

Pozostawał Wołoszyn. Kto wie, co ta wariatka mu nagadała. Z nim też trzeba zrobić porządek.

Do Wołoszyna pojechał w poniedziałek, wstępując przedtem do redakcji czasopisma „Kino” i zostawiając w biurku Szaliski dziennik Aliny.

- Po co wróciłeś? Kto ci pozwolił znowu się tu pałętać? Czego, do diabła, chcesz?

- Nie potrafię - wyszeptał Wołoszyn. - Myślałem, że wytrzymam. Całe życie mnie to prześladowe. Męczyłem

się strasznie. Chciałem się nawet ożenić, znalazłem tam, na Syberii, kobietę. A później zobaczyłem w czasopiśmie zdjęcie Aliny i zrozumiałem, że muszę znowu... To silniejsze ode mnie. Szukałem jej, chodziłem koło jej domu, nigdzie jej nie było. Myślałem, że zwa-riuję...

- Już dawno straciłeś rozum! Jesteś zbrojcem, zacząłeś przecież od deprawacji nieletniej! Miała sześć lat, kiedy się do niej przyczepiłeś. Powinieneś się leczyć! Wsadzę cię do czubków, ty łajdaku!

- Nie potrafię - żałośnie powtarzał Wołoszyn.

- Co ona ci powiedziała? Po co się z tobą spotkała w piątek?

- Myślała, że ja nie żyję. Myślała, żeś mnie zabił. Pytała, jak się nazywam... Powiedziała, że zabiłeś jakiegoś Tatosowa... Nic z tego nie rozumiałem. Patrzyłem tylko na nią...

No cóż, pomyślał Smułow z jakąś dziwną obojętnością, na ciebie też podpisała wyrok. Sama jest temu winna.

Wyszedł z mieszkania Wołoszyna, zostawiwszy w nim jego martwe ciało, wspiął się na strych, schował tam biżuterię Aliny i kopertę z pieniędzmi Charitonowa. Niech leżą na wszelki wypadek. On ich i tak nie potrzebuje, a jeśli milicja je tu znajdzie, pogubi się na amen. Jak dobrze pójdzie, zabójstwo Aliny spadnie na tego świra. Dopiero po wyjściu z domu zdjął rękawiczki.

To już koniec, myślał ze smutkiem, krocząc powoli po zalanych jesiennym słońcem ulicach. Skończyła się miłość, która przez cztery lata sprawiała, że czułem się szczęśliwy. Skończyły się filmy. Teraz już nic nie zdołam stworzyć. Nie ma Aliny. Nie ma Miszki Tatosowa,

którego mógłbym nienawidzić i dzięki tej zacieklej nienawiści czuć, że żyję. Nie pozostało już nic. Tylko pustka dookoła. Wszystko było daremne.